tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 53 (1199)
27.12.2022-
-1.01.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

WIESŁAW UCHAŃSKI
OD JARUZELSKIEGO DO KISIELEWSKIEGO

AARON BASTANI
CZEKA NAS WOJNA
Z PLATFORMAMI CYFROWYMI

JAK ORLEN WZBOGACIŁ SAUDYJCZYKÓW

WIESŁAW KOT
FILMOWE
PODSUMOWANIE ROKU

Katarzyna Bonda

KRYMINAŁY z życia wzięte

eprasa.pl 186b9f9578

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA
ZAPRASZA NA KONCERTY!

ANIELI
2 LUTEGO 2023

KAZIK
11 LUTEGO 2023

ANDRZEJ PONIEDZIELSKI
8 MARCA 2023

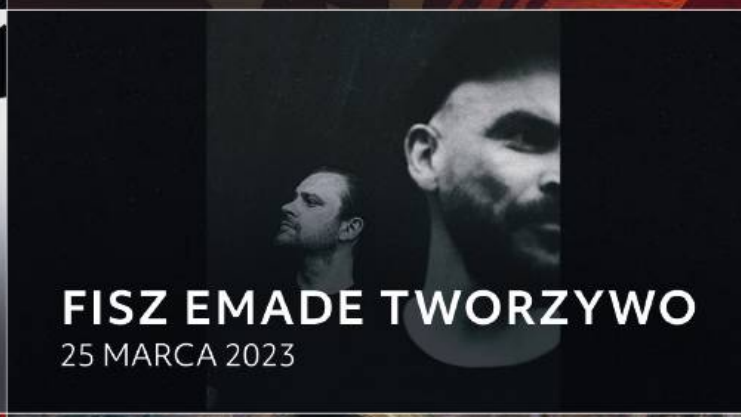

FISZ EMADE TWORZYWO
25 MARCA 2023

RAZ, DWA, TRZY
23 KWIETNIA 2023

ANIA DĄBROWSKA
25 MAJA 2022

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

Jerzy Domański

Idziemy własną drogą

Naszym Czytelnikom i Przyjaciołom,
Życzymy po prostu
lepszego Nowego Roku.
Większego sensu na górze.
I więcej życzliwości na dole.
Wspólnoto ludzi czytających,
ducha nie gaście
Zespół „Przeglądu”

Kończy się rok. I znowu jesteśmy starsi. Niestety, nie idzie to w parze z przypływem mądrości. Choć pewnie każdy myśli o sobie, że jest coraz większym mądralą. O dziwo, życie tego nie potwierdza. Zwłaszcza tam, gdzie rozstrzygają się sprawy dla ludzi najważniejsze. Nie ja jeden zastanawiam się nad tym, co zawiodło, że najlepiej urządzają się głupsi i niekompetentni. Że tak szybko powiększają się kawalkady polityków, którzy idą do tej polityki, bo nic innego nie potrafią. Gdy zaś ich partia uczepi się o kawałek władzy, to wtedy mają moc. I mogą jeszcze marniejszych od siebie upychać praktycznie wszędzie. Wpływ na takie decyzje zaczyna być coraz większą, jeśli nie jedyną motywacją, by pchać się do polityki. Większość społeczeństwa patrzy na to z oburzeniem. Niestety, nie znajduje na tę chorobę skutecznego lekarstwa. Ludzie mają swoją pracę, rodziny i zwyczajnie brak im czasu na głębszą analizę. Brakuje im też kompetencji, by poruszać się w świecie coraz powszechniejszych kłamstw i coraz zręczniejszych chwytów całej chmary dobrze opłacanych z budżetowych pieniędzy specjalistów od promocji czy czarnego PR.

Co może zrobić taki tygodnik jak nasz? Szukamy odpowiedzi u tych, którzy, mając głęboką wiedzę, nie powtarzają komunałów i nie lękają się stawić czoła obowiązującej poprawności. To z ocen profesorów Reykowskiego, Kołodki, Raciborskiego, Mączyńskiej, Góralczyka i Sulowskiego rysuje się obraz zmian, jakie nas czekają. Jeśli oczywiście chcemy wrócić na ścieżkę sensu i współpracy Polaków z Polakami.

Dziękuję Czytelnikom za to, że są z nami. Idziemy własną drogą. Naszym azymutem jesteście Wy. Zapewniam, że będzie co czytać.

BĄKOWSKI

TO MA SENS!

PRZEGLĄD do bibliotek

Drodzy Czytelnicy,
kończy się rok i znowu biblioteki czekają na nasz tygodnik.
Dzięki Waszym wpłatom **PRZEGLĄD** otrzymywało w tym roku 70 placówek.
Kontynuujemy tę pożyteczną akcję.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem
„Biblioteka”
Fundacja Oratio Recta, nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Pełna lista obdarowanych bibliotek na **tygodnikprzeglad.pl**

Za życzliwość serdecznie dziękujemy!

eprasa.pl 186b9f9578

W NUMERZE

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA
8 **Luksus dla ludu**
– rozmowa z Aaronem Bastanim

KRAJ
12 **Obajtek, fuzja i Saudowie**
Kosztowny błąd Orlenu
34 **Miliony skanów za miliony złotych**
Dla kogo biblioteka cyfrowa

HISTORIA
16 **Wywiad i bezpieka**
Apele o umiar do Solidarności

KULTURA
20 **Wydawca w czasach przełomu**
– rozmowa z Wiesławem Uchańskim
26 **Kryminały z życia wzięte**
– rozmowa z Katarzyną Bondą
30 **Lepiej nie ruszać**
Filmowe podsumowanie roku
37 **Qulturalia**
66 **Idę w świat i trwam**
Obrazy Jacka Malczewskiego

OPINIE
38 **Douglas London**
CIA a niepokoje w Chinach, Iranie i Rosji

ZAGRANICA
40 **Nienawiść i pożądanie. Opowieść o imigrancie**
Korespondencja z USA
44 **Walencja marzeniem milionów**
Tam żyje się najlepiej na świecie

ZWIERZĘTA
47 **Nie Rudolf, ale Rudolfina**
Zagadki reniferów

SPORT
50 **Messi – Mbappé – Marciniak**
Najlepszy finał mundialu

OBSERWACJE
52 **Kalendarze 2023**
54 **Gdzie kończy się świat i zaczyna wszystko**
Przystanek Ushuaia
58 **Raj**
Dawno temu w Ozieranach

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Idziemy własną drogą
15 **Jan Widacki**
Małpa z brzytwą
19 **Roman Kurkiewicz**
Dowieziemy tę Polskę dokądkolwiek
25 **Tomasz Jastrun**
Zaćma
33 **Wojciech Kuczok**
Do zobaczenia w Nowym Roku

30
KULTURA

LEPIEJ NIE RUSZAĆ
Filmowe podsumowanie roku

47
ZWIERZĘTA

NIE RUDOLF, ALE RUDOLFINA
Zagadki reniferów

52
OBSERWACJE

KALENDARZE 2023

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. LAWRESZUK.EU

eprasa.pl 186b9f9578

Co eliminuje z polskiej polityki?

Myślę, że nie istnieje nic takiego, co w polskich realiach trwale eliminowałoby ze sceny politycznej. Politycy są właściwie niezatapialni. Pomimo kompromitacji mogą wiele razy przedłużać sobie życie polityczne. Oczywiście są pewne ograniczenia, jak w wypadku Ryszarda Petru z Nowoczesnej, ale to wyjątki. Podam tu przykład liderów dwóch dominujących w Polsce partii: Kaczyński i Tusk są tak zabetonowani na scenie politycznej, że im eliminacja nie grozi.

PYTANIE TYGODNIA Co eliminuje z polskiej polityki?

Paweł Stawicki

•

Przykładem może być pan Jarosław Gowin. Zmieniał barwy polityczne, uchodził za zręcznego gracza, aż trafił na żoliborskiego prezesa, który jego partyjkę mu rozbił, doprowadzając go do depresji i degradacji politycznej. Najskuteczniej eliminuje hipokryzja.

Damian Paweł Strączyk

•

Nikt z sumieniem i ludzką godnością nie pcha się do polskiej polityki...

Piotr Ch.

Patriotyczne chojraki w natarciu

Patriotyczne chojraki w natarciu

Niemcy powinny za wszelką cenę dążyć do wyrównania poziomu życia w całej Unii Europejskiej, właśnie ze względu na to, co się stało za ich sprawą. Ich przemysł zbudował się na podstawie II wojny światowej, a potem swoje dorzucił jeszcze plan Marshalla. Przepaść pomiędzy nimi a krajami, które ucierpiały w czasie wojny, jest rażącą niesprawiedliwością, a to my budujemy im autostrady, remontujemy mieszkania i dosłownie podcieramy tyłki. Równość była szczytnym założeniem UE, ale niewiele z tego wyszło. Równości nie ma, jest stary rozkład sił.

Wojciech Berd

•

W żadnym archiwum nie ma dokumentu potwierdzającego, że rząd PRL rzeczywiście podjął, rzekomo 23 sierpnia 1953 r., uchwałę o zrzeczeniu się odszkodowań wojennych. Jest tylko oświadczenie opublikowane przez PAP w „Trybunie Ludu". Ja nie oczekuję, że „20-letnia niemiecko-turecka kasjerka powinna płacić nam za spalenie Warszawy". Chociaż oczekiwała tego (jakiegokolwiek zadośćuczynienia) więźniarka KL Auschwitz nr 17534, która z tego obozu nie wyszła nigdy, bo przez 42 lata cierpiała na syndrom KZ i od PRL dostała jedynie głodową rentę inwalidzką. Ja oczekuję od Niemiec, że w końcu napiszą w swoich podręcznikach do historii o zbrodniach popełnionych na Polakach (w każdym landzie jest inny, ale mają jedną cechę wspólną – milczenie o zbrodniach niemieckich na Polakach i jedynie pobieżne wspomnienie zbrodni na Żydach).

Bohdan Piętka

ZDJĘCIE TYGODNIA

W związku ze zniesieniem utrudnień imigracyjnych z czasów pandemii przygraniczne miasta USA przygotowały się na napływ nawet 5 tys. osób dziennie. Nz. migranci czekają na pomoc w centrum El Paso w Teksasie. 18 grudnia 2022 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 186b9f9578

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja, autor niezwykłego cyklu wydawniczego **„Kresowa Atlantyda”**, dokumentuje fakty, czyny i nazwiska wielu tysięcy osób z tych obszarów. Chroni je przed niepamięcią ze strony instytucji państwowych i uczelni. Własnym sumptem, bez dotacji ani wsparcia, wydał już 18 tomów. **Szacunek i chwała, Panie Profesorze.**

•

Szymon Marciniak, sędzia główny finału mistrzostw świata, wraz z towarzyszącymi mu na linii **Tomaszem Listkiewiczem** i **Pawłem Sokolnickim** oraz **Tomaszem Kwiatkowskim** na VAR zostali ocenieni równie wysoko jak mecz Argentyna-Francja, uznany za najlepszy finał w historii.

•

W ciągu pięciu lat obowiązywania zaostrzonych przepisów, z wprowadzonym do Kodeksu karnego pojęciem „zbrodnia vatowska”, zarzuty usłyszało 1811 osób. Wobec 319 skierowano akty oskarżenia. Lukę vatowską zmniejszono z 10% do nieco ponad 4%.

•

Hanna Machińska, była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, została pierwszą laureatką **Nagrody Obywatelskiej im. Henryka Wujca,** przyznawanej przez organizacje pozarządowe.

•

Od 2017 r. dzięki finansowaniu przez miasto programu **in vitro urodziło się w Warszawie ponad 1,7 tys. dzieci.** 8,5 tys. par skorzystało ze wsparcia w leczeniu niepłodności. W 2023 r. stolica przeznaczy na ten cel 40 mln zł.

•

Statystyczny Polak zjadł w 2021 r. tylko **14,18 kg ryb.** A średnia światowa przekracza 20 kg. Najwięcej jemy śledzi (2,82 kg) i mintaja (2,5 kg). Dalej są makrela, szprot, łosoś, dorsz, pstrąg i karp.

•

Ponad **23 mld euro** ma otrzymać Polska na rolnictwo w latach 2023-2027. W tym jest 17,3 mld euro na dopłaty bezpośrednie oraz 4,7 mld euro na wsparcie obszarów wiejskich.

•

Aż **94% małych i średnich przedsiębiorstw** ma problemy z terminowymi płatnościami faktur.

•

1 mln osób w Polsce użytkuje ogródki działkowe i domaga się ustawy o likwidacji użytkowania wieczystego, co oznacza przejęcie ich na własność.

•

Szpital Powiatowy w Szamotułach, którego pracownicy padli ofiarą serii zniesławień na przełomie marca i kwietnia 2021 r., po tym jak szpital przekształcono w jednostkę covidową, wygrał sprawę przed sądem. Siedem osób winnych znieważania wystosowało publiczne przeprosiny, wobec trzech innych prowadzone jest postępowanie dowodowe.

•

W Warszawie na ponad milion mieszkań prawie 207 tys. jest niezamieszkanych. Najwięcej pustych lokali jest na Mokotowie (28 tys.), na Woli (26 tys.) i w Śródmieściu (22 tys.).

•

Nowy komendant wojewódzki policji w Krakowie, **nadinsp. Michał Ledzion,** zaczął urzędowanie od remontu swojego gabinetu. Za skromne 420 tys. zł. Może od razu zamontować pancerne ściany i stropy? Przydadzą się do zabawy ukraińskimi granatnikami.

•

Obraz Jana Matejki „Portret córki Heleny z krogulcem” sprzedano na aukcji Polswiss Art za ponad 15 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Zje, ale nie wszystko

Co podać, gdy zawita ksiądz z kolędą? Skorzystajcie z instrukcji, jaką podczas mszy przedstawił parafianom ks. Kazimierz Cichoń z Przegędzy na Śląsku.

„Jeśli chodzi o posiłki, to z chęcią zjem, ale nie w każdym domu. Nie jestem w stanie w każdym domu coś zjeść ani w co drugim, ale tak mniej więcej w połowie i na końcu coś zjem. Natomiast jestem na diecie i niewiele mogę. Jeśli chodzi o picie, to piję tylko zwykłą czarną herbatę bez żadnych dodatków, (…) taką słabszą (…). Jeśli chodzi o (…) kolację, to najlepsza jest zimna płyta, bo wtedy zjem, co tam mogę, wybiorę sobie pojedyncze rzeczy. Pieczywo białe, bez dodatków. Jeśli chodzi o jakieś ciasta, to najlepiej babka lub drożdżowe, jakieś lekkostrawne (…)”.

Solidarni w wyłudzaniu

W tej historii prawie wszystko jest szwindlem. Prawdziwe są tylko pieniądze. I grupa powiązana z Solidarną Polską, która postanowiła je „zagospodarować”. Aferę opisał Andrzej Sikorski („Nie”). W 2018 r. Fundacja Ex Bono z Opola dostała z Funduszu Sprawiedliwości (Ziobro) ponad 9 mln zł na pomoc osobom pokrzywdzonym na skutek przestępstw. Dostała prawem kaduka. Bo nigdy tym się nie zajmowała. A dalej było tak: prezes figurant, Ryszard Markowski, emeryt, wujek Małgorzaty Wilkos, dyrektorki biura Patryka Jakiego! Wilkos wyręczała wujka prezesa, bo miała dostęp do rachunków. Fikcyjna siedziba. Niepłacone rachunki. Umowa została więc rozwiązana. Kontrola NIK ujawniła nadużycia i skierowała zawiadomienie do prokuratury w Opolu. Była jesień 2021 r. Sprawę przejęła natychmiast Prokuratura Okręgowa w Warszawie. I po roku, w listopadzie, wydała postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa. Dlaczego? „Wobec braku znamion czynu zabronionego”.

Kania trzyma Wróbla krótko

2 grudnia 2021 r. minęło 50 lat od ukazania się pierwszego numeru kieleckiej gazety „Echo Dnia”. Choć w zupełnie innej szacie i formule, gazeta ukazuje się do dziś. W 50. rocznicę redaktor naczelny Stanisław Wróbel zapowiadał jubileuszowe spotkanie byłych i aktualnych dziennikarzy „Echa”. Niestety, Wróblowi nie pozwolono jubileuszować. Z rocznym opóźnieniem jubileusz „Echa Dnia” zorganizował więc były naczelny „Echa”, przewodniczący kieleckiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, Jerzy Chrobot. Były toasty, okolicznościowy tort i część artystyczna. Zabrakło zaproszonego red. Wróbla i zespołu redakcyjnego. Po raz drugi Wróblowi nie pozwolono. Dorota Kania, szefowa Polska Press, zezwala tylko na słuszne jubileusze.

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 186b9f9578

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy cenią smak szampana?

ANDRZEJ SZUMOWSKI,
prezes Zarządu Stowarzyszenia Polska Wódka

W ostatnich latach Polacy zaczęli częściej konsumować ten trunek oraz inne wina musujące. Pija się go nie tylko w sylwestra, ale również coraz częściej w związku z celebrowaniem ważnych wydarzeń. Polacy zatem lubią szampana, ale to nie oznacza, że go znają. Jest w tej materii jeszcze dużo do zrobienia. Nasza niewiedza to zapewne efekt m.in. pięciu dekad, kiedy słowem szampan określano powszechnie alkohole zza wschodniej granicy, które z winem z Szampanii niewiele miały wspólnego. Poza tym klasyczny szampan jest mocno wytrawny, a większość naszego społeczeństwa preferuje bardziej słodkie warianty. To pokazuje, że szampan szampanowi nierówny, podobnie jak wiedza o nim. Widzę tutaj pewną analogię do wódki. Polacy nie wyobrażają sobie, by niektóre potrawy, np. tatara czy śledzia, spożywać z innymi alkoholami mocnymi. Jednocześnie ich świadomość tego, czym jest chronione oznaczenie geograficzne „Polska Wódka", pozostaje niezadowalająca.

EWA WIELEŻYŃSKA,
dziennikarka winiarska i wydawczyni

Przewrotne pytanie. Myślę bowiem, że odsetek Polaków, których stać na to jedno z najdroższych win świata, jest bardzo mały. Niewielki też z pewnością jest odsetek Polaków, którzy wiedzą, że nie każde wino z bąbelkami to szampan. Ale można to pytanie zadać inaczej: czy Polacy, którzy piją szampana, cenią jego smak? Prawdopodobnie cenią, skoro skłonni są wydać na butelkę 150-600 zł i więcej. Pytanie, czy w przypadku szampana na ocenę tego smaku nie wpływa także etykietka, czyli marka wina. W angielskim istnieje termin *label drinkers* – na określenie tych, którym przyjemność sprawia nie tylko zmysłowe obcowanie z winem, ale również fakt obcowania z określonym brandem, który przydaje życiu splendoru. I nie ma w tym nic złego. Wszyscy, gdy idzie o szampany, jesteśmy po trosze *label drinkers* – pijąc je, chcemy się poczuć wyjątkowo.

MAREK BIEŃCZYK,
eseista, tłumacz z języka francuskiego, krytyk winiarski

O Polakach jako zbiorowości wiem coraz mniej, niewątpliwie jednak słowo szampan nadal budzi respekt, zarówno w szerokich kręgach, jak i wśród koneserów. Nie dotarła do nas jeszcze światowa tendencja, żeby traktować go jako coś, co może towarzyszyć posiłkowi. Z moich obserwacji wynika, że w Polsce pije się go mniej, niż powinno się pić, jeżeli pije się wino. Sam czuję, że powinienem pić go więcej, podobnie znani mi pasjonaci wina, w których zbiorach jest mało szampanów. Jednocześnie szybuje w górę spożycie nieszampańskich win musujących, zwłaszcza półwytrawnego prosecco, które schodzi u nas jak woda.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 186b9f9578

Luksus dla ludu

Przed nami wielka wojna z wielkimi platformami cyfrowymi, które nie płacą ani grosza podatków

Rozmawia Jakub Dymek

AARON BASTANI
– współzałożyciel redakcji Novara Media, publicysta i autor książki „W pełni zautomatyzowany luksusowy komunizm", która ukazuje się w Polsce nakładem Wydawnictwa Ekonomicznego Heterodox.

Obiecywano nam w XXI w. latające samochody, a mamy Facebooka, kryptowaluty, a teraz jeszcze sztuczną inteligencję, która generuje niepokojąco autentyczne wypowiedzi na każdy temat. Co poszło nie tak?

– To kolejny dowód, jak próżnym wysiłkiem jest prognozowanie przyszłości. Ale świat naprawdę poszedł do przodu w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Nawet jeśli nie zawsze w kierunku, jakiego byśmy oczekiwali. Moja babcia urodziła się w 1926 r. – jest z pokolenia, które przyszło na świat, gdy populacja planety liczyła 2 mld ludzi. Ludzkości dojście do pierwszego miliarda zajęło 200 tys. lat. Dojście do kolejnego miliarda – następne 120 lat. A potem, właśnie w ciągu życia mojej babci – która wciąż jest z nami, ma 96 lat! – populacja planety zwiększyła się czterokrotnie. Życie ludzi zmieniło się nie do poznania – w roku urodzenia mojej babci Hitler i Roosevelt nie byli nawet u władzy, a panowanie brytyjskiego imperium rozciągało się na jedną czwartą globu. To pokazuje nam...

...ile może się zmienić na świecie za życia jednej osoby?

– Tak. W czasach dzieciństwa babci nie było penicyliny, silnika odrzutowego ani telewizji, nie mówiąc oczywiście o internecie czy sztucznej inteligencji. Musimy więc ująć to w perspektywie. Zgadzam się, że wielu wizji społeczeństwa przyszłości, jakie obiecywano nam w latach 60. czy 70., nie udało się zrealizować. Ale to też nieprawda, że dziś żyjemy w czasach jakiegoś technologicznego zastoju czy inercji. Dam ci inny przykład.

Rozmawiałem z szefową działu badań i rozwoju w Modernie, tej firmie od szczepionek. Zapytałem ją o rozwój szczepionki na raka na podstawie tej samej technologii, która pomogła opracować szczepionki na covid. I ona mówi, że do końca lat 20. XXI w. uda się ją przygotować i wprowadzić do użytku. Czyli mówimy o szczepionce na raka do końca tej dekady!

Nie powinniśmy zatem – szczególnie na lewicy – ignorować tych niezwykłych osiągnięć nauki, które dokonują się na naszych oczach.

Każdy się zgodzi, że szczepionki są potrzebne. Problem polega raczej na tym, że współczesny cyfrowy kapitalizm tworzy mnóstwo wynalazków i innowacji, które nikomu nie służą. Kolejne sposoby na to, by spekulować różnymi aktywami i nie inwestować ani grosza w realną gospodarkę.

– I to nie tylko kryptowaluty, o których wspomniałeś, ale także wirtualna rzeczywistość Facebooka – metawersum, które nie wiem jeszcze, jak i do czego miałoby nam się przydać. W jaki sposób przeniesienie kolejnych rzeczy do wirtualnej rzeczywistości ma przynieść tę rewolucję w handlu i biznesie? Szczerze? Nie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 186b9f9578

rozumiem. Ale w takich momentach warto wrócić do lektury Neila Postmana, który w „Technopolu" pisał o trzech fazach cywilizacyjnego rozwoju. Najpierw uczymy się używać narzędzi, potem zaczynamy za pomocą tych narzędzi sami rządzić, a na końcu to narzędzia – technologia – rządzą nami. Natomiast podejście, że nic z tym nie da się zrobić, możemy tylko się pogodzić, jest stosunkowo nowe.

To znaczy: współczesny człowiek akceptuje to, co mu Dolina Krzemowa zaoferuje, i nie zastanawia się, czy ma to sens?

– Jak piszą w „Narodzinach wszystkiego" David Graeber i David Wengrow, nie brakowało w historii ludów, które opanowały rolnictwo – całkiem skomplikowaną technologię, przyznajmy! – by je porzucić za kilka stuleci. Myślą sobie: owszem, ma to rolnictwo sporo zalet, ale nie do końca nam odpowiada. Wiemy już z badań archeologicznych, że ludy łowiecko-zbierackie miały silniejsze kości i zdrowsze kręgosłupy, żyły dłużej i w mniejszym znoju niż ludy osiadłe. To niezwykłe, gdy o tym pomyślisz. Kilka tysięcy lat temu „prymitywni" ludzie nie bali się porzucić swojego trybu życia i technologii – co pokazuje, że mieli do niektórych spraw ewidentnie dużo bardziej dojrzały stosunek niż my.

I dlatego proponujesz ludziom „w pełni zautomatyzowany luksusowy komunizm"?

– Żyjemy w czasach niepokojów, olbrzymich nierówności, kryzysu klimatycznego. Społeczeństwa się starzeją i piętrzą się wyzwania demograficzne, mamy niski wzrost i wysoką inflację, a przed nami stoi ryzyko zaniżania zatrudnienia lub zabierania miejsc pracy przez postępującą automatyzację. Możemy dołożyć do tego problemy ze zdrowiem psychicznym, które z dużym prawdopodobieństwem są pogłębiane przez nadużywanie smartfonów i całą cyfrową infrastrukturę komunikacyjną. Ludzie z lewicy, prawicy i centrum zgodzą się, jak sądzę, że coś jest na rzeczy. Że to chyba nie przypadek, ale rozwój technologiczny naszej cywilizacji doprowadził nas do tego kryzysowego miejsca, w którym jesteśmy. Chciałbym pokazać, że możemy – i powinniśmy – wykorzystać postęp technologiczny do uwolnienia naszego potencjału. Jestem optymistą, jeśli chodzi o to, co moglibyśmy zrobić.

A luksus?

– Musimy zrozumieć, że będziemy zdolni wykorzystać potencjał technologii, wyłącznie gdy posłuży on prywatnemu dostatkowi i publicznym luksusom. Już tłumaczę. Na przykład ogromne zbiory danych i sztuczna inteligencja mogą w pełni i z korzyścią posłużyć społeczeństwu, gdy realizują zadania publiczne. Algorytmy mogą być np. wykorzystywane do zarządzania transportem zbiorowym i kierowania miejskich autobusów tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Moim zdaniem z takiego użycia sztucznej inteligencji będzie większa korzyść niż z prywatnego samochodu z komputerem w roli kierowcy. Dlatego mówię o potrzebie publicznych luksusów. To stoi w sprzeczności z postawą dużej części dzisiejszej lewicy, która przyzwyczaiła już ludzi do mówienia o oszczędzaniu, odmawianiu sobie przyjemności, wyrzeczeniach... Nie! Chcemy polityki obfitości. A teraz kwestia „komunizmu".

No właśnie, akurat z przekonaniem do „komunizmu" młodych ludzi w naszej części Europy będziesz miał problem.

– Dlaczego? Tylko nie mów, że współczesna Rosja albo Putin to komuniści.

Nie, ale wszyscy ci powiedzą, że komunizm nie był wolnym wyborem społeczeństw w naszej części świata, lecz stanowił element imperialnego radzieckiego projektu.

– To ciekawe, bo ludzie nie mają aż takiego problemu ze słowem socjalizm – do dziś wśród laburzystów są tacy, którzy otwarcie nazywają się socjalistami. A przecież Związek Radziecki również miał w nazwie słowo socjalizm, a Lenin określał siebie do 1914 r. jako socjaldemokratę. Ja zresztą nie zajmuję się w książce ani przez chwilę Leninem czy Stalinem – interesuje mnie raczej ekonomia polityczna Marksa, Róży Luksemburg, Kaleckiego czy Kelles-Krauza. I to z tą tradycją wchodzę w dialog. Owszem, możemy mówić, że komunizm jest tożsamy z imperialistycznym, opartym na podboju i wyzysku systemem radzieckim. Pełna zgoda, nie będę się kłócił. Ale... wtedy trzeba by się zgodzić, że jest nim również socjalizm. To pierwszy argument przeciwko ludziom, którzy chcieliby odrzucić moją propozycję ze względu na samo użycie słowa na k w tytule.

To nie przypadek, ale rozwój technologiczny naszej cywilizacji doprowadził nas do tego kryzysowego miejsca, w którym jesteśmy.

eprasa.pl 186b9f9578

A drugi?

– To, co w tej części Europy przypisuje się komunizmowi, wolnorynkowy kapitalizm robił gdzie indziej. Można powiedzieć, że tego, czego dopuszczono się w trakcie Hołodomoru w Ukrainie, dopuszczono się również – i z podobnych powodów – w Indiach. „Przyśpieszamy industrializację, a oni niech sobie radzą, rynek zdecyduje, kto przetrwa". Oczywiście ludzie Stalina nie posługiwali się tymi sloganami, ale była między ich czynnami a działaniem brytyjskich kolonistów ciekawa zbieżność. Działania brytyjskiego imperializmu w Azji Południowo-Wschodniej nie różniły się specjalnie od poczynań radzieckich komunistów w Europie Środkowej i Wschodniej – tak naprawdę nie zdziwiłbym się, gdyby do dziś ludzie przeklinali w niektórych miejscach nazwisko Adama Smitha i brytyjski kolonializm, tak jak w Europie Wschodniej niektórzy przeklinają Karola Marksa i komunizm.

Albo spójrzmy na Irlandię. Pod wieloma względami kraj podobny do Polski, ale w przeciwieństwie do was zdziesiątkowany klęską głodu w XIX w. i do dzisiaj mniej ludny niż w 1840 r. A zbrodni na narodzie irlandzkim dokonywano w imię wolnego rynku, wolnego handlu, kapitalizmu i z nazwiskiem Adama Smitha na ustach.

Dobrze, zostawmy na chwilę przeszłość. Gdzie widzisz ruchy zdolne wykorzystać ten potencjał technologii w polityce i życiu społecznym?

– Zacznijmy od tego, gdzie go nie widzę. W mojej rodzinnej Wielkiej Brytanii. I uświadamiam to sobie, ilekroć stamtąd wyjadę. Może to będzie dla was zaskoczenie, ale zamożność polskich miast widać już gołym okiem. Odwiedziłem ich zaledwie kilka, ale Katowice czy Poznań od razu uderzyły mnie widokiem nowiutkich sklepów, pełnych restauracji, gwarnych ulic handlowych. W brytyjskich miastach poza Londynem, szczególnie po pandemii, widok sklepów i lokali, które zbankrutowały, jest normalką. Jeśli chodzi o standard życia, o perspektywy dla młodych ludzi, to nastroje w Wielkiej Brytanii są fatalne. Co więcej, widzę, że macie mocne samorządy i nawet tam, gdzie rządzi centroprawica, miasta szybko się rozwijają i inwestują w innowacje – czego na pewno nie można powiedzieć o rządach naszej prawicy, czyli Partii Konserwatywnej.

Algorytmy mogą posłużyć do zarządzania transportem zbiorowym i kierowania miejskich autobusów tam, gdzie są najbardziej potrzebne.

Jeszcze niedawno powiedziałbym też, że widać sukcesy (choć może lepiej osiągnięcia) modelu chińskiego, ale teraz, wraz z protestami i fiaskiem polityki „zero COVID", ocena staje się trudniejsza. Ale Stany Zjednoczone boją się sukcesu kolejnych generacji chińskiej szczepionki mRNA przeciw koronawirusowi, która może się okazać w pełni działającym i autorskim wynalazkiem niezachodniej technologii. Gdyby Chiny były w stanie wyprodukować u siebie lepszą szczepionkę niż Zachód i zaoferować ją biedniejszym krajom, byłby to geopolityczny gamechanger.

Działania brytyjskiego imperializmu w Azji Południowo-Wschodniej nie różniły się specjalnie od poczynań radzieckich komunistów w Europie Środkowej i Wschodniej.

Może brak entuzjazmu wobec wielkiej technologii bierze się z tego, że aktualnie bohaterami opowieści Doliny Krzemowej są postacie w rodzaju Elona Muska czy Marka Zuckerberga? Niezbyt nadające się do przekonywania, że technologia może służyć równości i sprawiedliwości społecznej.

– Jasne, dużo łatwiej byłoby przedstawić światu opowieść o postępowej przyszłości, gdyby można było wskazać kogoś i powiedzieć: „Zobaczcie, on kuma, o co chodzi". Ale są tacy ludzie, choć w świecie przemysłu mniej znani niż lewicowe nazwiska ze świata polityki, w rodzaju Alexandrii Ocasio-Cortez. Kimś takim, kto rozumie nowoczesne technologie i wyzwania przyszłości, jest w Wielkiej Brytanii Dale Vince. Facet, który w młodości był buntownikiem i okładał się z policją na demonstracjach, teraz od podstaw rozwija zieloną energetykę wiatrową, płaci ludziom uczciwie, rozumie wyzwania klimatyczne i inwestuje w nowoczesną technologię. Być może lewica robi za mało, by z podobnymi ludźmi się zakolegować? Ale fakt, byłoby to łatwiejsze, gdyby takich Dale'ów Vince'ów było więcej.

Na razie ma bardziej przyziemne dylematy. Na przykład zwiększać wydatki na zbrojenia czy nie?

– Wszystko zależy oczywiście od kontekstu. A ten jest inny w Polsce i inny w Wielkiej Brytanii. U was, skoro macie granicę z Rosją, Białorusią i jeszcze dłuższą z Ukrainą, chęć zwiększania wydatków zbrojeniowych jest całkowicie zrozumiała. A w Wielkiej Brytanii? Wydajemy setki miliardów funtów na program jądrowy „Trident". Argument jest taki, że potrzebujemy własnych rakiet zdolnych przenosić głowice jądrowe, bo czasy konwencjonalnych wojen są już za nami. Cóż… Po pierwsze, ostatnie miesiące pokazały, jak to „konwencjonalne wojny są za nami". Po drugie, jak mówi żart: nasz niezależny i sprawny system szybkiego reagowania nie jest ani sprawny, ani szybki, ani nasz. Musimy więc nie tylko utrzymywać ten program, ale dodatkowo zwiększyć wydatki na konwencjonalną armię i inwestować w te rodzaje sił zbrojnych, o których niedawno mówiono, że są przestarzałe.

Musimy?

– Niepokoi mnie oczywiście, gdy rząd Zjednoczonego Królestwa opowiada, że rozwiązaniem wszystkich

eprasa.pl 186b9f9578

naszych dylematów bezpieczeństwa będzie wydawanie jeszcze więcej na czasem kompletnie już bezużyteczne czy niesprawne rzeczy. Mamy dwa lotniskowce i trzeba je naprawiać, jak tylko wypłyną z portu. Inne pytanie: dlaczego zbroimy się, jakbyśmy szykowali się do wojny na Pacyfiku, skoro właśnie trwa wojna na kontynencie europejskim? I kupujemy sprzęt od Koreańczyków, przez co masa pieniędzy i wartości ucieka z naszej narodowej gospodarki?

W brytyjskiej Partii Pracy też są na tym tle podziały. Z jednej strony, jest tradycja antyimperialistyczna i antywojenna w stylu dawnego przewodniczącego Jeremy'ego Corbyna, z drugiej – bliższe głównemu nurtowi w tej sprawie, atlantyckie poglądy aktualnego szefa laburzystów Keira Starmera.

– Ja nie jestem i nigdy nie byłem pacyfistą. Jeśli chodzi o Jeremy'ego Corbyna, to z perspektywy czasu widać, że wielokrotnie miał rację w sprawach zagranicznych. Dziś, jak się wydaje, w sprawie Rosji jej nie ma. A przynajmniej ja się z nim nie zgadzam i sądzę, że się myli. Ale czas pokaże – bo w 2004 r. wielu ludzi np. wciąż sądziło, że miało rację w sprawie konieczności inwazji na Irak, i dopiero czas pokazał, jak bardzo błądzili.

Ale problem tej debaty polega na tym, że są tylko dwa bieguny – albo wyłącznie NATO i oparcie obronności Europy na Stanach Zjednoczonych, albo, jak widzą to niektórzy, otchłań corbynizmu-internacjonalizmu. To fałszywa alternatywa, bo już raz, całkiem niedawno, spieraliśmy się o rolę Ameryki i jej obecność w Europie – z powodu Trumpa. I wtedy od takiej dyskusji świat się nie zawalił.

Bardzo podobał mi się twój niedawny tekst o tym, że Europa zbiednieje i rozmieniamy właśnie nasz potencjał przemysłowy na drobne. Ale nie wiem, czy do końca się zgadzam z aż tak pesymistyczną diagnozą.

– Dwa niezwykle istotne czynniki decydujące o konkurencyjności produkcji to energia i praca. W Europie energia drożeje, a pod względem demograficznym kontynent się starzeje i będzie miał coraz więcej ludzi, którzy potrzebują opieki, a nie pracy. Z czasem też energia będzie coraz trudniej dostępna, bo opieramy się na źródłach, które są wyczerpywalne. W kwestii cen skroplonego gazu jesteśmy zaś w tej chwili uzależnieni od Kataru i USA. A przecież moglibyśmy inwestować w dekarbonizację gospodarki, niskoemisyjne źródła ciepła i teoretycznie to dalej jest scenariusz, który możemy zrealizować. Ale rozumiem, że w tym momencie zmartwienie Niemców jest takie, że ich przemysł z dnia na dzień przestanie być konkurencyjny.

Jest ciekawy raport PwC, który mówi, że sztuczna inteligencja przyniesie olbrzymie, idące w dziesiątki miliardów dolarów korzyści gospodarcze. Jeden haczyk: one w większości trafią do dwóch miejsc na świecie – USA i Chin. Europa i w tej rewolucji pozostanie z tyłu.

Bo rozwój Europy w ostatnim 30-leciu był finansowany z taniej energii i pokoju na kontynencie. Tak piszesz o sukcesach New Labour w Wielkiej Brytanii, ale i w Polsce to były warunki brzegowe szybkiego rozwoju.

– Tania energia, możliwość importu taniej pracy i niska inflacja, „importowana" z Chin, bo tam przenoszono produkcję, która dzięki niskim kosztom była w czasach przedpandemicznych bardzo opłacalna. Teraz to również się kończy. Rozszerzenie UE było korzystne i dla nas, i dla was, i dla Europy. Ale może ta cudowna epoka się kończy? Nie tylko z powodu wojny, ale także np. nasilającej się migracji klimatycznej do państw Północy, które wcale nie są gotowe na przyjęcie milionów Afgańczyków czy Syryjczyków.

To co zrobić?

– Sporo o wykorzystaniu potencjału technologii piszę w książce, ale tu podzielę się jeszcze jedną uwagą. Przed nami wielka wojna z wielkimi platformami cyfrowymi. Mówiłem ci już, że widzę w Polsce wiele nowych fajnych sklepów, lokalnych kraftowych produktów, rzemiosła i w ogóle lokalnych inicjatyw. A w Wielkiej Brytanii coraz częściej witryny zabite dechami. Ale to także skutek handlu internetowego i olbrzymich przewag wielkich platform, które nie płacą ani grosza podatków. Zabijają lokalny handel i nie mają żadnych obowiązków. Najwyższy czas powiedzieć im, że skoro zyskują dostęp do liczącego kilkadziesiąt milionów klientów zasobnego rynku w jakimś państwie europejskim, to muszą się wywiązać choćby z minimalnych obowiązków.

Zbrodni na narodzie irlandzkim dokonywano w imię wolnego rynku, wolnego handlu, kapitalizmu i z nazwiskiem Adama Smitha na ustach.

I teraz Europa będzie miała siłę oderwać się od amerykańskiej i chińskiej technologii i platform, gdy właśnie tak bardzo na nich polega, a jednocześnie zrywa z rosyjską energią?

– To znów zależy od punktu siedzenia. W Polsce trudno jest przedstawiać argumenty przeciwko USA czy atlantyzmowi, bo – bądźmy uczciwi – atlantyzm bardzo się wam przysłużył w ostatnich dekadach i bardzo na nim skorzystaliście. Ale powiem jedno: nie warto być od nikogo uzależnionym – technologicznie, energetycznie i militarnie – jeśli zależy nam na zrealizowaniu potencjału Europy w przyszłości.

Jakub Dymek

eprasa.pl 186b9f9578

Obajtek, fuzja i Saudowie

Przejęcie Lotosu to błąd, który będzie nas drogo kosztował

Marek Czarkowski

Decyzja polityczna o budowie wielkiego polskiego koncernu multienergetycznego, w skład którego weszłyby PKN Orlen, Grupa Lotos, Grupa Energa oraz PGNiG, zapadła w roku 2018. List intencyjny w sprawie przejęcia kontroli nad gdańską spółką Orlen podpisał ze skarbem państwa w lutym 2018 r. Formalny wniosek do Komisji Europejskiej o wyrażenie zgody na tę fuzję trafił do Brukseli w lipcu następnego roku. Musiał upłynąć rok, nim Komisja przedstawiła długą listę warunków, które nasz narodowy producent paliwa musiał spełnić, by uzyskać zgodę na połączenie obu spółek.

Głównymi warunkami była sprzedaż 30% udziałów w rafinerii w Gdańsku, zbycie spółek Grupy Lotos zajmujących się hurtowym obrotem paliwami, biopaliwami, magazynami paliw oraz produkcją asfaltu. Komisja uznała, że niezbędne będą także sprzedaż ok. 80% stacji paliw należących do Lotosu oraz pozbycie się udziałów w spółce zajmującej się paliwem lotniczym – Lotos-Air BP Polska.

Poszukiwania partnerów, którzy chcieliby dobić interesu z Orlenem i zadowolili nie tyle zarząd spółki, ile kierownictwo polityczne państwa, trwały długo. Ostatecznie najbardziej wartościową część aktywów Lotosu miał przejąć koncern Saudi Aramco, stacje Lotosu trafiły do węgierskiego MOL, magazyny paliw i produkcja asfaltu przypadły polskiej firmie Unimot, a spółka Lotos Biopaliwa została przejęta przez firmę Rossi Biofuel, która jest joint venture grup MOL i Envien.

Jak widać, fuzja PKN Orlen i Grupy Lotos sprowadziła się do rozparcelowania gdańskiej spółki. Budowany przez wieloletniego prezesa Pawła Olechnowicza nowoczesny koncern paliwowy, który był realną konkurencją dla Orlenu, przeszedł do historii. A władze Gdańska pożegnały się z sowitymi dochodami z podatków, które Grupa Lotos odprowadzała do kasy miasta. Z pewnością nie zmartwiło to liderów Zjednoczonej Prawicy. Trójmiasto to nie ich teren. Tu od lat rządzi Platforma Obywatelska.

Decyzja polityczna o budowie wielkiego polskiego koncernu multienergetycznego zapadła w roku 2018.

Największe emocje wzbudza kwota, którą Saudi Aramco zapłaciło za 30% akcji Rafinerii Gdańskiej – 1,15 mld zł. Plus 1,5 mld zł za należącą do Lotosu spółkę zajmującą się hurtową sprzedażą paliw.

Sezamie, otwórz się

Główny zarzut stawiany przez krytyków władzom PKN Orlen, a zwłaszcza prezesowi Danielowi Obajtkowi, jest taki, że sprzedał udziały w rafinerii za tanio. 1,15 mld zł zwróci się Saudi Aramco w ciągu najwyżej sześciu miesięcy. Tylko w pierwszym półroczu 2022 r. zysk Rafinerii Gdańskiej sięgnął ok. 5 mld zł. Druga połowa roku zapowiada się równie dobrze.

Wojna w Ukrainie sprawiła, że branża wydobywcza i paliwowa na całym świecie stała się kurą znoszącą złote jajka. I nic nie wskazuje na to, by ta koniunktura szybko się skończyła.

Umowa PKN Orlen z Saudi Aramco została podpisana w czerwcu, gdy baryłka ropy kosztowała grubo ponad 100 dol., a za litr benzyny bezołowiowej płaciliśmy przy dystrybutorach ok. 8 zł. Diesel, w produkcji którego Rafineria Gdańska się specjalizuje, był jeszcze droższy. I dziś tylko dlatego, że produkuje ona paliwo, którego brak w Europie (ukraińskie czołgi i transportery opancerzone muszą na czymś jeździć), jej wartość jest znacznie wyższa, niż wynikałoby to z wyceny sporządzonej na potrzeby transakcji z Saudyjczykami.

Prezes Obajtek tłumaczył, że ta sprzedaż została wymuszona warunkami Komisji Europejskiej, lecz nikt nie kazał mu godzić się na tak nędzne pieniądze. Pytanie, czy to on podjął decyzję. A może odegrali w tym rolę wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin oraz premier Mateusz Morawiecki?

W każdym razie Saudyjczycy nad Wisłą stali się właścicielami istnego Sezamu. Nie dosyć, że Rafineria Gdańska położona jest nad morzem, co wybitnie ułatwia transport ropy naftowej, to jeszcze w ciągu ostatnich 15 lat Lotos zainwestował w nią ok. 15 mld zł. Jest to więc jeden z najnowocześniejszych zakładów w Europie.

Opozycja grzmi, że Arabowie mogą w przyszłości sprzedać swoje udziały zaprzyjaźnionym z nimi Rosjanom i tym sposobem znów wpadniemy w ręce Kremla. Ale to im się nie opłaci. Nawet gdyby Rosnieft, Łukoil, Sibur albo Tatnieft zaoferowały bardzo duże pieniądze, Saudi Aramco wie, że kontroluje dzisiaj część polskiego rynku przetwórstwa ropy naftowej oraz dystrybucji paliw. Co oznacza, że będzie zarabiało w Polsce niezłe pieniądze.

Częścią umowy jest bowiem także zakup saudyjskiej ropy w ilości odpowiadającej ok. 45% zapotrzebowania połączonych koncernów, czyli maksymalnie 20 mln ton ropy rocznie. Obecnie 70% dostaw tego surowca do polskich rafinerii pochodzi z różnych źródeł, a pozostałe 30% PKN Orlen nadal importuje

eprasa.pl 186b9f9578

Czy to sam Daniel Obajtek podjął decyzję o sprzedaży? Czy też swoje role odegrali wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin oraz premier Mateusz Morawiecki?

z Rosji. O czym niedawno pisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU. Oczywiście nie znamy ceny, jaką przyjdzie nam płacić za baryłkę saudyjskiej ropy, lecz można przyjąć, że będzie ona wyższa od oferowanej teraz i w przyszłości przez stronę rosyjską. Raporty Międzynarodowej Agencji Energetycznej (MAE) przewidują, że wydobycie ropy naftowej na świecie może być niższe niż zapotrzebowanie na ten surowiec. Oznacza to utrzymywanie się wysokich cen tego surowca – albo nawet ich wzrost powyżej 100 dol. za baryłkę. Zwłaszcza że państwa Unii Europejskiej uzgodniły zmniejszenie importu rosyjskiej ropy naftowej oraz produktów naftowych aż o 90% w roku 2023.

Eksperci MAE przewidują, że Rosjanie będą musieli zamknąć część swoich odwiertów i ograniczyć produkcję. Bruksela w ramach sankcji chce też wprowadzić cenę maksymalną, którą kraje będą płaciły Rosjanom – 60 dol. za baryłkę. W reakcji Moskwa zagroziła, że takim państwom swojej ropy sprzedawać nie będzie. Co siłą rzeczy może się przełożyć na ceny ropy naftowej na światowych rynkach.

De facto sprzedaliśmy Saudyjczykom część lukratywnego rynku paliw. 1,15 mld zł zwróci się Saudi Aramco w ciągu najwyżej sześciu miesięcy.

Również Saudyjczycy mają wpływ na światowy handel ropą. Umiejętnie sterując wydobyciem i zawierając sojusze z innymi państwami producentami, są w stanie utrzymywać cenę baryłki na wysokim, odpowiadającym im poziomie. I nie są skłonni ulegać prośbom nawet bliskich sojuszników.

Boleśnie przekonał się o tym prezydent Joe Biden, który w lipcu 2022 r. odwiedził Arabię Saudyjską, by spotkać się z księciem Muhammadem ibn Salmanem. Głównym celem wizyty było namówienie gospodarzy, by Saudi Aramco zwiększyło wydobycie ropy naftowej, co przyczyniłoby się do obniżenia ceny tego surowca na rynkach światowych. A co za tym idzie, zaszkodziło Rosji. Arabowie odmówili, tłumacząc, że niewiele mogą zrobić, gdyż wydobywają ropę na granicy wydajności swoich szybów. Co gorsza, latem Rijad ostentacyjnie kupował duże ilości rosyjskiej ropy naftowej po promocyjnych cenach, by użyć jej jako paliwa w swoich elektrowniach, opalanych tym surowcem. I, jak się wydaje, ma zamiar nadal to robić. W ocenie ekspertów relacje Arabii Saudyjskiej z Rosją i Chinami nigdy nie były tak dobre jak dziś. Zarówno prezydent Putin, jak i przewodniczący Xi Jinping mogli liczyć na o wiele bardziej uroczyste i wystawne przyjęcie niż obecny gospodarz Białego Domu.

Gra Saudyjczyków na utrzymanie wysokich cen ropy oznacza dla nas, że ceny paliw na stacjach benzynowych mogą nawet wzrosnąć. Gdyby Zjednoczona Prawica zrezygnowała z fuzji Orlenu z Lotosem, a Rafineria

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 186b9f9578

Gdańska działała niezależnie, byłyby większe szanse na obniżki cen benzyny. A tak już mamy i będziemy mieli dyktat. Wygląda więc na to, że umowa z PKN Orlen dla Saudi Aramco to kokosowy interes. De facto bowiem sprzedaliśmy Saudyjczykom część lukratywnego rynku paliw. Wszystko to każe myśleć o Polsce jako o wyjątkowo bogatym kraju. Bo tylko takie państwo stać na równie hojne prezenty jak sprzedaż 30% udziałów w świetnie radzącej sobie spółce za śmieszne pieniądze.

Opozycja bez szans

Opozycja zorganizowała w Senacie wspólne posiedzenie kilku komisji, by wyjaśnić kulisy transakcji z Saudyjczykami. Swoje dołożyli dziennikarze TVN 24 i Onetu. Ale senatorowie i opinia publiczna nie dowiedzieli się niczego, o czym wcześniej by nie mówiono i nie pisano. Ujawnione zostały notatki, prawdopodobnie projekt umowy, a nie jej ostateczna treść. Nie znamy i pewnie nie poznamy jej zapisów.

Przy czym prezes Obajtek umiejętnie się broni, choć jego nerwowe odpowiedzi na pytania dziennikarzy nie dodają mu wiarygodności. Warto jednak wsłuchać się w jego argumenty. Mówi on, że o wszystkim, co związane było z umową Orlenu z Saudi Aramco, wiedziały najważniejsze osoby w państwie. Innymi słowy, musiał ją zaakceptować rząd, z premierem Morawieckim na czele. I być może prezes Jarosław Kaczyński. A nad tym, by wszystko było w porządku i zgodnie z interesem państwa – jak zapewnia prezes Orlenu – czuwały odpowiednie służby. Co oczywiście niczego nie gwarantuje i jest klasyczną przykrywką dla Daniela Obajtka.

Zupełnie inny wymiar ma fakt, że o interesy obu stron dbały renomowane międzynarodowe kancelarie prawne i firmy konsultingowe. Jeśli w przyszłości, jak twierdzi opozycja, tej umowie przyjrzy się niezależna prokuratura, najbardziej kompetentni oskarżyciele publiczni w starciu z międzynarodowymi kancelariami nie będą mieli najmniejszych szans na sali sądowej. I jeśli nawet komuś zostaną postawione zarzuty, z pewnością nie zostanie on skazany przez niezawisły sąd.

W sprawie umowy PKN Orlen z Saudi Aramco ważny jest też fakt, że Polska, uniezależniając się od rosyjskiej ropy, uzależnia się od ropy saudyjskiej. A to jest decyzja polityczna, na długie lata, faktycznie najdonioślejsza zmiana, jakiej jesteśmy świadkami w naszej gospodarce. Oznacza ona np. konieczność dostosowania instalacji w Rafinerii Gdańskiej do przerobu nowego surowca. Niezbędnych zmian trzeba będzie dokonać również w płockiej rafinerii. Wszystko to pociągnie za sobą koszty. Przy czym Orlen jeszcze przez dwa lata będzie kupował rosyjską ropę, bo takie ma umowy. Co potem? Wydaje się mało prawdopodobne, by przedłużył kontrakty z Rosjanami. Jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, zapisana w projekcie umowy z Saudi Aramco kara umowna w wysokości 500 mln dol. dotyczy „istotnego naruszenia kontraktu na dostawę ropy". Czyli interesów Saudyjczyków. Nie znamy także politycznej i militarnej przyszłości regionu Zatoki Perskiej. W Jemenie trwa wojna, w którą zaangażowana jest Arabia Saudyjska. Iran blisko współpracuje z Rosją, a rządzący krajem ajatollahowie zmagają się z protestami społecznymi. Sąsiadujący z państwem Saudów Irak pogrążony jest w chaosie. Do wybuchu wojny w Ukrainie wydawało się, że rosyjskie wpływy w tym regionie są skutecznie niwelowane przez wpływy amerykańskie. Rywalizacja mocarstw, niepokoje społeczne i niestabilność polityczna dzisiaj i w przyszłości będą się odbijać na cenie baryłki ropy. W latach 70. Europa Zachodnia, chcąc uniezależnić się od dostaw ropy i gazu z niepewnych politycznie państw arabskich, związała się na dekady najpierw ze Związkiem Radzieckim, a potem z Rosją. Teraz obserwujemy proces odwrotny.

Z tym że w latach 80. prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan mógł namówić króla Fahda, by sprzedawał saudyjską ropę naftową niemal po kosztach – 25-30 dol. za baryłkę. Amerykanom zależało na osłabieniu Związku Radzieckiego, który potrzebował walut, by kupować amerykańskie, kanadyjskie i australijskie zboże oraz by prowadzić wojnę w Afganistanie. W efekcie ZSRR upadł.

Dziś jest inaczej. To kraje arabskie, Katar, Arabia Saudyjska i Kuwejt, dyktują warunki i ustalają ceny ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Jeśli więc w przyszłości politykom opozycji przyjdzie do głowy pastwić się nad Saudi Aramco, ktoś zwróci im uwagę, że to bardzo zły pomysł.

Fundamentalizmy się przyciągają

I jeszcze jeden element, na który mało kto zwraca uwagę. Arabia Saudyjska to państwo religijne, w którym przemożną rolę odgrywa wahabizm. Ten powstały w XVIII w. na terenie Arabii ruch religijno-polityczny w łonie sunnickiego islamu jest określany jako fundamentalistyczny, purytański i ultrakonserwatywny. Dwa kraje uznały go za wyznanie państwowe – to Katar i Arabia Saudyjska. Jest coś symbolicznego w tym, że Polska, kraj ultrakatolicki, nawiązuje bliską współpracę z krajem, w którym panuje ultrakonserwatywny islam. Z pewnością fundamentalizmy się przyciągają.

Przywódcy polityczni znad Wisły i z Półwyspu Arabskiego bez wątpienia zgodziliby się co do roli kobiet – powinny siedzieć w domach. Również w kwestii wolności mediów oraz traktowania przeciwników pewnie nie byłoby wielkich różnic. Sojusz Polski z Arabią Saudyjską nie wydaje się zatem czymś egzotycznym. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ministrowie rolnictwa z PiS nie zniszczyli hodowli koni arabskich nad Wisłą.

Marek Czarkowski

Jest coś symbolicznego w tym, że Polska, kraj ultrakatolicki, nawiązuje bliską współpracę z krajem, w którym panuje ultrakonserwatywny islam.

eprasa.pl 186b9f9578

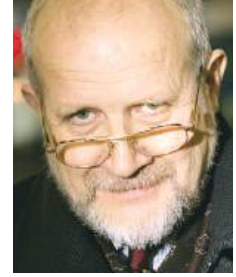

Z Galicji

Jan Widacki

Małpa z brzytwą

Premier dogadał się z Brukselą. Premier, bo nawet nie rząd. Bo w rządzie jest minister Ziobro, który kontestuje poczynania premiera, a premier nie może go wyrzucić, bo rząd utraciłby większość parlamentarną. Bruksela obiecała pieniądze z KPO w zamian za poprawienie stanu praworządności. Zaczęto zatem w KPRM, bo przecież nie w Ministerstwie Sprawiedliwości (choć na zdrowy rozum to tam powinny powstawać projekty ustaw dotyczących sądownictwa), od kolejnej ustawy o Sądzie Najwyższym. Aby trudniej było zgadnąć, projekt ustawy wniesiono jako poselski, nie rządowy. Bo to ułatwia procedury i pozwala ominąć tzw. uzgodnienia międzyresortowe. A uzgodnić tego projektu z Ministerstwem Sprawiedliwości zapewne by się nie dało. Zaczęto więc praworządność poprawiać w pośpiechu. W takim, że nawet zapomniano powiadomić o tym prezydenta. A to sprawa delikatna. Bo pan prezydent, człek ambitny i w sobie zakochany, już raz myślał, że poprawił praworządność, gdy zmienił nazwę Izby Dyscyplinarnej na Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, dając szansę pierwszej prezes, neosędzi Manowskiej, obsadzić ją na nowo neosędziami. Bruksela ku zaskoczeniu prezydenta nie dała się nabrać na ten sprytny manewr i nadal nie chciała wypłacać obiecanych miliardów z KPO. Premier, wiedząc, jaki jest stan finansów państwa i że obiecanych miliardów pilnie potrzebuje, zaczął z Brukselą negocjować, przyznając tym samym, że ustawa, „dziecko prezydenta", jest do chrzanu. Trzeba zatem było napisać nową ustawę o Sądzie Najwyższym i zlikwidować pręgierz dla sędziów w postaci takiego ukształtowania ich odpowiedzialności dyscyplinarnej, który oddaje ich pod władzę polityków i ubezwłasnowolnia. Ale, choć cel był dobry, wykonanie, jak to u nas, okazało się do d…

Projekt ustawy zakłada – słusznie – likwidację Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, przechrzczonej wspomnianą ustawą prezydencką na Izbę Odpowiedzialności Zawodowej. Ale powierza jej rolę… Naczelnemu Sądowi Administracyjnemu. Autor projektu, zapewne jakiś geniusz z kancelarii premiera, nie miał pojęcia, czym się zajmuje NSA (i sądownictwo administracyjne w ogóle!). Postępowania dyscyplinarne są quasi-postępowaniami karnymi, stosuje się do nich odpowiednio przepisy Kodeksu postępowania karnego i zasady procesu karnego, w tym tak fundamentalne jak zasada domniemania niewinności, in dubio pro reo (niedające się usunąć wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść podsądnego). Wedle procedury karnej prowadzi się postępowanie dowodowe itd. Otóż sądy administracyjne (na czele z NSA) nie rozstrzygają podobnych spraw. One orzekają o zgodności z prawem decyzji administracyjnych! Orzekający tam sędziowie nie mają żadnego doświadczenia w sprawach karnych i dyscyplinarnych, a sądy administracyjne są poza systemem sądownictwa powszechnego. Równie mądrze byłoby rolę Izby Dyscyplinarnej powierzyć sądowi dyscyplinarnemu Związku Łowieckiego. Nie wiem, dlaczego zadań zlikwidowanej Izby Dyscyplinarnej (obojętnie jak nazwanej) nie miałaby przejąć, tak jak było poprzednio, Izba Karna Sądu Najwyższego.

Ale nie to oburzyło prezydenta. Zbulwersowało go to, że premier de facto zdezawuował jego dzieło, poprzednią ustawę. W dodatku wspólnie ze znienawidzoną przez PiS (a jeszcze bardziej przez ziobrystów) Brukselą. Po interwencji prezydenta wstrzymano prace nad ustawą. Morawiecki znalazł się w trudnej sytuacji. Nie kieruje całym rządem, bo ma ministra sprawiedliwości w opozycji, teraz jeszcze naraził się prezydentowi. Potrzebuje miliardów z KPO i już był w ogródku, już witał się z gąską…

Na chwilę wszystko to przykrył epizod pirotechniczny komendanta głównego policji. Jak wiemy, dostał chłoptaś od ukraińskich żołnierzy zabaweczkę (granatnik mianowicie) i bawił się w swoim gabinecie. O skutkach materialnych wiemy. Prokuratura prowadzi śledztwo, ale chłoptaś z granatnikiem ma w nim status… pokrzywdzonego! Nie został nawet na czas tego śledztwa zawieszony. Nie wątpię, że śledztwo będzie narzędziem nacisku Ziobry na Kamińskiego (szefa komendanta). Czy Ziobro zrobi z niego użytek? Jeżeli będzie mu to do czegoś potrzebne, to zrobi. Fakty są jednak faktami. Przez granicę (która jest także granicą wschodnią NATO i UE) wwieziono bez żadnej kontroli załadowany granatnik. Łamiąc przepisy celne, procedury wojskowe, podstawowe zasady bezpieczeństwa. Wniesiono tę niebezpieczną zabaweczkę, też ze złamaniem wszelkich procedur, na teren Komendy Głównej Policji, mało tego, wniesiono do gabinetu komendanta głównego. Wreszcie on sam, bawiąc się granatnikiem, odpalił go, powodując uszkodzenia mienia, narażając zdrowie i życie ludzi na niebezpieczeństwo. Niezależnie zaś od tego wszystkiego ośmieszył się sam, ośmieszył policję. Sądząc po liczbie i treści memów, niedługo w Polsce nie będzie się mówiło „małpa z brzytwą", tylko „komendant z granatnikiem". Niezbyt pewnie czuję się w państwie, w którym za bezpieczeństwo moje i moich bliskich odpowiada chłoptaś z granatnikiem. Co gorsza, takich małp z brzytwą, chłoptasiów z granatnikiem, mamy sporo. Biedna Polska! ■

Niezbyt pewnie się czuję w państwie, w którym za bezpieczeństwo moje i moich bliskich odpowiada chłoptaś z granatnikiem.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 186b9f9578

Wywiad i bezpieka

Nie tylko „Trybuna Ludu” i episkopat apelowały do Solidarności o umiar

Marian Buchowski

Dziś już nie dowiemy się, co kierowało szefostwem opolskiej Służby Bezpieczeństwa, że w stanie wojennym nie zdecydowała się na publiczne, z hukiem, zdetonowanie dwóch propagandowych granatów wyprodukowanych w więzieniu przez czekającego na rozprawę Stanisława Jałowieckiego, przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Śląska Opolskiego. Te granaty to dwa teksty powstałe w areszcie śledczym.

Pierwszy, pisany z myślą o publikacji w oficjalnej prasie, to półtorastronicowy „List do członków zawieszonego związku zawodowego NSZZ Solidarność”. Oficer SB zanotował, że Jałowiecki „w czasie rozmowy oświadczył, że apel ten napisał pod wpływem informacji radiowych, z treści których wynikało, że w dniu 31.08.1982 r. dojdzie do poważnych wystąpień i rozruchów. Chcąc uchronić członków opolskiej Solidarności od negatywnych skutków takich demonstracji, zdecydował się, jako przewodniczący, na opublikowanie tego apelu”.

Łatwiej zrozumieć, dlaczego Jałowiecki nie zdobył się jednak na publikację swojego „Listu…”, niż dociec motywów Służby Bezpieczeństwa, która nie upowszechniła tego tekstu wbrew woli autora. Jedno jest pewne – zachowała się tak elegancko nie dlatego, że w walce politycznej obie strony przestrzegały zasad fair play.

Prawdopodobnie było tak: SB, sumując wiedzę operacyjną i relacje więźniów kapusiów zainstalowanych w celi Jałowieckiego, domyślała się, że on, konspirator o pseudonimie „Robert”, coraz gorzej radzi sobie z wyrzutami sumienia (po latach napisze o tym w książce „Tu i tam. Tam i tu”). Bo czuje się głównym odpowiedzialnym za wciągnięcie ludzi w nielegalną działalność, za którą teraz mogą oni dostać po kilka lat więzienia. A przecież, czego był pewien, produkowaniem antyrządowych ulotek, malowaniem na murach, że „orła WRONa nie pokona”, czy innymi formami protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego zajmują się w całym województwie setki ludzi, zwłaszcza młodych, których wszechobecna SB bez trudu powyłapuje, powsadza, okaleczy psychicznie.

Desperacka decyzja

Do Aresztu Śledczego w Opolu, gdzie w 1982 r. czekali na rozprawę Jałowiecki i działający z nim konspiratorzy, dotarła także informacja o zastrzelonych przez ZOMO ofiarach protestów ulicznych w drugą rocznicę podpisania porozumień z sierpnia 1980 r. Jałowiecki zdecydował się wtedy na krok desperacki: zgłosił SB gotowość udzielenia wywiadu prasie o zasięgu ogólnopolskim, najchętniej opiniotwórczemu tygodnikowi „Polityka”. Myśl przewodnia tekstu miała być taka: brawury w naszej historii był nadmiar, Polsce potrzebni są ludzie żywi, do więzienia powinni trafiać przestępcy, a nie osoby protestujące przeciwko zabraniu im prawa do legalnej działalności; manifestujący powinni jednak pamiętać, że samymi protestami nie da się zmusić władzy do odwołania stanu wojennego, niezbędne są też rozmowy i wola ich podjęcia po obu stronach. Obu! Desperackość decyzji Jałowieckiego polegała więc nie tylko na gotowości do rozmowy z oficjalną, „reżimową” prasą, ale i na uzasadnianiu potrzeby związkowej zgody na jakiś kompromis. A w Polsce, wiadomo, słowo kompromis to elegancka nazwa zdrady, zaprzaństwa.

Spośród liczących się podmiotów niezależnych od władzy jedynie Kościół katolicki (mający wtedy jakże inne niż dziś notowania) głośno i publicznie – ryzykując straty wizerunkowe w oczach wielu działaczy Solidarności – apelował do obu stron o racjonalność działania, o wyjście poza beznadziejny ciąg zdarzeń w rytmie: manifestacja, brutalne jej stłumienie, manifestacja, użycie siły i represje, manifestacja… Hierarchowie nie bali się przypominać opozycjonistom o potrzebie rezygnacji z niektórych efektownych, taktycznych korzyści na rzecz prymatu celu strategicznego, pisząc w komunikacie: „W poczuciu odpowiedzialności za Naród, Rada Główna Episkopatu Polski, nie rezygnując z podstawowych praw i osiągnięć całego społeczeństwa, zwraca się z gorącym apelem o zachowanie spokoju i wyciszenie namiętności i gniewu”.

Również z bezpiecznej zaoceanicznej odległości nie bano się pretensji ze strony Solidarności o niezagrzewanie jej do boju. Prof. Zbigniew Brzeziński, były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta USA, wyjaśniał: „Nie chcieliśmy, by

Jałowiecki zgłosił SB gotowość udzielenia wywiadu prasie o zasięgu ogólnopolskim, najchętniej opiniotwórczemu tygodnikowi „Polityka”.

eprasa.pl 186b9f9578

w Polsce wybuchło entuzjastyczne, emocjonalne i niekontrolowane powstanie. (…) To, do czego chcieliśmy zachęcać i popierać, to transformacja Polski".

Transformacja, zwłaszcza taka, o jakiej myślał Brzeziński, to proces długi i skomplikowany, a na razie tylko władza dysponowała decyzyjną sprawczością. Działaniami drugiej strony, zdruzgotanej stanem wojennym, kierowały głównie emocje. Pełniącym ważne funkcje działaczom Solidarności (a do takich należał Stanisław Jałowiecki – nie tylko szef Regionu Śląska Opolskiego, ale także członek ciągle istniejącej Komisji Krajowej) było znacznie trudniej zabierać publicznie głos, bo niekiedy odważniejszy jest ten dowódca, który, dobrze rozpoznawszy sytuację, potrafi zamiast miłego bojownikom rozkazu „naprzód!" wydać komendę „stop".

Zwolennikiem takiej dobrze przygotowanej „wojny pozycyjnej" był Zbigniew Bujak, jeden z nielicznych w solidarnościowej czołówce romantycznych pozytywistów. Powiedział wówczas: „Ja, owszem, lubię hazard, lecz nie wtedy, gdy stawką są ludzie". Jacek Kuroń w początkach stanu wojennego na konspiracyjnych łamach napisał z wiecowym uniesieniem: „Kierownictwo ruchu oporu musi przygotować społeczeństwo polskie do zlikwidowania okupacji w zbiorowym, zorganizowanym wystąpieniu".

Bujak i Bijak

Zbigniew Bujak (w książce Janusza Rolickiego), nawiązując do buńczucznego apelu Jacka Kuronia: „Gdybym wtedy mógł, tobym powiedział Jackowi: »daj dwie dywizje, to z przyjemnością zajmę Komitet Centralny PZPR, Urząd Rady Ministrów, Radiokomitet, ministerstwa i urzędy wojewódzkie. Bez tych dywizji natomiast nie warto sobie całą sprawą zawracać głowy«". Kuroń po latach tak zrecenzuje swój tekst: „Najgłupszy, jaki w życiu napisałem".

Uradowana opolska bezpieka informację o gotowości udzielenia wywiadu przez przewodniczącego zarządu regionu Solidarności przekazała do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tam uznano, że taką szansę trzeba koniecznie wykorzystać, a jak ten opolski watażka nagada niecenzuralnych herezji, to wywiad pójdzie do kosza.

Stanisław Jałowiecki, przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Śląska Opolskiego, napisał „List do członków zawieszonego związku zawodowego NSZZ Solidarność".

Tygodnikiem „Polityka" od niedawna kierował Jan Bijak, który wywiad Jałowieckiego gotów był drukować natychmiast. O korzystnym wpływie takiego tekstu na nastroje społeczne mógł upewniać bezpiekę Mieczysław F. Rakowski, wicepremier i szef rządowego komitetu ds. współpracy ze związkami zawodowymi, a do niedawna redaktor naczelny „Polityki".

Sprawa z wywiadem jednak przyhamowała, bo 8 października 1982 r. Sejm przy 12 głosach przeciw i 10 wstrzymujących się przyjął nową ustawę o związkach zawodowych, która oznaczała formalną delegalizację Solidarności. Była to tzw. opcja zerowa, czyli likwidacja central związkowych działających przed 13 grudnia 1981 r. Dawano możliwość tworzenia nowych związków zawodowych, ale na razie tylko na szczeblu zakładowym.

Zakonspirowana Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Solidarność wydała oświadczenie wzywające do czterogodzinnego strajku protestacyjnego i zaapelowała o bojkot nowo tworzonych związków: „Nieprzystąpienie do nich będzie formą ogólnonarodowego referendum, w którym społeczeństwo polskie wypowie się przeciw polityce represji, przeciw zniewoleniu narodu, przeciw postępującej nędzy społeczeństwa, przeciw 37 latom katastrofalnej polityki społecznej i gospodarczej".

Przez kraj znowu przeszła fala protestów, które miały jednak ograniczony zasięg i nie były skoordynowane. Oceniając przebieg i efekty tych manifestacji, prof. Andrzej Paczkowski napisał: „Mimo brawury i determinacji wielu tysięcy ludzi, którzy podjęli protest i twardo walczyli z milicją, protesty z 11-15 października należało uznać za porażkę. Był to, jak oceniał później Bogdan Lis (współorganizator TKK), »moment zwrotny«, bowiem »wyszło na jaw, że jeśli władza uderza szybko i zdecydowanie, nie jesteśmy w stanie ani kontratakować, ani nawet zasłonić się przed ciosem«. »Nasz model oporu – konkludował Lis – nie przetrwał chwili próby«".

Jałowiecki nie wycofał się z decyzji o udzieleniu wywiadu „Polityce", zwłaszcza kiedy dowiedział się, że podczas demonstracji w Nowej Hucie pacyfikujący zastrzelili 20-letniego robotnika.

Do Aresztu Śledczego w Opolu przyjechała dziennikarka „Polityki" (Jałowiecki nie pamięta jej nazwiska, a w roboczym maszynopisie też go nie ma) i przeprowadziła długą rozmowę, zrelacjonowaną na dziesięciu stronach maszynopisu. Zaczęła od pytania: „Dlaczego pan, nazwijmy dla uproszczenia człowiek z tamtej strony, zdecydował się rozmawiać z „Polityką", czyli, szerzej rzecz ujmując – z oficjalną prasą?". Jałowiecki odpowiedział, że jest parę spraw do wyjaśnienia i nadeszła pora, aby szerzej o nich mówić. Pierwsza z tych spraw to społecznie szkodliwe uproszczenia w oficjalnej

FOT. RAFAŁ MIELNIK/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 186b9f9578

propagandzie i robienie z protestujących osobników pozbawionych patriotyzmu. A już zwykłym draństwem jest powielanie bredni, że Solidarność szykowała się do aktów przemocy. W stanie wojennym wtargnięto przecież do siedzib władz Solidarności w całym kraju i gdyby znaleziono jakieś dowody, z pewnością by o nich trąbiono, a nic takiego nie słychać.

Spośród liczących się podmiotów niezależnych od władzy jedynie Kościół katolicki, ryzykując straty wizerunkowe w oczach wielu działaczy Solidarności, głośno apelował do obu stron o racjonalność działania.

Jałowiecki nie znał stanowiska działającej w konspiracji Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej w sprawie bojkotu nowych związków zawodowych. Miał na ten temat odmienne zdanie i argumenty. Stowarzyszenia inteligenckie, też organizacyjnie okaleczone, jakoś sobie poradzą, wzajemnie wesprą nie tylko dobrym słowem, ale o robotników nikt poza związkiem zawodowym się nie upomni, nie tylko w sprawie warunków pracy czy zarobków. Jeśli więc jest szansa – wynikało z wypowiedzi Jałowieckiego – uzyskania wpływu na charakter i program działania mających powstawać związków zawodowych, to zanim Solidarność znowu zacznie legalnie działać, trzeba już, natychmiast przejąć inicjatywę. Dziennikarka pytała również, jak Jałowiecki rozumie pojęcie opozycja, jakie są jego poglądy polityczne, które działania Solidarności uważa za błędy i czy demonstracyjna antypartyjność nie przyczyniła się do radykalizacji drugiej strony…

Wywiadu „Polityka" jednak nie wydrukowała, bo Jałowiecki ostatecznie wycofał zgodę na publikację, a najprawdopodobniej wicepremier Rakowski zapobiegł wymuszeniu na redakcji, aby mimo braku zgody wydrukowała wywiad z adnotacją „tekst nieautoryzowany".

50 lat w poczekalni

Teraz, po kilkudziesięciu latach, Jałowiecki nie pamięta wszystkich argumentów, które skłoniły go do wycofania się z druku gotowego już wywiadu. Mówił w nim zaś m.in., że w ocenie działań zawsze trzeba brać pod uwagę nie intencje, lecz skutki. A skutki publikacji jego wywiadu mogły być różne. Był pewien, że intencje ma dobre, ale pamiętał też o zasadzie medyków primum non nocere.

Korzystając z pośrednictwa żony, przekazał maszynopis wywiadu Romanowi Kirsteinowi z prośbą o opinię i radę. Kirstein, mający za sobą dwukrotne internowanie, był z racji funkcji formalnie najważniejszą na wolności opolską figurą związkową (drugi z wiceprzewodniczących zarządu regionu, Jarosław Chołodecki, był internowany w Uhercach). Kirstein przekazał do aresztu, że jest stanowczo przeciwny publikowaniu wywiadu. „Powiedz mężowi – przekonywał Małgorzatę Jałowiecką – że Staszek nie jest dla Solidarności osobą jednorazowego użytku, nie wolno mu być kamikadze. Owszem, ma w tym wywiadzie sporo racji, ale takiej, że na razie tylko do użytku wewnętrznego. Powiedz, że bardzo prosimy, aby zabronił drukowania".

Doktor socjologii Stanisław Jałowiecki, uważany wówczas przez SB za ekstremistę o antykomunistycznych poglądach, jest zbyt inteligentny i pozbawiony psychopatycznej bezrefleksyjności, aby samemu nie dostrzec ryzyka cenzuralnego wejścia w tamtym czasie na oficjalne łamy. Kiedy dziennikarka „Polityki" podczas wywiadu powiedziała z przekąsem, że region opolski, którym kierował, nie ma na koncie jakichś znaczących dokonań protestacyjnych, Jałowiecki, sam Ślązak, argumentował, że Śląsk Opolski zawsze był spokojniejszy, bo jego mieszkańców cechuje duży stopień lojalności wobec prawa. A po odjeździe redaktorki przypomniało mu się, jakie to hasła malowano w czasie sierpniowych strajków na wagonach jadących z Wybrzeża przez spokojną, słabo protestującą Opolszczyznę: „Opolanie i Ślązacy to chuje nie Polacy", „Sprzedaj konia, kup Ślązaka", „Pachołki Gierka, róbcie sobie sami". Reakcja na opublikowany wywiad mogła być więc i taka: oto znowu tchórzliwa Opolszczyzna proponuje szanować prawo, które władza brutalnie podeptała stanem wojennym, i ciekawe, dlaczego z taką kołysanką nie wystąpił Region Mazowsze dowodzony przez robotnika Bujaka albo Wybrzeże uformowane przez robociarzy Wałęsę i Jurczyka, dlaczego nie Wrocław z kierowcą Frasyniukiem, tylko jakaś inteligencka mimoza, odizolowana więziennym murem od prawdziwego życia, doktor socjologii z książkową, a nie prawdziwą wiedzą o społecznych nastrojach i oczekiwaniach.

Prof. Zbigniew Brzeziński: „Nie chcieliśmy, by w Polsce wybuchło entuzjastyczne, emocjonalne i niekontrolowane powstanie. (…) To, do czego chcieliśmy zachęcać i popierać, to transformacja Polski".

Oczywiście byłoby znacznie lepiej, gdybym teraz, pisząc o wywiadzie udzielonym „Polityce", cytował odpowiedzi Jałowieckiego, a nie wyłącznie pytania dziennikarki. Ale wywiad, także w aspekcie prawnym, jest własnością Jałowieckiego. Staszek (znamy się od lat 70.) wspaniałomyślnie dał mi zgodę na publikację jego wywiadu. I to publikację już po upływie 50 lat. Z radości nie zapytałem, czy liczyć od momentu udzielenia wywiadu, czy od naszej teraz rozmowy.

Marian Buchowski

eprasa.pl 186b9f9578

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dowieziemy tę Polskę dokądkolwiek

Ponieważ niektórzy są niereligijni (i jest ich na szczęście coraz więcej), to bardzo często są religijni inaczej (niestety, niestety). Mamy więc swoje święto zimowe, jak każda szanująca się (lub nie) inna grupa wyznaniowa – Nowy Rok. Mamy rytuały związane z pożegnaniem starego i powitaniem nowego – karnawałowo-sylwestrowe pląsy, opilstwa, zdrady i porażki, noworoczne kace i puste spojrzenia. Mają media swój kołowrotowy coroczny festiwal „podsumowań" i „przewidywań". Nie bardzo umiem grać w tę grę. Co można powiedzieć? Że grali brzydko, najbrzydziej, ale odnieśli największy piłkarski sukces po 1989 r.? Chociaż pewnie mogłaby się zrodzić z tego piękna metafora Polski potransformacyjnej... Garstka bogaczy patałachów niesiona dopingiem ubogich krewnych pod wodzą zmumifikowanego paralidera – nawet przegrywając – wygrywa, bo ktoś inny akurat nie strzelił jednego gola więcej. Aż chce się żyć, pracować, identyfikować. Mam też przewidywanie: w kolejnym roku Polska nie zostanie mistrzem świata w piłce nożnej. I wystarczy.

W naszej ulubionej polityce, co tam, panowie? Bo wciąż to my, a nie panie, rozdajemy znaczone karty i przesuwamy nienależne żetony. Nie widać jasnej opowieści, jak taka marna polityka, pod takimi żałosnymi przywódcami może nadal przynosić uznanie i poparcie, czyli sukces. Ale zaraz, zaraz? Może jednak polska reprezentacja to nie tyle wypadek przy pracy (przez dekady), ile pewien narodowo-genetyczny wzorzec? Nie umiesz, nie chce ci się? „Dowieziesz" wynik i premię zdążą wysłać.

Jakże godna kina moralnego niepokoju jest scena, kiedy Michniewicz wzywa o trzeciej w nocy liderów kadry po meczu (przegranym) z Argentyną (przegrać z mistrzem to honor) i zbiera od nich numery kont bankowych piłkarzy do przelewu od premiera Mateusza „Pionokia" Morawieckiego... Parafrazując legendarny początek poematu „Moskwa-Pietuszki" (napisał pisarz rosyjski, tfu, tfu, Wieniczka Jerofiejew, to prawda, ale on nie żyje na dobre, na stałe, nie dowiózł się), z pamiętną frazą: „Wszyscy powiadają: Kreml, Kreml. Od wszystkich o nim słyszałem, a sam nie widziałem go ani razu. Ileż to już razy (z tysiąc) na gazie albo na kacu przemierzałem Moskwę z północy na południe, z zachodu na wschód, z jednego końca w drugi, na wylot i na oślep – ale Kremla nie widziałem nigdy"…. Rzecz w tłumaczeniu Andrzeja Drawicza. Rzecz, rzecz... Perła! Perła po rosyjsku? Owszem, owszem i na wieki wieków. A wracając do obiecanej parafrazy: „Wszyscy mówią: klęska, źle, niedobrze, dramat, a ja, przegrywając wszystko raz za razem, jedno po drugim, żadnej porażki nie widzę" (Kurkiewicz w felietonie dla PRZEGLĄDU). I to jest to! To jest siła tego narodu. Całe wieki wpierdol, a wpierdolu nie widzą. Nędza, klęska – a tu fanfary. Jeszcze Polska nie zginęła, bo nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało. Tak to powinno iść, brzmieć, roznosić się po giełdach i stadionach całego świata. Taki hymn. Inne narody by podchwyciły. A wtedy my im to sprzedamy. My? Obajtek z Sasinem.

Nie ma co smęcić nad Polską, jaka jest, taka będzie, inna nie będzie, bo niby dlaczego, ani najgorsza, ani najdziwniejsza, bida z nędzą podbita fajerwerkami, niewierząca, ale praktykująca (coraz słabiej i rzadziej – więc jednak są powody do optymizmu), chytra jak dziad „Orlen" z Pcimia, pod siebie bierze, z innymi się nie dzieli, na plakatach pyta „Gdzie te dzieci?", a jak jej matka niepełnosprawnych odpowie: „W dupie" (Grand Press w kategorii publicystyka dla Agnieszki Szpili za tekst „Gdzie te dzieci? W dupie" – to nie ja, to Szpila), to cisza, wzrok w bok, w nowy rok.

Należy całkowicie, dla własnego dobra, odpuścić chęć posiadania racji. W ogóle. Nie ten czas, miejsce, pejzaż, klimat.

Coś osobistego na koniec. Nie wiążąc końca z końcem, notorycznie i beznadziejnie, ubogaciłem się w 2022 r. jednakowoż. Najpierw znalazłem aforyzmatyczną wypowiedź Bertranda Russella, giganta myśli i człowieczeństwa, który napisał: „Nie wyobrażam sobie, żebym mógł oddać życie za swoje poglądy. Przecież mogę się mylić!". W tym momencie w Polsce 61-letni lekarz neurolog, pieśniarz i żartowniś, Kuba Sienkiewicz, dostaje kartę powołania do wojska, żeby ewentualnie umrzeć za poglądy jakiegoś Błaszczaka czy Kaczyńskiego. A przyjaciółka uświadomiła mi, że należy całkowicie, dla własnego dobra, odpuścić chęć posiadania racji. W ogóle. Nie ten czas, miejsce, pejzaż, klimat. To odpuszczam, bo Marysia jest mądra, a na pewno mądrzejsza ode mnie. Czego i Wam, Czytelnicy/Czytelniczki, w roku wyborczym 2023 życzę. Głosowanie to nie racja, to konieczność, nawet jak nie ma wyboru. Ten rok będzie obfitował w zdarzenia niewyobrażalne, śmieszne czy potworne – dowiemy się za kolejne 50-100 lat, jak Ziemia przetrwa. Przetrwa bez nas, bo ona ma rację, a my nie.

Czas się szykować na bal, generał policji Szymczyk już wstąpił na działo i pół komendy w powietrze wyleciało. Ale już wysłał w nocy, ze szpitala, numer konta. Tylko cicho sza! Bo jeszcze Mateusz też mu nie przeleje. I rok będzie miał Szymczyk smutny. Generale, nic się nie stało, to zamach Putina w tradycji zbrodni katyńskiej i zamachu smoleńskiego. I tylko wciąż Pan żyje. Odbuduj Pan sufit. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 186b9f9578

Wydawca w czasach przełomu

Od Jaruzelskiego do Kisielewskiego. Jestem jedynym szefem wydawnictwa, który przetrwał rewolucję 1989 r.

Rozmawia Robert Walenciak

Pamięta pan ten moment, kiedy brał pan Iskry?

– Pamiętam. To był rok 1987. I już wyczuwalny zmierzch formacji, dla której pracowałem.

Jako kto?

– Byłem sekretarzem kolejno dwóch członków kierownictwa partii. Pierwszy z moich szefów, u którego pisałem doktorat, Marian Orzechowski, w owym czasie był już ministrem spraw zagranicznych. A drugi, Tadeusz Porębski… W tym czasie jego pozycja w partii na tyle osłabła, że był do wyautowania. Tak też się stało, został wicemarszałkiem Sejmu, a później ambasadorem gdzieś tam krótko. Musiałem więc sobie szukać jakiegoś miejsca. Nie ukrywam, miałem propozycje w samym KC, związane z awansem itd. Ale nie bardzo się w tym widziałem.

Nie chciałem stanowisk

Polityka pana nie pociągała?

– Nie. Choć byłem założycielem PRON. Ponieważ pierwszym sekretarzem generalnym był Orzechowski, razem z nim przeprowadzałem rozmowy z ludźmi, których chcieliśmy pozyskać do tego PRON. Nikt nie chciał! Stan wojenny jeszcze furczy. Jedni przychodzą i mówią „tak". Ale z trudem. Drudzy – „nie", mimo że są partyjni. Robert Satanowski powiedział: „Mam tę legitymację partyjną. Nie oddałem jej, bo już mam tyle lat, że mi się nie chce. Ale jak będziecie mnie naciskać, to ją oddam! I do żadnego PRON nie pójdę".

Kandydatem generała na szefa PRON, przed Dobraczyńskim, był Gieysztor. I byłby na pewno lepszym nazwiskiem. Ale odmówił. Znam tę historię. Generał czerwony na twarzy. Jeszcze próbuje: „Panie profesorze, proszę się jeszcze zastanowić, ten pociąg już ruszył. Jeszcze zdąży pan wsiąść do ostatniego wagonu". Na co Gieysztor: „Ale ja, panie generale, nigdzie nie chcę wyjeżdżać".

Takie bicie głową w mur może do polityki zniechęcić.

– Pozycja sekretarza sekretarza, czyli człowieka w cieniu, ale z większymi prawami, bo można było prowadzić normalne życie, odpowiadała mi. Obejmowanie stanowisk, a byłem po takich rozmowach – nie bardzo. Mogłem też zostać w kancelarii Sekretariatu KC, w takiej grupie, która pracowała na rzecz gen. Jaruzelskiego. Mogłem zostać zastępcą kierownika w wydziale ideologicznym. Już byłem po rozmowach.

A powrót na uczelnię?

– Nie bardzo mogłem wrócić na uczelnię, bo to był już czas dość nieżyczliwy dla kolegów, którzy byli w Białym Domu. A ja poniechałem w pewnym momencie habilitacji, już usadowiłem się w Warszawie. Sprawy były zatem trudne i ciężkie. Wtedy pojawił się Ryszard Frelek, pisarz i sekretarz KC, z którym się kolegowałem, który mi powiedział: „Słuchaj, a może ty byś poszedł do jakiegoś wydawnictwa?". Byłem członkiem Towarzystwa Bibliofilskiego, zbierałem książki, miałem dwa własne exlibrisy i czytałem nałogowo. Pomyślałem: „Może to jest jakieś wyjście?". Skończyłem prawo i filozofię, doktoryzowałem się z nauk politycznych, więc wydawnictwo – to się jakoś układało. Był jednak konkurs! Wprawdzie z handicapem, ale był. Miałem trzech kontrkandydatów, trzeba było z nimi wygrać. Tak się stało, że tych trzech pokonałem.

> Skończyłem prawo i filozofię, doktoryzowałem się z nauk politycznych, więc wydawnictwo – to się jakoś układało.

I poszedł pan na zderzenie z rzeczywistością.

– Jestem jedynym ówczesnym szefem wydawnictwa, który przetrwał rewolucję 1989 r. Dla mniej zorientowanych – w owym czasie szef wydawnictwa to było stanowisko frontu ideologicznego. W sposób naturalny to był ktoś, kto podejmował decyzje, co się wydaje. Choć był jeszcze pilnowany przez cenzurę i przez władzę polityczną. To był ktoś, kto nie musiał się znać na ekonomii, bo wydawnictwo w realnym

eprasa.pl 186b9f9578

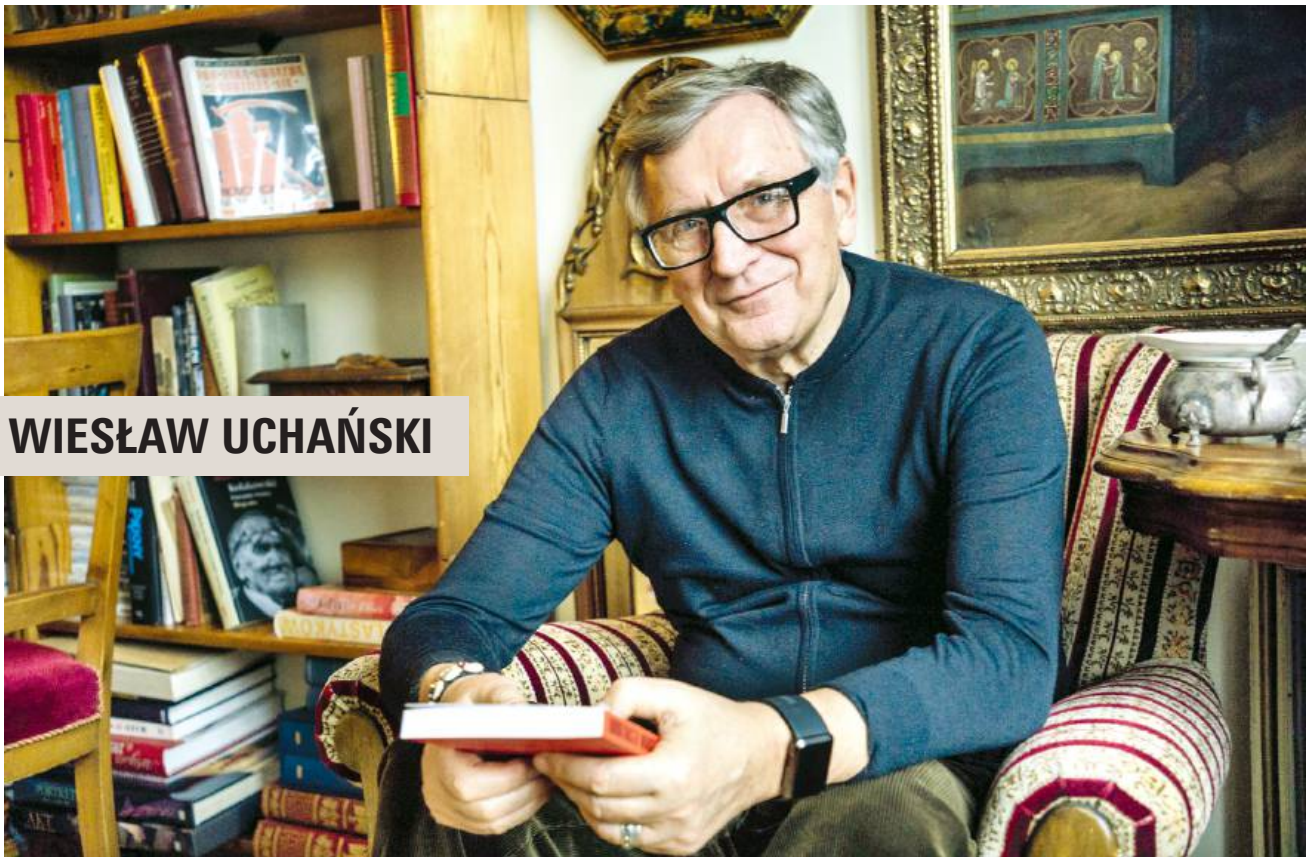

WIESŁAW UCHAŃSKI

socjalizmie nie mogło zbankrutować. W związku z tym jedynym jego zajęciem była gra pomiędzy różnymi środowiskami. Pomiędzy pisarzami, którzy coś kontestowali, pomiędzy KC, który tego pilnował, i cenzurą, która mówiła „nie". To było takie zajęcie i, szczerze mówiąc, wielu kolegów było w tym świetnych. Andrzej Kurz w Wydawnictwie Literackim, Andrzej Wasilewski w PIW, Stanisław Bębenek w Czytelniku. To były nazwiska ludzi, którzy mają wielkie zasługi dla ruchu wydawniczego, realnego w tamtych czasach. Ale po roku 1989 zdecydowana większość tych kolegów odeszła.

Musieli?

– Wymiotły ich załogi, mówiąc krótko, ale nie tylko – bo także naturalna polityka. Jedynym, który to przetrwał, byłem ja. I nie tylko przetrwałem, ale jeszcze się uwłaszczyłem za wolą załogi. Bo w tajnym głosowaniu wybrała mnie na strategicznego inwestora, czyli właściciela powyżej 50% udziałów. Wiele razy zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Dwa lata wcześniej przychodzi człowiek z KC, przyniesiony w teczce, nie budzi to entuzjazmu, także w liberalnych gronach partyjnych, pytają, dlaczego tam poszedł. A potem go wybierają.

Dlaczego?

– Myślę, że chyba zadecydowały moje wcześniejsze kontakty. To, że Iskry zaczęły wydawać, jeszcze w czasach ancien régime'u, Marka Nowakowskiego, Stefana Kisielewskiego, Mariana Brandysa…

Moje poczucie winy

To autorzy Iskier z końcówki lat 80.! Co panu przyszło do głowy, żeby ich wydawać?

– Iluś ludzi myślało, że to był z mojej strony wyrafinowany pomysł na przetrwanie. Że to było niezwykle sprytne. Mnie się zdaje, że o takich rzeczach decydują przypadki. Zresztą należę do tych, którzy uważają, że przypadek jest konstytuujący czasami bardziej niż nasze zabiegi i starania. I tak było. Ale – i tu nie było przypadku – miałem jako człowiek książki naturalne poczucie winy wobec tych środowisk. Technicznie to w ogóle wyglądało tak – wydałem książkę Mariana Brandysa „Generał Arbuz", był chyba rok 1988.

O gen. Zajączku.

– Zawiozłem mu książkę do Konstancina, bo tam bawił. Poznałem wtedy jego żonę, Halinę Mikołajską. I jakoś tak się zrobiło, że pan Marian mnie polubił. Ale powiedział do mnie: „Wie pan, jest taka sprawa, tu jest Kazio Orłoś, to wspaniały chłopak, nie chcą mu wydać tej »Cudownej meliny«, to już leży 20 lat, Giedroyc to wydał"… Pan Marian prowadził taki salon, towarzyski, literacki, ludzie ze środowiska u niego bywali. Więc odparłem: „Dobrze, chętnie się z nim spotkam". I spotkałem się. Przyszedł i powiedział: „Ja to ja, ale mój przyjaciel Marek Nowakowski nie jest wydawany". Wiele słyszałem o Marku Nowakowskim, bardzo go lubiłem, choć bardzo mi się nie podobał jego „Raport o stanie wojennym". Ale jak przyszedł Marek, to mi się spodobał jako człowiek i szybko żeśmy się zaprzyjaźnili. To były czasy, kiedy dość łatwo można było się zaprzyjaźnić.

Nie traktowali pana jako komucha, gościa z KC, reprezentanta tamtej władzy?

eprasa.pl 186b9f9578

– To mnie zadziwia, że nie! Mówimy szczerze – ja się z nimi zaprzyjaźniłem. To były bliskie związki. A szczególnie ze Stefanem Kisielewskim. To były wielogodzinne spotkania towarzyskie face to face, rozmowy o wszystkim, zostawanie powiernikiem rozmaitych tajemnic, z których nigdy nie można zrobić użytku, no bo nie. I to się potoczyło w jakiś sposób samo.

W ten sposób wybronił się pan przed karzącą ręką nowej władzy.

– Być może to zadecydowało. Ale może i to, że Iskry nie były łakomym kąskiem z punktu widzenia ewentualnych sukcesorów ze środowisk, które władzę i różne dobra przejmowały. PWN zostało przejęte szybko, również PIW, Czytelnik. Ponieważ iluś ludzi miało na to apetyt. Iskry były, z punktu widzenia odbioru, drugoligowym wydawnictwem. Jaka była różnica? Taka, że szefowie wydawnictw, kilku najważniejszych, byli w nomenklaturze Biura Politycznego KC PZPR. Biuro decydowało, kto ma być prezesem. A Iskry były w nomenklaturze sekretariatu Komitetu Centralnego. Czyli oczko niżej. Iskry nie miały żadnego majątku. Nie miały własnych pomieszczeń. Jedynym majątkiem był stary samochód i powielacz – i to wszystko. Być może to spowodowało, że nikt się mną specjalnie nie interesował.

Alkohol w dobrej sprawie

Jedzie pan do Mariana Brandysa. Jego żoną jest Halina Mikołajska, wielka aktorka, zaangażowana w działalność KOR. A tu przyjeżdża człowiek prosto z KC. Jak takie zderzenie wyglądało?

– Miałem lekkie poczucie winy. I nawet czułem, że moja wizyta być może wygląda niezręcznie. Ale to jest zawsze tak, że ktoś pierwszy otwiera drzwi. Być może Marian Brandys jako pierwszy otworzył drzwi i dał sygnał. Może wyraził to na swoim salonie: nie jest z nim tak źle, jak można było sądzić. Mogłem mu się spodobać, znałem jego twórczość dobrze.

Może tym ich pan ujął? Erudycją, oczytaniem?

– Być może. Rzeczywiście, wiedziałem, kto to jest Marian Brandys. Przeczytałem chyba wszystkie jego książki. A potem wydałem jeszcze kilka. A to buduje pewien rodzaj relacji. Nie mówię o osobistym wdzięku czy sposobie komunikacji. Może nie wyglądałem jak klasyczny urzędnik partyjny? Marian pewnie otworzył kluczykiem te drzwi. A potem pojawiali się następni.

Stefan Kisielewski!

– Stefan Kisielewski pojawił się za sprawą Józka Hena. Było to chyba ostatnie spotkanie noworoczne z ludźmi kultury, które gen. Jaruzelski wydawał w Pałacu Namiestnikowskim, na początku 1988 r. Tam spotkałem Józia Hena, którego dobrze znałem. Zaczęliśmy rozmawiać, odprowadzałem go i Hen mnie zagadnął: „Mówił mi Stefan Kisielewski, że on by chętnie coś wydał". To ja, wróciwszy do domu, napisałem do Stefana Kisielewskiego: „Szanowny panie, chętnie wydałbym którąś z pańskich książek". Nie robiąc sobie żadnych nadziei. Tymczasem oddzwoniła żona pana Stefana i powiedziała, że mąż wyjechał, ale bardzo chętnie wróci do tej sprawy. Za jakiś czas nastąpiło spotkanie. Bardzo szybko przełamaliśmy lody. Mówmy tu szczerze o pewnej rzeczy – łatwiej nawiązywało się wtedy kontakty. Mianowicie myśmy używali alkoholu. Nie ma co tego ukrywać. Ja lubiłem alkohol, nie robiłem tego wbrew sobie. Moi goście też znosili to bardzo dobrze. To był pewien sposób łączenia.

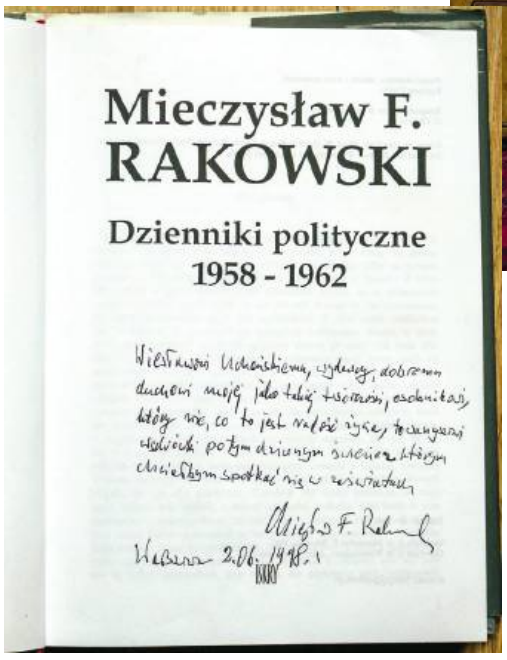

Tadeusz Boy-Żeleński, Franc Fiszer, Jerzy Waldorff, Marian Brandys i Stefan Kisielewski na portretach autorstwa Szymona Kobylińskiego.

Przyszedł do mnie Rakowski i powiedział: „Całe życie pisałem, mam rozmaite zapiski, czy robimy coś z tego, czy nie robimy?".

A jak pan wydawał Kisielewskiego czy Marka Nowakowskiego, to partia nie burczała?

– Partia myślała, że mam jakieś szczególne prawa, skoro sobie pozwalam na takie rzeczy.

Na książkę Kisielewskiego z Pałacem Kultury na okładce.

– To była „Podróż w czasie". Dostałem od niego dedykację: „Mojemu przywrócielowi"… Jak to napisał, to mu powiedziałem, że nie mówi się przywróciel, tylko przywróciciel. A on odpowiedział: „Mnie się nie

eprasa.pl 186b9f9578

poprawia". I tak zostałem przywrócielem. To był rok 1989, kwiecień, ale oczywiście umowa była o wiele wcześniejsza, z 1988 r. Z zaznaczeniem w stopce: I wydanie Instytut Literacki, Paryż 1982. W tej sprawie zresztą dzwonił do mnie Giedroyc i odbywaliśmy rozmowy. Przy normalnych łączeniach. A towarzysze myśleli, że ja mam gdzieś na wysokim szczeblu uzgodnienie, że należy czynić tego typu ruchy. Że może to część jakiejś uzgodnionej politycznej gry. A ja z nikim tego nie uzgodniłem!

Ale mieli prawo uważać, że pan uzgodnił. Że pan może.

– Prawdą jest, że byłem w zażyłych stosunkach z wieloma członkami kierownictwa. Powiedziałbym, że w serdecznych, towarzyskich stosunkach. Z Kazimierzem Barcikowskim – byłem z nim nawet na ty. Z moim szefem, wówczas ministrem spraw zagranicznych, również. Z Włodzimierzem Mokrzyszczakiem… Właściwie ze wszystkimi. Wszystkich znałem bardzo dobrze. Znałem też Wojciecha Jaruzelskiego, bo protokołowałem niektóre zamknięte spotkania i konwentykle. Taka historia – protokołowałem posiedzenie Biura Politycznego. Jak się rozpoczynało, to generał wchodził, a wszyscy członkowie Biura wstawali. A on po kolei z każdym się witał: dzień dobry, towarzyszu, dzień dobry, towarzyszu, dzień dobry, towarzyszu... A ja, protokolant, stałem na końcu. Byłem w swetrze. On mi podaje rękę i, uśmiechając się, mówi: „Dzień dobry, panie Uchański". Oczywiście towarzysze wszyscy w śmiech, ale taki pogodny. Mieszkałem na Szarej, gdzie mieszkali wszyscy przyjezdni członkowie kierownictwa.

W hotelu.

– I choćby stamtąd ich znalem. Było więc podejrzenie, że mam na taką politykę wydawniczą jakąś szczególną zgodę. I nawet kiedy cenzura zgłaszała uwagi, to nie do treści, tylko do tej okładki, którą oglądamy, czyli Pałacu Kultury z czerwoną flagą. Swoją drogą, redaktorem tej książki był późniejszy, epizodyczny, rzecznik Porozumienia Centrum. Ale ani w wydziale kultury KC, ani w Ministerstwie Kultury nikt mi z tego powodu nie robił żadnych wyrzutów.

Partia milczała.

– Partia milczała, bo była już wtedy zajęta zupełnie innymi sprawami. Śmieszna historia… Miałem jeszcze obok siebie innego silnego, życzliwego mi człowieka – to był Stefan Bratkowski. Bo wydałem jego książkę „Jak robić interesy razem". To jedna z tych pozytywistycznych Stefanowych koncepcji, które uwielbiał. Kiedyś byłem umówiony ze Stefanem Kisielewskim i zaraz po nim wszedł Bratkowski. Jeden wychodzi, drugi przychodzi, mijają się w drzwiach i Kisielewski z całą swoją złośliwością, witając się z nim, mówi: „A pan nie w Magdalence?".

Noc 13 grudnia spędziłem w budynku KC

Trzeba wielkiej umiejętności, żeby dogadywać się z różnymi ludźmi. Bo to różne charaktery, różne poglądy, różne miejsca po obu stronach barykady.

– Pan redaktor pyta o moją osobistą sztukę hipokryzji? Przecież nie da się w każdym momencie stawać do walki o własne poglądy polityczne. Więc raczej starałem się w rozmowach z autorami takich tematów unikać. Podejmować je tylko wtedy, kiedy były istotne. I muszę przyznać, że rzeczywiście nigdy nie popadłem z nimi z tych powodów w jakiś rodzaj konfliktu! Więcej! Byłem dla nich dość egzotyczny.

Czyli ciekawy.

– Byłem egzotyczny dla Stefana Kisielewskiego, który mnie wypytywał, jak KC w środku wyglądał. On przecież napisał powieść o KC, „Widziane z góry", gdzie pojawiają się i Starewicz, i różne inne postacie. Był szalenie ciekaw, i on, i inni, jak to życie w KC w ogóle wyglądało. „Jak podejmowane były decyzje?". „Czy o mnie coś mówiono?". W takich

Należę do tych, którzy uważają, że przypadek jest konstytuujący czasami bardziej niż nasze zabiegi i starania. I tak było.

eprasa.pl 186b9f9578

Byłem sekretarzem kolejno dwóch członków kierownictwa partii.

pytaniach wychodził autorski egotyzm. Stefan Bratkowski bardzo pytał, czy jego nazwisko pojawiało się w jakichś dyskusjach. W każdym razie to była pełna egzotyka. Dodajmy, że noc 13 grudnia spędziłem w budynku KC.

Miał więc pan co opowiadać!

– Ale ci wszyscy, którzy byli wtedy w gmachu KC, nie wiedzieli, co się dzieje! To miejsce jest zmitologizowane. Większość kolegów w ogóle nie wiedziała, że coś będzie się działo. Nawet kierownicy wydziałów nie wiedzieli. Mnie też nikt oficjalnie nie wzywał, żeby poinformować.

W takim razie po co pan tam był?

– W tamtym czasie wprowadzono całodobowe dyżury w KC. Takie dyżury to wojskowy obyczaj, a generał usiłował te obyczaje wojskowe przenieść na partię. Tak lubił – dyżur, czuwamy, jesteśmy gotowi, wykonujemy rozkazy itd. Były więc wprowadzone dyżury, które do niczego nie były potrzebne. I akurat wypadł nam. Wtedy mój szef, kiedy wychodziliśmy z hotelu, zatrzymał mnie: „Ale weź szczotkę do zębów. I jeszcze jakieś rzeczy osobiste". Trudno było nie zgadnąć dlaczego. Ale i tak było to ciekawe dla moich rozmówców, kiedy im o tym opowiadałem. Słuchali. A ja czułem się trochę jak adiutant z Wilczego Szańca.

Byli ciekawi, jak działała ta machina.

– Oczywiście. I pewnie stanowiłem dla nich zaskoczenie, że odbiegałem od potocznych wyobrażeń o lokatorach tamtego budynku.

Ja się z moimi autorami zaprzyjaźniłem. To były bliskie związki. Szczególnie ze Stefanem Kisielewskim.

Chcieli, żeby wydawał im pan książki i dał zarobić?

– Nie tylko. Myślę, że lubili ze mną przebywać. Odbywało się to nie tylko na etapie przed podpisaniem umowy na wydanie książki i wypłaceniem zaliczki, także później. Choć myślę, że ten Biały Dom to był mój handicap. Że gdybym przyszedł z uczelni albo z WSNS, albo z czegoś podobnego, nie byłoby to dla nich interesujące.

Nie nudziliście się ze sobą.

– Nie! Uwielbialiśmy te spotkania. Ja w sposób naturalny – bo Stefan Kisielewski to była wielkość w owym czasie. Absolutnie. Myśmy bez przerwy o czymś gadali. Cały czas coś się działo. On mi opowiadał i ja mu opowiadałem. Tak to wyglądało.

O socjalizmie nie dyskutowaliście?

– Sprawy ideologiczne nie pojawiały się w naszych rozmowach. Czy można powiedzieć, że miałem poczucie winy z powodu miejsca, w którym pracowałem? I że próbowałem tym poczuciem winy ich kokietować? Nie! Oni z kolei byli za inteligentni, żebym ich takim mechanizmem mógł pozyskać. Godzili się na to, że mam swój życiorys, a ja godziłem się, że u nich obowiązuje teoria, że to jest ustrój przyniesiony na sowieckich bagnetach i że trzeba jakoś w tym żyć. Pamiętam jedną rozmowę. Stefan nie wierzył, że ten system upadnie szybko, nie ukrywał tego, mówił, że będzie jeszcze trwał 50 lat. Że musi jeszcze zmutować. I upadnie, dopiero jak upadnie Rosja sowiecka. A to jeszcze potrwa. Dopiero jak zaczęło się dziać, Gorbaczow, Okrągły Stół – to uwierzył. Ale wtedy, w roku 1988 – nie.

Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (4)

eprasa.pl 186b9f9578

Oko w oko

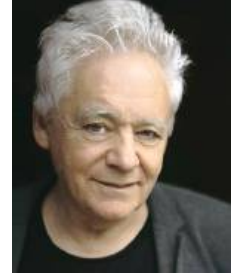

Tomasz Jastrun

Zaćma

Rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Ta noc oddaliła się ode mnie jak dawno śniony upiorny sen. Tyle było emocji, a teraz żadnych, chociaż pamiętam zapach tej nocy, gdy krążyłem po mieście, budząc ludzi, zapach mrozu i grozy. I zapach tamtych smutnych świąt.

•

W ramach naprawiania siebie – operacja na zaćmę. Para oczu. Jedyny stres, jaki miałem, to konieczność wczesnego wstania. Sama operacja prawie przyjemna. Tuż przed zabiegiem pytanie, czy jestem na coś uczulony. Mówię, że tylko na Kaczyńskiego, co spotyka się ze zrozumieniem. Wszystko to trwa krótko i jest bezbolesne. Serdecznie polecam. Zastanawiam się, dlaczego lubię wizyty u stomatologa, a nawet małe operacje. Czy nie dlatego, że podczas tych zabiegów czuję, że ktoś bardzo czule się mną opiekuje? Myślę, że upodobanie mojego dawnego przyjaciela S. do operacji – zmuszał chirurgów do poważnych operacji, nawet gdy nie było powodu, a jak w Polsce już nie chcieli, bo go znali, to jeździł za granicę – ma też głębinowe źródło. To potrzeba szczególnej uwagi.

Przed operacją zaćmy kazano mi wyjąć sztuczną szczękę, co mnie oburzyło, bo takowej nie posiadam i nie zamierzam. Wkrótce potem spotykam w sklepiku z gazetami mojego dalekiego sąsiada Wiktora Kulerskiego, szlachetny człowiek, o pięknej opozycyjnej biografii, ma sporo ponad 80 lat, z laseczką i z wózkiem na kółkach na zakupy. Nabywa „Gazetę" i „Przegląd", a gdy już się żegnamy, woła do mnie: „A używasz laski?". Zdziwiony mówię, że nie. On na to: „A powinieneś". Myślę: coś takiego?! Śnieg wysoki, ale idę dziarsko przed siebie, młodzieńczo wyprostowany.

•

Siana przez media publiczne wiara, że Tusk jest winien dosłownie wszystkiemu, co złe w Polsce, znajduje wielu wyznawców. Stanisław Karczewski, były marszałek Senatu, pisze: „Skala agresji i nienawiści, którą sieje D. Tusk i PO, jest ogromna. Podczas świątecznych zakupów zostałem napadnięty, wulgarnie wyzwany, uderzony i przewrócony. Agresywny napastnik wyrwał mi telefon i rzucił na podłogę. Bojówki Tuska posuwają się do najgorszych czynów". Zawsze wiedziałem, że ten podobno niezły lekarz jest wyjątkowym osłem. Ale jestem przeciwnikiem bicia w ogóle, więc też osłów.

•

I po mundialu. Będzie mi brakować tego spektaklu. Chociaż moje kibicowanie było męczące. Zawsze mi żal tych, którzy przegrywają. Jeszcze te płaczące dzieci na trybunach. Łatwo powiedzieć, że taki mundial to głupota, jak można tak się przejmować kilkudziesięcioma facetami, którzy uganiają się za piłką jak za kurą skazaną na ścięcie. Ale przecież całe nasze życie to taki spektakl, z mieniącą się grą pozorów.

•

Jestem pewien, że 95% Polaków nie rozumie szczegółów całej tej „Ziobrowej" reformy sądownictwa, zwanej ironicznie deformą. Dla kogoś, kto nie jest prawnikiem, to czarna magia. Ludzie nie wiedzą, bo skąd mają wiedzieć, co to jest Izba Dyscyplinarna, sędziowie dublerzy, Krajowa Rada Sądownictwa, na czym polega próba pacyfikacji Sądu Najwyższego, zniewolenie prokuratury. Sam w tym się gubię. Najtwardsi wyznawcy PiS jednak wierzą, że to, co robi ich partia, to próba uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości; heroiczna, gdyż sądy to mafia, a jeden sędzia nawet ukradł w sklepie wiertarkę. A przecież i premier, na wojnie z Ziobrą, mówi: „Większego chaosu i kłopotów, niż mamy obecnie w sądownictwie, już chyba mieć nie możemy. Sądownictwo zostało doprowadzone do stanu półzapaści". Pieniądze z Brukseli, wstrzymywane z powodu gwałcenia praworządności, są potrzebne PiS jak tonącemu szalupa ratunkowa. Niby Bruksela to Moskwa, na dodatek rządzona przez wrogie nam Niemcy, ale bez tych pieniędzy będzie katastrofa gospodarcza, a wtedy prawica przegra wybory i Polska wpadnie w łapy złowrogiego Tuska. Uważam, że Unia do wyborów nie powinna dawać Polsce pieniędzy, ich brak to gwarancja, że prawica przegra wybory. I PiS o tym wie. Takie było dęcie w trąby, bicie w werble, a teraz w panicznym pośpiechu pichcą ustawę niemal dosłownie podyktowaną przez Komisję Europejską, manipulowaną przez Tuska i innych zdrajców Polski. Jak mówi szczerze jeden z pisowców: „Albo teraz przyjmiemy kompromis i ustawy wynegocjowane z Komisją Europejską, albo w lutym na kolanach będziemy prosić Brukselę o ratunek i wtedy podpiszemy wszystko". Trzeba nagiąć kark i nagiąć Ziobrę, a on zupełnie nieugięty Jednak projekt ustawy, niekonsultowany z nikim, okazuje się bublem, Duda go blokuje, gdyż uraża on jego ambicje. W PiS już nic nie trzyma się kupy, wszyscy walczą ze wszystkimi, na co patrzymy z nadzieją, że w nowym roku szlag ich trafi. ■

W PiS już nic nie trzyma się kupy, wszyscy walczą ze wszystkimi, na co patrzymy z nadzieją.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 186b9f9578

Kryminały z życia wzięte

Chodzimy po świecie, podsłuchujemy, podglądamy. Nigdy nie wiesz, kiedy znajdziesz się w powieści

Rozmawia Rafał Pikuła

Zacznijmy od ulubionego tematu ludzi kultury, czyli od pieniędzy. W przeciwieństwie do większości osób piszących ty zarobiłaś na twórczości literackiej całkiem dobrze. Ile już zarobiłaś na pisaniu?

– Zarabiam wystarczająco, by spokojnie utrzymać rodzinę. Czytelnicy kupili ponad 3 mln moich książek, a nie tysiące. Biorąc pod uwagę, że żyję z tantiem, są to tak satysfakcjonujące kwoty, że nie śniłabym o nich, pozostając w zawodzie reporterki, nawet gdybym była naczelną przodującego tytułu. Nigdy nie ukrywałam, że znajduję się wśród szczęśliwców, którzy mogą tylko pisać, bez posiłkowania się etatem lub braniem dodatkowych zleceń, ale to dla mnie miły efekt uboczny tej pracy. Zaszczytne potwierdzenie, że czytelnicy chcą wciąż zainwestować własny czas, serce i pieniądze w moje opowieści. To jest dla mnie nobilitacja. I nie zmieniło się to od lat, możesz być pewny, starczy spojrzeć na listy bestsellerów. Celem jednak nigdy nie były i nie są pieniądze. One jedynie pozwalają mi na wolność twórczą, co sobie chwalę.

KATARZYNA BONDA
– pisarka, autorka m.in. cyklu kryminałów z psychologiem śledczym Hubertem Meyerem oraz tetralogii z profilerką Saszą Załuską.

W końcu twoje książki wydawane są w 16 krajach i ekranizowane.

– Fakt, że zagraniczni wydawcy wciąż interesują się polską autorką, jest dla mnie wielkim wyróżnieniem. Pieniądze oczywiście są z tego inne, bo w walucie. To dla mnie głównie dowód, że moje opowieści są zrozumiałe na całym globie, bo sprzedałam prawa do tłumaczeń na tak odległe terytoria jak np. Korea.

Nie masz już dość tej pracy? Nie myślałaś o pisarskiej emeryturze albo innym zajęciu? Może prowadzenie siedliska na Podlasiu, restauracji, agencji kreatywnej?

eprasa.pl 186b9f9578

– Dlaczego miałabym mieć dość? Spełniam się w tym, daje mi to frajdę i splendor. Moja praca zapewnia mi wszystkie możliwe rozrywki i wyzwania. Wciąż mam poczucie, że jeszcze wiele mogę się nauczyć i mnóstwo wyzwań przede mną, a nie za mną. Odkąd usprawniłam system pracy i zbudowałam sobie przestrzeń osobistą, by pisać więcej i regularnie wydawać, jestem jeszcze szczęśliwsza niż do tej pory. Kluczem okazały się jak zwykle dyscyplina i otwarcie na nowe rzeczy. To, co czytelnicy uważali za moją dotychczasową pieczęć autorską, w pewnym momencie wyrzuciłam do kosza i zmodyfikowałam modus operandi.

Co cię szczególnie fascynuje w tym zawodzie?

– Uwielbiam w nim to, że on nigdy się nie kończy, a im jestem starsza, tym jest ciekawiej. Bluźniłabym, gdybym zaczęła narzekać, a prowadzenie agencji kreatywnej wydaje mi się arcynudne, do tego trzeba chodzić na pasku klientów. Siedlisko na Podlasiu odpada, bo jestem dziewczyną typowo miastową. Wolę szpilki, a nie kalosze. Zresztą nie jest to zgodne z moją niepodległą naturą. Pisanie to nie tylko siedzenie przy komputerze. To przygoda, zarówno w sensie duchowym, jak i rzeczywistym. Wciąż dokumentuję, sprawdzam, odwiedzam różnorakich ekspertów i czytam akta. Mam ciekawsze życie niż kiedyś, gdy pracowałam w mediach i dziennie przesłuchiwałam tabuny ludzi.

Jesteś autorką spełnioną, już dawno byłaś nazywana królową kryminału. Gdy myśleliśmy, że znudził ci się ten gatunek, wracasz do niego serią z Jakubem Sobieskim. Skąd pomysły na kolejne serie i książki?

– Z obserwacji otaczających mnie ludzi, wydarzeń, wiadomości, anegdot, wreszcie z akt spraw kryminalnych. Słowem, każda moja książka bierze początek z życia. Uwielbiam to, że każda historia zaczyna się od drobnego, pozornie mało istotnego elementu, a w czasie zapisu urasta do tematu szerszego, społecznego. Dużo jest w tym opowieści o rodzinie, psychologii naszej polskości i przepracowywania społecznych traum, których nie mają już jak przetrawić media, bo internet wyrugował pogłębienie i namysł, za sprawą naturalnej szybkości. Jakub Sobieski pojawił się znienacka, kiedy zaplanowałam „O włos", czyli historię seryjnego sprawcy zabójstw na prostytutkach. Żaden śledczy w strukturach nie mógłby realnie przeprowadzić takiego dochodzenia, nawet Meyer, który nieustannie przekracza granice, więc stworzyłam nowego bohatera wiodącego – detektywa funkcjonującego poza systemem, który nie musi działać pod przykrywką i zgodnie z literą prawa. Jeśli jest się blisko historii, ona sama pisarza niesie, nie wolno przeszkadzać postaciom się rozwijać. Idę od lat tym tropem. I nie zamierzam ustawać.

Czytelnicy kupili ponad 3 mln moich książek.

Nie chciałabyś się spróbować w innych gatunkach? Masz w portfolio chociażby reportaż „Polskie morderczynie". Czy fikcja jest ciekawsza niż non-fiction?

– Mam serię bazującą na sprawach z prawdziwych akt kryminalnych. Wszystko, o czym przeczytasz w „Miłość leczy rany", „Miłość czyni dobrym", jest prawdziwe. Spoiwem jest fabuła, by tej opowieści nie zapisywać sucho, lecz jak dobrą, wielowątkową powieść. Tutaj ważna jest dokumentacja, umiejętne patrzenie na prawdziwe dokumenty spraw i czytanie między wierszami intencji bohaterów, bo najciekawsze jest to, czego ludzie nie zeznają, co chcą ukryć. Nie, nie zarzekam się, że zawsze będę pisała tylko o Hubercie Meyerze, Saszy Załuskiej albo Kubie Sobieskim. Zawsze jednak będę się starała odkrywać sekrety i poszukiwać prawdy. Uważam, że tego oczekują ode mnie moi czytelnicy. Wybór gatunku to jedynie forma dla tematu, jaki biorę na warsztat, a nie moja świadoma decyzja, że teraz będzie kryminał, powieść czy może książka dokumentalna.

Masz background dziennikarski, więc i praca researcherska nie jest ci obca. Jak to wygląda, jeśli chodzi o kryminały? Stworzenie opowieści o świecie mafii i agencji towarzyskiej wymaga zdobycia informacji, które nie leżą na ulicy.

– Nie da się napisać książki, nie liznąwszy tematu. Tak, moja nawet najgorliwsza praca w odtworzeniu świata prostytutek i gangów narkotykowych w „O włos" albo sekty w „Zimnej sprawie", opisanie starego, zaognionego konfliktu narodowo-religijnego w „Okularniku", mafii lat 90. w „Pochłaniaczu" czy hazardu, kasyn w „Ze złości" nie działałyby na wyobraźnię czytelnika, gdybym nie pochyliła się nad tym światem i sama się nie dokształciła. Nie rezygnuję z badań terenowych, nie zamierzam nigdy z tego zrezygnować. To daje fundament książce, sprawia, że czytelnik czuje się odświeżony, dobrze poinformowany, a ja zabieram go w nieznaną, malowniczą podróż. Sądzę, że moi czytelnicy bardzo to lubią i byliby zawiedzeni, gdyby brakowało w moich książkach świata.

Dłużej przygotowujesz się do pisania powieści, niż ją później piszesz?

– Teraz już nie. Sam zapis zajmuje mi tyle samo, co badania. Inaczej opowiadam, mniej używam faktów, raczej przetwarzam je na wydarzenia. Istotny jest też element behawioralny. Bohaterowie działają w tych światach, są w nich zanurzeni. Nie opisuję już świata, ale kreuję w nim intrygę i wrzucam czytelnika w ten tygiel bez uprzedzenia, by miał jazdę bez trzymanki i gimnastykę umysłową jednocześnie. Myślę, że tylko to się zmieniło. Moje działania przed zapisem są takie same jak przed laty.

Od lat poruszasz się blisko spraw kryminalnych. Nigdy nie czułaś zagrożenia ze strony świata przestępczego?

– Niby dlaczego? To przecież zwykłe historyjki. Wyjątkiem jest „Miłość leczy rany" o kazachskim mordercy, w którym zakochała się Polka i uratowała go od wyroku śmierci: tego formalnego i plemiennego. Piszę o tym szeroko w posłowiu do tej opowieści, straszono mnie wtedy i realnie się bałam. Jednak nie mafii, ale wywiadu, który jest znacznie

eprasa.pl 186b9f9578

potężniejszym adwersarzem dla zwykłego zjadacza chleba, takiego jak ja, ponieważ ta powieść dotyka bardzo poważnego problemu geopolitycznego i dobitnie udowadnia, że w tamtym czasie były na tych terenach łamane prawa człowieka. Z samym protoplastą bohatera mordercy się przyjaźnię. To niesamowity człowiek honoru. Dlaczego tak mówię? Polecam zapoznać się z tą niezwykłą opowieścią, która czekała na zapisanie 18 lat!

Masz także dobre ucho do dialogów i często powtarzasz w wywiadach, że dużo czerpiesz z życia, np. podsłuchując rozmowy innych.

– Oczywiście. Każdy pisarz to robi. Nie jesteśmy w stanie wymyślić wszystkiego samodzielnie. Autorzy książek, scenariuszy to zwykli złodzieje fraz, kostiumów i rozwiązań dramaturgicznych. Chodzimy po świecie, podsłuchujemy, podglądamy. Nigdy nie wiesz, kiedy znajdziesz się w powieści. Co ciekawe, większość z nas uwielbia bywać niegodziwcem, ale nie tchórzem.

Wspomniałem już, że poza pisaniem kryminałów zajmowałaś się reportażem, w tym kreśląc dosyć mroczne sylwetki morderczyń. Skąd takie zainteresowanie złem, przemocą, brutalnością? Wiadomo, że brzydota i makabra, seks i sensacja się sprzedają, ale nie chodzi tylko o „opłacalne tematy"?

– Piszę nieustannie o walce dobra i zła. By opowiedzieć o tym, co właściwe, uczciwe, cudowne i wspaniałe, sięgam po kryminalne historie, czyli dowody „zła". Ja nie traktuję materiału na kryminał jak niektóre media, czyli dbając o klikalność. Tu nie chodzi o fakty, krew, zwłoki, sensacyjne elementy i epatowanie brutalizmem, by przyciągnąć uwagę. Chodzi o coś wręcz odwrotnego, o wejście w głąb, znalezienie genezy zła, dlatego ludzie tak chętnie sięgają po powieści. Dzięki takim sprawom, czasami doprawdy makabrycznym, my wszyscy przepracowujemy swoje lęki, a każdy je ma, niesiemy to w genach, rodowo, albo nabywamy z czasem, bo popełniamy błędy lub tak nam życie się ułożyło. Czasami ludzi spotyka zbrodnia, ponieważ zanadto się asekurują lub są chciwi. O tym są właśnie moje książki – to swoiste poradniki życiowe, pokazujące najgorszy, najczarniejszy scenariusz wraz z receptą, że z każdego bagna da się wyleźć. I zmienić swoje życie. Ci, którzy tego nie rozumieją, brną w te ślepe zaułki, zawsze płacą cenę najwyższą: giną albo stają się katami, czyli w efekcie też tracą wszystko, giną dla społeczeństwa i są skazani na wieczne potępienie.

W wywiadzie dla „Twojego Stylu" mówiłaś, że po czterdziestce poczułaś „pewien rodzaj luzu, jakby mózg nareszcie zintegrował się z ciałem". Nie przejmujesz się już wyglądem, opiniami?

Żyję z tantiem, to są tak satysfakcjonujące kwoty, o których nie śniłabym, pozostając w zawodzie reporterki.

– Jestem dumna z tego, jak się czuję, jak wyglądam, do czego doszłam. Ogłaszam światu w dniu urodzin, ile mam lat (aktualnie 45), i tylko chce mi się śmiać, bo nie dowierzam, że żyję już tak długo. Noszę jedynie dłuższe i bardziej zabudowane sukienki, by zasłonić niedoskonałości, chociaż prywatnie używam wszystkich swoich atutów, takich jak dekolt czy nogi, dopóki jeszcze nie sprawia to bólu postronnym. Wierzę też, może mylnie, że jeśli człowiek jest sam dla siebie autentyczny, ludzie nie widzą brzydoty, starości albo mankamentów. Co widzą? Uśmiech, radość, pewność siebie, spełnienie osobiste i zawodowe. Ja to wszystko mam od dawna, bo to jest moja decyzja i żaden krytyk nie jest w stanie mi tego odebrać. A gadać może każdy, co chce, to jego prawo. Szanuję to, ale nie biorę takich prezentów.

Jeszcze dekadę temu wydawnictwo „sprzedawało" Bondę nie tylko talentem literackim, ale i wyglądem. Był pomysł sesji dla „Playboya", było podkreślanie tego, że jesteś kobietą w mrocznym świecie autorów mężczyzn. Masz wrażenie, że przetarłaś drogę kobietom piszącym kryminały?

– Czyżbym już nie nadawała się do sprzedawania wyglądem (śmiech)? Zapewniam, że im jestem starsza, tym lepsza. Nie jestem aktorką, śpiewaczką, tancerką czy kimkolwiek, kto pracuje ciałem. Moim najcenniejszym kawałkiem organizmu jest mózg i dopóki pozostaje sprawny, zamierzam robić z niego użytek. To samo dotyczy wszystkich moich koleżanek. Każda z nas ma swój styl, osobowość i pasje, a one odzwierciedlają się w tym, jak wyglądamy zewnętrznie. Mam oczywiście poczucie satysfakcji, bo przecież byłam pierwsza, po mnie przyszły kolejne świetne autorki, ale czasy, kiedy mówiono, że „ona jest taka ładna, a jak pisze?", na szczęście minęły. Jak się domyślasz, czeka mnie w związku z tym wspaniała starość. Już teraz na spotkaniach autorskich pojawia się najwyższej maści komplement: „Taka pani inteligentna...". W pełni mnie to satysfakcjonuje! Wszak czytelnik nie widzi mnie, kiedy jest w trakcie lektury. Ale chyba czuje, kim jestem, czy mam zadzior, czy jestem śniętą rybą. Wszyscy czujemy charyzmę u innych i nie znosimy asekurantów, koniunkturalistów, lizusów. To, czy ktoś jest ładny, czy nie, to kwestia tylko i wyłącznie zadbania. Przede wszystkim emocjonalnego. I to każdy o siebie powinien się troszczyć, bo nikt nie zrobi porządku w twoim życiu za ciebie. Tylko dzieci do 18. roku życia mogą liczyć na rodziców. Potem trzeba brać odpowiedzialność za każdy uczynek, słowo i myśl.

Jakie są twoje rady dla osób marzących o pisaniu?

eprasa.pl 186b9f9578

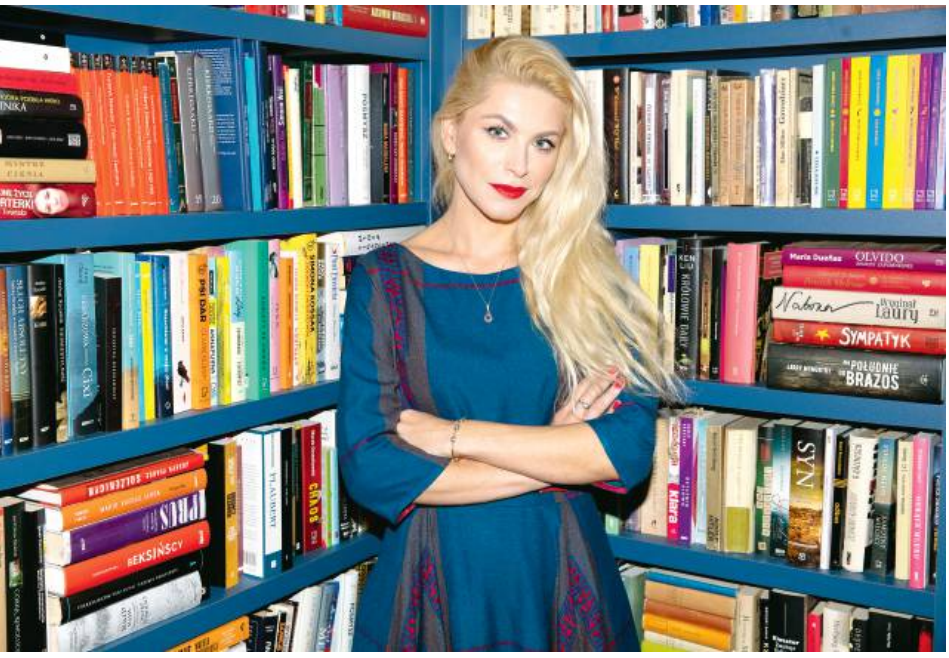

– Odradzam dokumentnie, bo to ciężki kawałek chleba, wymagający poświęceń. Nic nie wygląda tak, jak to pokazują na filmach. Jeśli jednak ktoś się upiera, to znaczy, że nic go od tego chleba nie odwiedzie! Wtedy polecam otworzyć serce i zastosować jedyną słuszną metodę: dyscyplinę. Uprzedzam: długo. A przynajmniej do debiutu. Dalej pójdzie jak z płatka, bo jeśli raz coś się napisze, to będzie się chciało więcej i więcej.

Jesteś w transie pisarskim, unikasz kontaktu ze światem zewnętrznym, wyjątkiem jest ten wywiad. Masz jakieś pisarskie rytuały?

– Owszem, np. w trakcie zapisu nie wyłażę z domu i nie rozmawiam z ludźmi. Wyłączam telefon, skupiam się na fabule. Książka staje się dla mnie światem bardziej realnym niż ten rzeczywisty.

Mówi się, że w pisaniu najważniejsze jest mieć „twardą dupę". Chodzi o to, że trzeba przysiąść i pisać, a nie czekać na natchnienie?

– Chodzi o to, żeby nie gniewać się na krytyków, kiedy będą dawać bezcenne rady, jak zmienić zapis, czego unikać i co ich drażni. Bo będziesz wtedy po tym tyłku bity, dotąd, aż zrozumiesz, co robisz źle. Wszyscy pisarze to tak naprawdę egomaniacy, z trudem przyjmują porady i uważają, że wiedzą wszystko najlepiej, choć na spotkaniach autorskich udają skromnisiów. A co do natchnienia, to są najpiękniejsze momenty w życiu. Polecam, porównywalne do intymnych chwil z ukochaną osobą, a im człowiek starszy, tym bardziej się tym jara.

Ponoć masz w gabinecie szafkę, w której trzymasz nagrody. I jest to szafka stale zamknięta. Dlaczego?

– To już nieaktualne, stoją wszystkie na parapetach, półkach, stoliczku specjalnie do tego zbudowanym przez mojego architekta. I masz tu odpowiedź: jest ich tyle, że zajmują strasznie dużo miejsca. Na szczęście stać mnie teraz na pomoc pani Halinki, która regularnie wyciera je z kurzu, za co jej z tego miejsca dziękuję.

Co czyta Katarzyna Bonda w wolnym czasie?

– Kryminały konkurencji, wielkie XIX-wieczne powieści dla resetu systemu oraz klasyków, dokumenty o psychopatach i niegodziwcach, reportaże i biografie wielkich albo strasznych.

Nadal zdarza ci się odpowiadać na pytanie, czy naprawdę nazywasz się Bonda?

– Tylko kiedy nieoczekiwanie znajdę się wśród zagranicznych filmowców. Nie mogą uwierzyć, że sama nie wymyśliłam tak dobrej ksywy, co poczytuję za komplement.

Pochodzisz z Hajnówki, miejsca styku kultur, narodów i religii. W kultowym „Okularniku" zajmowałaś się pogromem ludności polskiej i białoruskiej dokonanym przez bandę Burego. Jak w rodzinnych stronach odbierają twoją twórczość? Co oznacza dla ciebie to pochodzenie?

– Jestem dumna, że pochodzę z Hajnówki, miasteczka na Podlasiu, na styku kultur, religii i historii. Puszcza, żubry, nostalgiczne połacie łąk, mroczne lasy, śnieg po kolana albo kwitnące lipy przed domem. Zapach jedzenia, bo jedzenie było u nas swoistym misterium i do dziś kocham poznawać nowe smaki, a do tego folklor, którego nie da się z niczym porównać. Szczerość prostych ludzi i ich straszliwe traumy, tylko dlatego, że urodzili się na styku Zachodu i Wschodu, co zmusza ich do elastycznego odnajdywania się w tym cyklonie. Ten region naznaczył mnie nadzwyczajną wrażliwością na ludzką krzywdę i być może właśnie dlatego w ogóle piszę książki. Mam sprzeczne sygnały, jak ludzie odbierają np. „Okularnika", ale to było do przewidzenia, przecież właśnie o tym jest ta książka! Tam, skąd pochodzę, nie mówi się o sekretach, tylko zamiata się je pod dywan. Wszystko ma być gładkie, grzeczne i takie, jak chce tego większość. Buntowałam się przeciw temu od dziecka. Odkrywanie tabu zawsze było moim hobby i zapewniam – nie było to dobrze widziane. Natomiast moje ciągoty do mistyki i wiarę w to, że dobro istnieje, zawdzięczam religijnym rodzicom, którzy bardzo dbali, bym pamiętała, jaka jest granica między uczciwością a kłamstwem, szalbierstwem, zniewagą. To bezcenny fundament. Ktoś, kto od dziecka funkcjonuje w takiej przestrzeni, jest skazany na opowiadanie bajek.

Dzięki sprawom czasami doprawdy makabrycznym wszyscy przepracowujemy własne lęki, a każdy je ma.

Rafał Pikuła

FOT. LAWRESZUK.EU, ŁUKASZ DZIEWIC

eprasa.pl 186b9f9578

Lepiej nie ruszać

Czego dowiedzieliśmy się z kina w 2022 r., choć wcześniej to przypuszczaliśmy

Wiesław Kot

Z szerokiego świata napływają do nas w filmowych symulacjach problemy, które za chwilę będziemy musieli rozstrzygać nad Wisłą. Na razie patrzymy z bezpiecznej odległości: „Patrzcie państwo, co to się wyrabia...".

Sami tematu nie ruszamy, ale obserwujemy, że na świecie poszerza się pole rozumienia rodziny. Pedro Almodóvar w „Matkach równoległych" pokazał krok po kroku, że macierzyństwo to wypadkowa wielu najdziwniejszych czynników i często dalekie jest od modelu dwa plus… Matkom równoległym, bo rodzącym w tej samej klinice, trafiają się skrajne warianty macierzyństwa. Młoda i przebojowa pani fotograf traktuje ojca dziecka (żonatego mężczyznę) jako dawcę materiału genetycznego. I już! Z radością wychowa swoje maleństwo w pojedynkę. Jej sąsiadka z porodówki odwrotnie – to dziewczyna wystraszona życiem, na garnuszku u bardzo zachowawczych rodziców, która się zapomniała na przypadkowej imprezie. Urodzi, ale zupełnie nie czuje się matką. Chętnie oddałaby dziecko komu innemu na wychowanie, ale co ludzie powiedzą? A w filmie ta szarada jeszcze bardziej się skomplikuje, co poucza, że macierzyńskie szablony stają się bezużyteczne. W postfrankistowskiej Hiszpanii – już, w Polsce – jutro, pojutrze.

Pokrewny temat rozwija francuski dramat „Zdarzyło się". Konkretnie francuskiej studentce w roku 1963 zdarzyła się niechciana ciąża, którą ta młoda, pewna siebie i wykształcona kobieta próbuje usunąć. Sądzi, że będzie to zabieg łatwy, szybki i nieznaczący. Ale w tym momencie w całą procedurę wdaje się prawo, które karze za taki czyn długoletnim więzieniem, oraz opinia publiczna, która ów czyn potępia nawet w środowisku akademickim. Dziewczyna działa więc pod presją, zdjęta strachem, a konieczność wydania ogromnej sumy doprowadzi ją do kompletnego skołowania. Światopoglądowego, moralnego i finansowego.

Z rewirów małżeńskich obejrzeliśmy zaś w detalu bardzo ważne zaniechanie i jego skutki. Emma Thompson w filmie „Powodzenia, Leo Grande" weszła w rolę emerytowanej nauczycielki i wdowy, którą świętej pamięci małżonek pod koniec życia zostawił z ogromnym deficytem seksualnym. Przez całe dziesiątki lat, korzystając z jej ciała, tylko regulował obieg płynów fizjologicznych we własnym organizmie. Ją samą pozostawiało to upokorzoną, zbrzydzoną i niezaspokojoną. Teraz mocno zapuszczona pod każdym względem wdowa opłaca przystojnego sex workera, który ma za zadanie usatysfakcjonować kobietę po raz pierwszy w życiu. A z uwagi na jej wiek – pewnie jeden z ostatnich razów. Stremowana była nauczycielka, a obecna uczennica, podchodzi do tego zabiegu mechanicznie, jak do odrabiania lekcji. Tymczasem ów zawodowiec – cóż za niespodzianka! – roztacza przed nią paletę możliwości, o jakiej nie śmiała nawet zamarzyć. Oby tylko serce (w każdym sensie tego słowa) wytrzymało.

Kino podjęło problem gentryfikacji, czyli renowacji starych budynków, sprzedawanych z zyskiem po opróżnieniu z dotychczasowych użytkowników.

Z rzeczy istotnych kino podjęło w minionym sezonie problem gentryfikacji. Dokonuje się renowacji starych i szacownych budowli (kamienic, fabryk, biurowców), by po opróżnieniu ich z dotychczasowych użytkowników sprzedać te luksusowe wnętrza mieszkańcom nowym, o wiele bardziej zamożnym. Co na przykładzie wyjętym z dawnego Berlina Wschodniego pokazał film „Jedenaste: Znaj sąsiada swego". Oglądamy tu wiodącą niemiecką gwiazdę filmową Daniela Brühla, który gra samego siebie – nabywcę ekskluzywnego loftu z osobną windą. Gwiazdor, jadąc na kolejny casting, zmuszony jest spędzić godzinkę w barze na rogu i zetknąć się z miejscowymi, których tolerował dotąd jak „faunę ludzką". I ci sąsiedzi, których traktował jak powietrze, uświadamiają mu, że jest zwykłym dupkiem, spoconym od gonienia za karierą. On da im w zamian do zrozumienia, że uważa ich za leni i nieudaczników zazdroszczących mu kariery i pieniędzy. Ot, taka wymiana uprzejmości na starych/nowych śmieciach.

I życie od drugiego końca. Mamy oto kwestię eutanazji we francuskim obrazie „Wszystko poszło dobrze". A mogło nie pójść, bo eutanazja, czyli wspomagane samobójstwo, we Francji jest nielegalna. 85-letni przedsiębiorca, zawsze ruchliwy i ekspansywny, a teraz powalony nagłym paraliżem, musi swoją eutanazję przeprowadzić po sąsiedzku w Szwajcarii, gdzie jest legalna. Przy tym ojciec jest zorganizowany i apodyktyczny, więc wymaga od córek, by ta „grupa zadaniowa" zorganizowała mu odejście starannie i z klasą. Co się odbywa, ale bynajmniej nie

eprasa.pl 186b9f9578

„Teściowie"

„Benedetta"

„Powodzenia, Leo Grande"

jako akt jednorazowy. Umieranie staje się przewlekłym procesem: administracyjnym, organizacyjnym i emocjonalnym. A sam wiekowy przedsiębiorca uważa, że jego śmierć jest sprawą zbyt poważną, by powierzać ją przypadkowi. Odchodzi na własnych zasadach i dopiero wtedy bliscy oceniają, że być może nie był to wcale taki najgorszy pomysł.

Mistycy, kolaboranci, faryzeusze

Importować musimy także filmową myśl religijną, bo u nas na ten temat na przemian paszkwile i oleodruki. W amerykańskich „Oczach Tammy Faye" mieliśmy zawodową teleewangelizatorkę, figurę autentyczną. Do tego piosenkarkę i osobowość telewizyjną, która rozkręciła największą na świecie kaznodziejską sieć medialną i zbudowała „chrześcijański park rozrywki". Religijne pouczenia w wykonaniu Tammy i jej męża Jima każdego tygodnia oglądało po 20 mln widzów, a prowadzony przez nich park (dziesięć razy większy niż Disneyland) był miejscem najchętniej odwiedzanym przez religijne amerykańskie rodziny. Tammy z wierzchu głosiła cnoty ewangeliczne, a pod spodem przemycała informację, że jeśli ciężko pracujesz i słuchasz się telewizyjnych kaznodziejów, masz już w tym życiu prawo do dobrobytu, wygody i szczęścia. Z tym że sama Tammy i jej mąż koncentrowali się na dobrobycie. Co skończyło się narodowym skandalem, gdy okazało się, że ich korporacja oszukała podatników na grube miliony, a Jim zgwałcił dziewczynę i za milczenie płacił jej darowiznami od wiernych. I tak gwiazda ewangelizacji okazała się gwiazdą obciachu. Znamy? Znamy.

O sprawy religijne – pozornie odległe – zahacza opowieść historyczna „Benedetta". Jest wiek XVII, Włochy, a tam w odludnym klasztorze pewna zakonnica, z czasem stygmatyczka, dzieli się z siostrami wizjami. Raz mają one charakter religijny, innym razem zaś erotyczny. I nie bardzo wiadomo, czy traktować ją jak chodzącą świętość, czy jak czarownicę, dla której należy wznieść na rynku stos. Bo na diagnozę, że kobieta może być po prostu zaburzona psychicznie, epoka jeszcze nie jest przygotowana. Miejscowym dostojnikom kościelnym też trudno się połapać w całej sytuacji i zająć stanowisko. To w jakimś sensie przypomina sprawę Medziugoria, a tam pośród języków obcych najczęściej ciągle słychać polski.

O sprawy kościelne zatrącił słowacki film „Słudzy". Oto rok 1980, realny socjalizm trzyma się mocno, a do seminarium duchownego trafiają dwaj młodzi gorliwi adepci. I co? Rozczarowanie za rozczarowaniem. Wielu kolegów schroniło się na tej uczelni, uciekając przed wojskiem. Inni wpadli na chwilę, by przeżyć kolejną przygodę, jeszcze inni uważają seminarium za miejsce przechowania się w państwie opresyjnym. Zawsze to lepsze niż konspiracja, która i tak jest infiltrowana przez bezpiekę. Przełożeni koncentrują się na przetrwaniu instytucji kościelnej za wszelką cenę. Z jednej strony kontaktują się z Wolną Europą, ale z drugiej ulegają naciskom władzy. Całkiem rozmywa się podział na to, co boskie, i na to, co cesarskie. Młodzi ludzie, którzy liczyli na wytyczenie jasnych kierunków we własnym życiu, zupełnie nie wiedzą już, co znaczy być

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 186b9f9578

księdzem. Zwłaszcza że poznali to kapłaństwo w tylu rozmaitych i wykluczających się wersjach. Znamy? Pewnie, też znamy.

Ojczyzna jako zastaw

Sprawy polskie, sprawy swojskie. O ojczyźnie dowiedzieliśmy się, że się wyprzedaje. A zwłaszcza wyprzedaje się ta część społeczeństwa, którą ominęły transfery socjalne lat ostatnich. Bywa ona większa, niż to wynika z oficjalnych danych. W inscenizowanym dokumencie „Lombard", zlokalizowanym w Bytomiu, w „polskim Detroit", wielu mieszkańców zostało na lodzie, gdy pozamykano okoliczne kopalnie i wspomagające je zakłady pracy. Niedawni uprzywilejowani „pracownicy sektora węglowego", aby przeżyć, wynoszą z domu do lombardu po kolei wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. I więcej – przychodzą pogadać, wyżalić się i opowiedzieć historię rzeczy, którą oddają w zastaw. W ten sposób wyprzedają swoje dotychczasowe życie, aby mieć pieniądze na to życie, które im jeszcze pozostało. Jeżeli w ogóle można to nazwać życiem.

Zdarzyła nam się również w tym roku ambitna i sugestywna próba przełamania tabu, jakim jest cierpienie zwierząt, w szeroko komentowanym i nagradzanym filmie „IO" Jerzego Skolimowskiego. Te kwestie, zresztą w ślad za powieścią Olgi Tokarczuk, poruszyła wcześniej Agnieszka Holland w filmie „Pokot". Tutaj zaś biedny osiołek zaczyna swoje smutne życie od cyrkowej tresury, by przechodzić potem z rąk do rąk. Lepszych lub gorszych. Ludzie zwykle patrzą na zwierzę jak na szkielet obrośnięty mięsem przeznaczonym do konsumpcji albo jak na maszynę wykorzystywaną do najcięższych prac. Jeżeli zwierzakowi trafi się w jakimś ludzkim gremium rola maskotki, może myśleć o wyjątkowym szczęściu. Film o osiołku jest więc raczej filmem o ludziach. Filmem prawdziwym, ale przez to bardzo przykrym.

Kolejna rodzinna dekompozycja jest do obejrzenia w polskim obrazku obyczajowym pod tytułem „Teściowie". Dom weselny w pełnej gotowości, goście sproszeni, a tu się okazuje, że młoda para gdzieś się zawieruszyła. Może uciekli od tej całej szopki, może zrezygnowali ze ślubu, może godzą się w jakimś cichym kąciku. Wesele jednak musi się odbyć i nowożeńców musi zastąpić czwórka rodziców obojga. Jedni teściowie to wysferzeni państwo z Warszawy, a drudzy to „kwiat Podlasia". Od słowa do słowa i już idzie na noże. Bo pogarda „miastowych" wobec „wsiowych", a z drugiej strony nienawiść wsi do miasta i Polski B do Polski A. Złych emocji jest tyle, że tu żadne pojednanie nie będzie możliwe. „Sami swoi, polska szopa", by zacytować „Wesele" Wyspiańskiego – sprzed 120 lat.

O Polsce z niższych pięter traktuje także film składankowy pod tytułem „Kraj". Uczniowie reżysera Macieja Ślesickiego nakręcili po nowelce obyczajowej, ujmując te elementy współczesnej Polski, które wydawały im się najbardziej znaczące. I jeżeli mówimy o ruchu drogowym, to oglądamy coweekendową rzeźnię. Urządzają ją bezmyślne jełopy, ryzykując dla kwadransa zaoszczędzonego czasu życie i zdrowie setek ludzi, między których wpychają się „na trzeciego". Poza tym rodacy bywają rutynowo upośledzeni. Nie są w stanie zdążyć na czas, a gdy np. mają w ramach obowiązków służbowych uśmiechnąć się do klienta, uważają to za dyshonor. I jeszcze jedno – w Polsce zawrotną karierę robi „a nuż", które to wyrażenie oznacza mniej więcej tyle, że zasadniczo sprawy toczą się w kierunku fatalnym. Na pewno wszystko zawalimy. A przecież Polak ciągle hołubi w sercu nadzieję, że „a nuż" ktoś nas nie przyłapie, „a nuż" jakiś przypadek zdecyduje, że się wywiniemy, „a nuż" wszystko – mimo wszystko – pójdzie dobrze. I na tym od setek lat fundujemy nasz byt narodowy.

Osobna kategoria filmów to dzieła wyraźnie ponad siły ich twórców. Nabzdyczone, napuszone, a gdy się przyjrzeć – purchawy i wydmuszki.

Hucpa, dęciak, fejk

Osobna kategoria filmów to dzieła wyraźnie ponad siły ich twórców. Nabzdyczone, napuszone, a gdy się przyjrzeć – purchawy i wydmuszki. Wnoszą znacznie mniej, niż opiewała reklama. I tak lepiej nie brać się do literatury, której reżyser wyraźnie udźwignąć nie potrafi. W powieści Doroty Masłowskiej „Inni ludzie" Polska „epoki diet pudełkowych" mieści się w języku. Inaczej gada bezrobotny warszawski lump, który przez pół roku nie umie się zmobilizować, by wynieść z domu choinkę, inaczej paniusia z grodzonego osiedla, a jeszcze inaczej zblazowana córunia. Każdy język to osobny świat. Te języki się nie nakładają, ludzie paplają jeden przez drugiego, nikt nikogo nie słucha. Społeczeństwo w rozsypce. To w powieści. A tymczasem w filmie wszyscy oni mówią mało, nie na temat i bez sensu. Co uzyskujemy w rezultacie? Romans damy z towarzystwa z hydraulikiem. Pikantne strony internetowe taką anegdotę zamykają w najwyżej dziesięciu minutach.

Z rzeczy, których nie powinno się ruszać, jeżeli nie ma się na nie wystarczająco świeżego pomysłu, obejrzeliśmy w tym roku „Śmierć na Nilu" Agathy Christie w wersji Kennetha Branagha, który to wyreżyserował, a siebie samego obsadził w roli Herkulesa Poirota. I nie powinien tego robić, ponieważ okazał się w tej roli wielkim nadętym niczym. Nie miał w sobie ani cienia pogodnego sybaryty, jakim w tej roli ukazał się Peter Ustinov, ani skupionego demonicznego wdzięku, jaki wydobył z tej postaci Albert Finney. A już najdalej mu do tej ulotności i kokieteryjności, jaką obnosi po ekranach David Suchet. I zamiast bawić się bibelotem sprzed lat, męczymy się jak na przydługiej operze. W dodatku i tak doskonale przecież pamiętamy, kto zabił…

Wiesław Kot

eprasa.pl 186b9f9578

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Do zobaczenia w Nowym Roku

Zanim zostałem pisarzem, byłem zapisywaczem. Sporządzałem więcej notatek, niż dziś piszę, było coś nieomal kompulsywnego w skrzętnym notowaniu wszystkich wydarzeń, jakbym miał przekonanie, że to, co niezapisane, nie wydarzyło się w pełni. Oprócz spisywania życia na bieżąco w dzienniku miałem manię katalogowania wszystkich istotnych przeżyć, w dodatku każde z nich opatrywałem wartościującą notą. Część tych rejestrów prowadzę do dziś, stąd np. wiem, że odwiedzona przeze mnie w ubiegłym tygodniu nowo odkryta grota jurajska dostała numer 926 i coraz bliżej jestem poznania okrągłego tysiąca różnych grot. W czasach galopującej adolescencji prowadziłem nawet hurraoptymistyczny spis cudzołożnic, zakładając, że i on sięgnie co najmniej Pilchowskich standardów, tymczasem jako niewolnik seryjnej monogamii okazałem się w tej dziedzinie poczciwiną. Notowałem także wszystko, co przeczytane, obejrzane, usłyszane, a nawet wypite, prowadziłem raptularze oka, ucha i podniebienia – pobierając za to honoraria w pismach literaturo- i filmoznawczych, muzykologicznych tudzież winiarskich. Zazdroszczę sobie tej skrupulatności sprzed lat, zamiłowanie do porządkowania i utrwalania wszystkiego, co się mnie tyczy, było rodzajem nieszkodliwego egotyzmu, wiedzionego przeczuciem starości, którą spędzę na czytaniu pamiętników i rzewnym wspominaniu czasu minionego. Tylko że im bliżej starości, tym mniej mi się chce wspominać, a tym więcej żyć.

Im bliżej starości, tym mniej mi się chce wspominać, a tym więcej żyć.

Mamy jednakowoż czasy, w których we wszystkim wyręczają nas najrozmaitsze aplikacje wymagające wyłącznie naszych opuszków palców i trzeba być wyjątkowo leniwym, żeby się im oprzeć. Dzięki jednej z nich wiem, co widzę. Na ekranach. A jako że schyłek roku wzmaga w kinomanach potrzebę podsumowań, uraczę szanownych czytelników wnioskami ze wglądu w moje filmwebowe kliknięcia. Mam swój profil do oceniania filmów, ale odnotowuję w nim tylko te, którym wystawiłem najwyższe noty, od ósemki, czyli dzieła „bardzo dobrego", wzwyż. W 2022 r. żadnej premiery kinowej tak nie oceniłem, zobaczyłem za to sporo dobrego z bliższej lub nieco dalszej przeszłości.

Być może za sprawą wojny ułatwiono nam dostęp do kultury ukraińskiej, a także do jej współczesnej, nadzwyczaj ciekawej kinematografii. Od niedawna dostępne jest w streamingu „Odbicie" – nowy film Walentyna Wasjanowycza, którego bacznie obserwuję od czasu porażającej „Atlantydy". To artysta totalny, reżyser i operator rozlubowany w statycznych mastershotach, mistrz głębokich planów, w autorskich obtregalderazach bez litości pokazujący okropności wojny w Donbasie i spustoszenia, jakie czyni w ludzkich umysłach. To kino najwyższej próby, ale bez znieczulenia, tymczasem okazuje się, że Ukraińcy potrafią też opowiadać historie mimowojenne, młodzieńczo żwawe i niosące nadzieję, jak rewelacyjny „Przystanek – Ziemia" Kateryny Gornostaj z udziałem naturszczyków – maturzystów z kijowskiego liceum.

Wciąż zadziwia mnie kino rumuńskie, w którym każdego roku odkrywam dla siebie nowego wybitnego twórcę, a hossa tej kinematografii trwa już co najmniej od Złotej Palmy dla Cristiana Mungiu sprzed 15 lat. Poniewczasie dowiedziałem się o istnieniu Radu Munteana, który wrócił arcydzielnie tragikomicznym „Întregalde", a oglądane retrospektywnie jego poprzednie dzieła, takie jak „Wtorek, po świętach" czy „Boogie", każą mi w nim widzieć twórcę równie wybitnego jak jego imiennik Radu Jude czy Florin Şerban.

Spośród hollywoodzkich superprodukcji największą frajdę sprawił mi remake „Zaułka koszmarów" dokonany przez Guillerma del Toro z wyjątkowym smakiem i gwiazdorską obsadą. W archiwach wygrzebałem genialną adaptację Hamsunowskiego „Głodu" z fantastyczną rolą Pera Oscarssona i niepokojącą muzyką Krzysztofa Komedy, nieznaną mi dotąd nie wiedzieć czemu, klasyczną i o niebo lepszą od tej Polańskiego adaptację „Olivera Twista" z pamiętnym Alekiem Guinnessem w roli Fagina, a także wspaniały etnohorror „Wij" z 1967 r. według Nikołaja Gogola, czyli ukraińskiego pisarza Mykoły Hohoła, żeby było na propsie. Wszystkie te filmy dostępne w necie polecam na noworoczno-trzejkrólowe wieczory i poranki (poza chyba Wasjanowyczem, który może nie znieść zderzenia z choinkowo-bombkową atmosferą). ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 186b9f9578

Miliony skanów za miliony złotych

Mamy w Polsce bardzo rozbudowaną bibliotekę cyfrową. Niestety, mało kto o niej wie

Kornel Wawrzyniak

Mój niedoszły teść oglądał w każdą Wigilię „Misia" Stanisława Barei. Zapytałem go, skąd mu się wzięła ta świecka tradycja. Odpowiedział, że raz do roku, kiedy ma trochę spokoju, lubi sobie przypomnieć, że żyjemy w kraju, w którym nie dość, że wszystko wygląda jak u Barei, to jeszcze nigdy się tych bareizmów nie pozbędziemy. Niezależnie od tego, jakich najnowszych technologii i światłowodów będziemy używać.

Co wspólnego mają z tym ponad 3 mln dostępnych online skanów zgromadzonych przez Bibliotekę Narodową? Nasza opowieść zaczyna się 21 grudnia 2002 r., kiedy to z ramienia Departamentu Promocji Społeczeństwa Informacyjnego Ministerstwa Nauki powstała Polska Biblioteka Internetowa. W zamierzeniu zgromadzone online zbiory miały ułatwiać edukację osobom pochodzącym z małych miast lub regionów oddalonych od ośrodków akademickich czy kulturalnych. W praktyce skorzystali głównie akademicy, specjaliści i ludzie zamiłowani w bibliotekoznawstwie czy historii. Ogółem osoby będące w temacie. Z najnowszej odsłony PBI, która przeobraziła się w ciągu lat w Polona.pl, nadal może skorzystać każdy. Problem w tym, że po 20 latach istnienia o stronie z pokaźnymi zbiorami nadal wie niewiele osób.

Miś

Wokół projektu Polskiej Biblioteki Internetowej narosło sporo kontrowersji, i to od samego początku. Główną linią krytyki były koszty związane z jej powstaniem. Wątpliwości wyrażali m.in. dziennikarze „Internet Standard", tytułu zajmującego się wiadomościami ze świata raczkującego w Polsce internetu. Informowali, że na stworzenie PBI, która miała na starcie zaledwie 265 zdigitalizowanych pozycji, zostanie przeznaczone w 2003 r. 3,5 mln zł, aby rozbudować bazę tytułów o kolejne – zaledwie – 6 tys. pozycji. Z tej kwoty na internetową reklamę wydano 147 tys. zł. Eksperci twierdzili, że był to zabieg chybiony, wręcz niepotrzebny, ponieważ kampania nie odniosła żadnego skutku. Warto pamiętać, że były to inne czasy, kiedy reklama w sieci nie była oczywistością. Według badań SMG/KRC Poland Media w 2002 r. mieliśmy w Polsce 5,2 mln internautów. Dla porównania – według analizy Mediapanel Gemius w czwartym kwartale 2021 r. z internetu miesięcznie korzystało średnio 29,6 mln Polaków.

Nie był to jedyny zarzut formułowany przeciwko inicjatywie. Pierwsi użytkownicy pokazywali niedostatki PBI: „Otworzyłem sobie »Romeo i Julię« Szekspira. Nie ma śladu informacji o tym, kto to tłumaczył i na podstawie jakiego wydania publikują tekst. Jak nic naruszenie prawa autorskiego. To, że nie ma notki, co to za dzieło, kto je stworzył, kiedy były ciekawsze tłumaczenia i wydania, świadczy o braku jakiejkolwiek koncepcji edukacyjnej autorów projektu", pisał jeden z internautów, który korzystał z serwisu w pierwszych dniach. Wpadek było na początku tyle, że stronę wziął na warsztat popularny na początku lat dwutysięcznych serwis Osiolki.net, oddolna inicjatywa, która pomagała twórcom stron internetowych w poprawianiu błędów popełnionych podczas tworzenia portali. Niech to wybrzmi – PBI robiona za 3,5 mln zł była krytykowana przez serwis, który pomagał przeważnie amatorom stawiającym pierwsze kroki w sieci.

Innym zarzutem były problemy nawigacyjne, ponieważ książki skatalogowano tylko według tytułów i autorów. PBI potykała się tak o własne sznurówki aż do 2008 r., kiedy to przejęło ją od MSWiA Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Tym sposobem serwis de facto trafił w ręce Biblioteki Narodowej, z którą do tej pory właściwie konkurował, tworząc alternatywną dla portalu Polona.pl bazę lektur.

Stare po staremu

Inicjatywa Polskiej Biblioteki Internetowej przez cztery lata leżała odłogiem, aż w 2012 r. zainteresowała się nią Najwyższa Izba Kontroli. „NIK krytycznie ocenia także realizację przez MSWiA projektu Polskiej Biblioteki Internetowej (PBI). Miała ona zapewnić internetowy dostęp do klasyki literatury polskiej i światowej, dokumentów archiwalnych, czasopism i periodyków. Choć na ten projekt wydano łącznie 10 mln zł, to stan zasobów oraz funkcjonalność PBI znacząco odbiega od standardów oferowanych przez inne biblioteki cyfrowe", czytamy w raporcie. Kontrolerzy NIK wymieniają mankamenty tej witryny, m.in. brak udogodnień dla osób niedowidzących i słabą jakość plików. Dodatkowo raport zwraca uwagę, że technologia zastosowana przy budowie strony uniemożliwiała jej dalszy rozwój. Być może dlatego po przejęciu PBI Biblioteka Narodowa zaczęła w 2012 r. przenosić treści do portalu, który sama rozwijała.

Na stronie mamy ponad 3,7 mln skanów i plików. Wpisujemy poszukiwaną frazę czy autora w wyszukiwarkę i możemy czytać.

eprasa.pl 186b9f9578

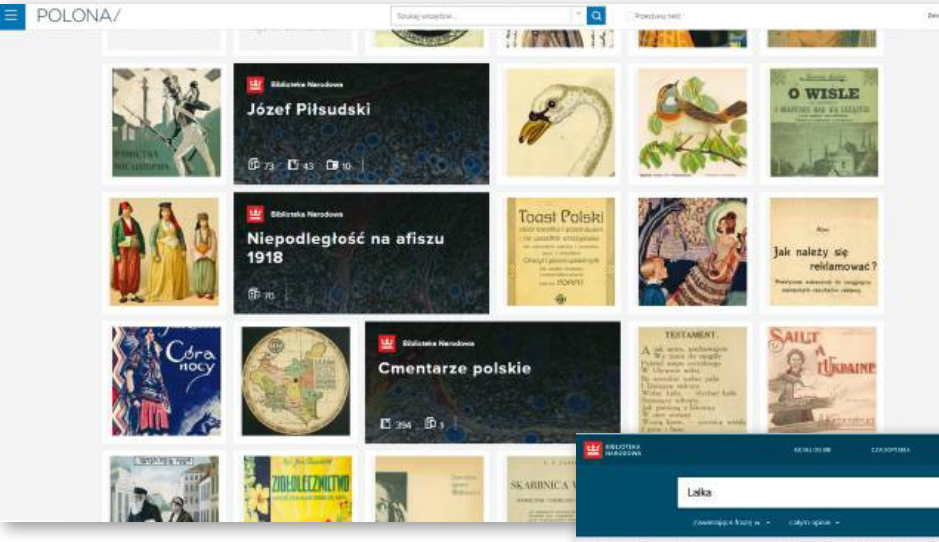

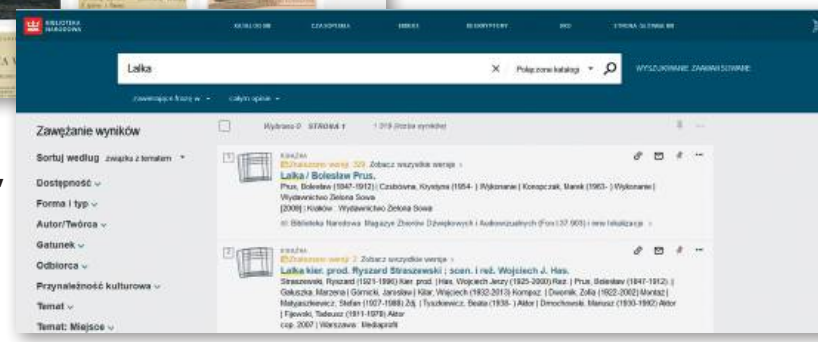

Polona jest portalem darmowym, w którym nie trzeba nawet zakładać konta, aby korzystać z większości jej funkcji.

Co jednak ważne, NIK opublikowała raport cztery lata po przejęciu Polskiej Biblioteki Internetowej przez nowy podmiot. I kontrolerzy NIK również na Bibliotece Narodowej nie zostawili suchej nitki. Mimo że PBI miała już 10 lat, nadal borykała się z problemami z zakresu prawa autorskiego. Poza tym skany były w tak złej rozdzielczości, że nie nadawały się do długotrwałej archiwizacji, a część była wybrakowana. Można jednak powiedzieć, że wiele czasu i pieniędzy upłynęło od napisania raportu Najwyższej Izby Kontroli i serwis Polona.pl święci dziś triumfy jako jedna z największych bibliotek cyfrowych w Europie. Przenoszenie zasobów do Polony trwało cztery lata, między 2012 a 2016 r. Przeanalizowano w tym czasie pliki z PBI i zaimportowano to, co miało wystarczającą jakość i nie budziło wątpliwości prawnych.

Polona

„Zachęcamy do skorzystania z zasobów cyfrowych Biblioteki Narodowej, które są udostępnione w serwisie POLONA. To najnowocześniejsza w Polsce i jedna z największych w Europie bibliotek cyfrowych. Uczniowie i nauczyciele znajdą w serwisie rękopisy iluminowane, najstarsze polskie książki drukowane, ryciny, rysunki, stare elementarze, książki dla dzieci czy dawne poradniki", można przeczytać na stronie rządowego serwisu Gov.pl z okazji dnia bibliotekarza. Dowiadujemy się też, że jest to największa cyfrowa biblioteka w Polsce, która ma połączone zbiory z Biblioteką Jagiellońską: „W serwisie można znaleźć: najcenniejsze skarby polskiej kultury i historii, np. »Kronikę« Galla Anonima, rękopisy Kochanowskiego, Mickiewicza i Chopina czy rysunki Norwida i Witkacego. Są tu obiekty reprezentujące przekrój dziedzin i epok: rękopisy iluminowane, najstarsze polskie książki drukowane, ryciny, rysunki oraz publikacje popularne – pocztówki, stare elementarze, książki dla dzieci, książki kucharskie czy dawne poradniki".

Ale jak to właściwie działa? Polona jest portalem darmowym, w którym nie trzeba nawet zakładać konta, aby móc korzystać z większości jej funkcji. Na stronie mamy ponad 3,7 mln skanów i plików. Wpisujemy poszukiwaną frazę, autora czy nawet słowo w wyszukiwarkę i już możemy czytać. Oczywiście o ile tytuł znajduje się w tych zasobach. Na przykład po wpisaniu hasła „Lalka" wyskakują dziesiątki wydań dzieła Bolesława Prusa. Można przeczytać skan zarówno z 1890 r., jak i z 1925 czy 1946. Pojawia się pytanie, czy taka liczba skanów jednego tytułu, który nie występuje przecież w różnych tłumaczeniach, jest komuś potrzebna. Być może koneserzy literatury stwierdzą, że fajnie porównać sobie poszczególne egzemplarze. Pozostaje jednak wątpliwość, czy ktoś przypadkiem nie postawił tutaj na ilość, a nie na jakość, aby móc się pochwalić wielkością biblioteki. Oczywiście nie można odmówić wartości wszystkim tym skanom, które umożliwiają chociażby przeczytanie najstarszych wydań „Kuriera Warszawskiego", co może być bardzo przydatne dla autorów książek czy prac naukowych. Jednak właśnie w tym tkwi problem. Polona wydaje się narzędziem dla wąskiej grupy specjalistów i entuzjastów. Miesięcznie odnotowuje się od 3 do 3,6 mln wejść, jednak liczba zarejestrowanych użytkowników portalu wynosi około 100 tys. osób.

Kierunek ten zdaje się potwierdzać ostatnia akcja poszerzenia zasobów portalu kierowanego przez Bibliotekę Narodową. Chodzi o realizowany w latach 2017-2020 projekt „Patrimonium", mający na celu digitalizację i udostępnienie polskiego dziedzictwa narodowego znajdującego się w zbiorach Biblioteki Narodowej i Biblioteki Jagiellońskiej. Wszystkie wybrane do projektu obiekty należały do domeny publicznej, a więc mogą być bez ograniczeń wykorzystywane przez użytkowników portalu. Przyjrzyjmy się, co trafiło do cyfrowego przetworzenia. „Procesowi digitalizacji zostaną poddane dokumenty

eprasa.pl 186b9f9578

pochodzące ze zbiorów kartograficznych, muzycznych, ikonograficznych, jak również czasopisma, druki ulotne, rękopisy, stare druki oraz książki z XIX i XX w. Część z nich podlega szczególnej ochronie ze względów konserwatorskich i nie jest dostępna na co dzień", informowała Biblioteka Narodowa w 2017 r. Przeprowadzona digitalizacja objęła ponad milion obiektów z obu bibliotek i kosztowała prawie 100 mln zł, z czego ponad 83 mln pochodziło z funduszy Unii Europejskiej. Projekt doczekał się kontynuacji w postaci „Patrimonium – Zabytki piśmiennictwa", między lipcem 2020 r. a listopadem 2022 r. Zeskanowano jeszcze starsze i cenniejsze zapiski, m.in. oryginały Galla Anonima, co kosztowało kolejnych 37 mln zł. Unia znowu wyłożyła większość kwoty, bo 84%. Według Biblioteki Narodowej utrzymanie samej infrastruktury Polona.pl to ponad 350 tys. zł rocznie brutto. To jednak tylko ułamek wszystkich kosztów portalu. Do tego trzeba doliczyć serwerownie, administratorów, informatyków, bibliotekarzy publikujących cyfrowe obiekty na polona.pl i wielu innych pracowników BN, którzy stale poszerzają wirtualne zbiory.

W Polona.pl nie przekonuje sama funkcjonalność strony. Część użytkowników narzeka na bałagan panujący na stronie głównej. Skany najlepiej pobierać bezpośrednio na dysk, gdyż przeładowywanie kolejnych stron trwa bardzo długo. Wątpliwości budzi też funkcja „warstwy tekstowej" pozwalająca skopiować tekst bezpośrednio ze skanu, która miałaby potencjał dla uczniów, a podobno to dla nich Polona ma być wielkim ułatwieniem.

Problem w tym, że **Polona** wydaje się narzędziem dla wąskiej grupy specjalistów i entuzjastów.

Postanawiam to sprawdzić. Przełączam się pomiędzy kolejnymi „Lalkami" i próbuję z użyciem wspomnianej funkcji skopiować fragment książki do pliku tekstowego. Niestety, niezależnie od wybranej „Lalki" po kliknięciu „wklej" pojawia się zbity tekst bez spacji, którego nie da się zrozumieć. Pech. Na szczęście strona Gov.pl podpowiada mi, że jeśli szukam darmowego dostępu do szkolnych lektur, to pod adresem lektury.gov.pl mogę odnaleźć większość tytułów. Klikam w link. Strona nie działa. Wykonuję intelektualnego fikołka i przekopiowuję adres do nowego okna wyszukiwarki. Strona otwiera się, ale z ostrzeżeniem na czerwono, że nie spełnia najnowszych norm bezpieczeństwa. Ryzykuję, w końcu to domena rządowa, przechodzę dalej. Po kilku chwilach nawigowania okazuje się, że ten adres nie działa, karmiąc mnie w kółko powiadomieniem: „Przepraszamy, wystąpił błąd. Odśwież stronę".

Tylko kto to będzie czytał?

Pozostawiony samemu sobie postanowiłem szukać dalej użytecznej dla ucznia wersji „Lalki". Trafiam na stronę WolneLektury.pl. Strona zrobiona jest na tip-top. Znajduje się tu masa tytułów. Wszystkie książki można pobrać w kilku rozszerzeniach na czytniki. Nie brakuje także wersji przeglądarkowej. Część lektur jest w audio. Treść można oczywiście bez problemu kopiować do notatek. Na stronie wyświetla się baner, który informuje, że aby przetrwać, portal potrzebuje wsparcia finansowego użytkowników. Za WolneLektury.pl odpowiedzialna jest bowiem fundacja Nowoczesna Polska. Okazuje się więc, że znowu to inicjatywa oddolna musiała zadbać o coś w polskiej edukacji i zrobiła to lepiej niż państwo.

A to niejedyny niepokojący fakt. Z badań Biblioteki Narodowej dotyczącej czytelnictwa w Polsce w 2020 r. wynika, że 58% respondentów w ciągu roku nie przeczytało ani jednej książki. Tylko 5% przeczytało od 7 do 11 książek, czyli mniej niż jedną na miesiąc. Na koniec warto przytoczyć samo pytanie zadawane respondentom: „Czy w ciągu ostatnich 12 miesięcy czytał(a) Pan(i), w całości lub fragmencie, albo przeglądał(a) Pan(i) jakieś książki?". Widać, że nawet badacze nie mają złudzeń, jak to czytelnictwo w Polsce wygląda.

Mamy zatem ogromną darmową bibliotekę cyfrową z milionami pozycji, stworzoną za setki milionów złotych w kraju, w którym ponad połowa obywateli nie jest w stanie przejrzeć nawet jednej książki rocznie. Trudno nie pomyśleć o słomianej inwestycji z filmu Barei.

Kornel Wawrzyniak

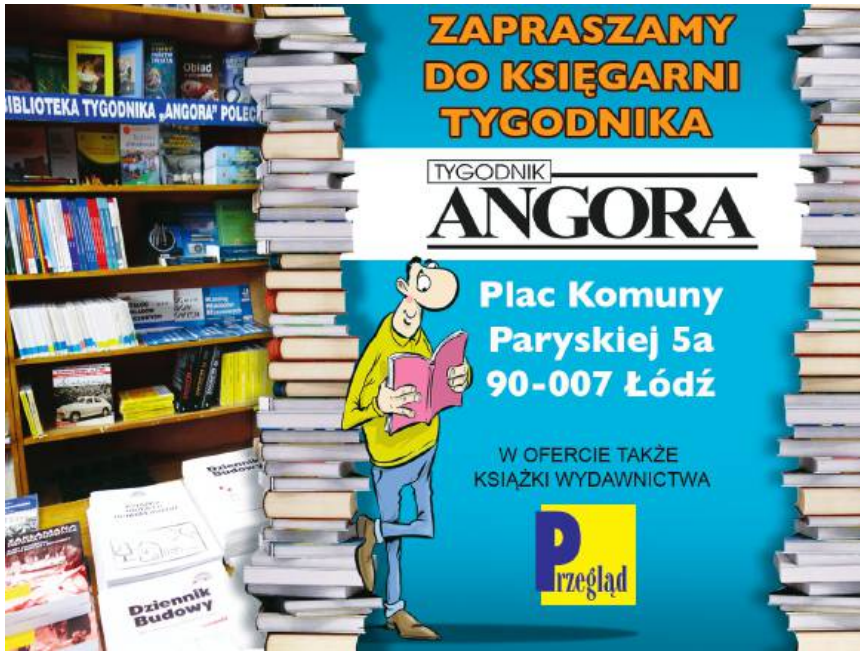

eprasa.pl 186b9f9578

KURTYNA W GÓRĘ

Restart

Recenzję „Mojego roku relaksu i odpoczynku" napisał jeszcze przed premierą wojewoda Radziwiłł. Swoją niedorzeczną decyzją sprawił, że nawet recenzenci prawicowej prasy piszą pochlebnie o pierwszej premierze po zmianie dyrekcji w Dramatycznym. Rzecz w tym, że wbrew czarnym przepowiedniom przeciwników nie powstał spektakl wywrotowy, wzywający do obalenia ustroju i zniszczenia wszystkiego, co drogie konserwatyście.

Na premierę otwarcia Monika Strzępka wybrała adaptację powieści amerykańskiej pisarki Ottessy Moshfegh o młodej kobiecie z zamożnego domu, która, rozczarowana światem, relacjami w rodzinie i pracy, postanawia się wyłączyć. Sięga po środki psychotropowe i przeżywa rok w stanie swoistej hibernacji. Reżyserię powierzyła nowa dyrektor młodziutkiej, ale już dobrze znanej Katarzynie Minkowskiej – jej „Cudzoziemka" z Teatru Polskiego w Poznaniu właśnie wyjechała z festiwalu Boska Komedia z nagrodami przyznanymi przez międzynarodowe jury. Minkowska to bardzo obiecująca reżyserka, która umiejętności warsztatowych dowiodła, wystawiając „Stream" w TR Warszawa. Przedstawieniem w Dramatycznym potwierdza biegłość w budowaniu spektaklu, widoczną we wszystkich jego warstwach, począwszy od funkcjonalnej, minimalistycznej dekoracji, a kończąc na rysunku nie tylko postaci pierwszoplanowych, ale i epizodów (świetne w wykonaniu Małgorzaty Niemirskiej i Małgorzaty Rożniatowskiej). Szczególnie zwracają uwagę sceny zbiorowe, zwłaszcza rejwowy taniec (hipnotyczna muzyka Wojciecha Frycza, choreografia Krystyny Lamy Szydłowskiej) kończący pierwszą część i scena „pogrzebowa" w części drugiej, a także otwarcie ekscentrycznej wystawy w finale. Nie brakuje scen ironicznych, z dystansem ukazujących świat awangardowych artystów (Agata Różycka jako menedżerka galerii) czy środowisko znerwicowanych terapeutów (majstersztyk aktorski Anny Kłos). Na tym tle prowadzące postacie narratorki (Izabella Dudziak) i jej przyjaciółki (Monika Frajczyk) mogą się wydawać bledsze, choć trudno oczekiwać od wycofanej bohaterki przywódczej charyzmy.

Powstał więc solidny spektakl środka, niepozbawiony pewnych słabości (kilka finałów), diagnozujący sytuację wielu młodych ludzi (nie tylko kobiet), którzy odczuwają przedwczesne wypalenie i brak duchowych perspektyw w świecie pośpiechu, walki o wpływy, mobbingu i rządów pieniądza.

Tomasz Miłkowski

Ottessa Moshfegh, „Mój rok relaksu i odpoczynku", adaptacja Tomasz Walesiak, reżyseria Katarzyna Minkowska, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 8 grudnia 2022

MIĘDZY OKŁADKAMI

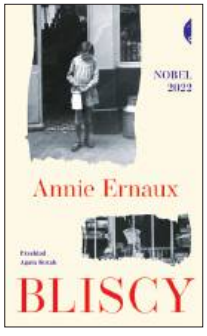

Annie Ernaux
Bliscy
tłum. Agata Kozak
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

Czarne wydało już drugą książkę tegorocznej noblistki – po opublikowanych na początku roku „Latach" otrzymujemy teraz „Bliskich". „To nie jest biografia i oczywiście też nie powieść, może coś z pogranicza literatury, socjologii i historii", pisze sama Ernaux. Te trzy opowiadania poświęcone rodzinnemu domowi i najbliższej rodzinie to próba autobiografii intelektualnej pisarki. Osobiste doświadczenia umieszczone w kontekście historycznym i przefiltrowane przez literaturę mogą stanowić uniwersalny portret kobiety, która dąży do społecznego awansu. Nie byłoby jednak klasowej nobilitacji, gdyby nie język – właśnie od języka zaczyna się zmiana i wyzwolenie. Język jest drugorzędnym, lecz ważnym bohaterem książki Ernaux.

Rafał Pikuła

SERIAL

Wednesday

reż. Tim Burton, James Marshall, Gandja Monteiro, prod. USA, Netflix

Koniec roku przyniósł jeden z największych hitów platform streamingowych ostatnich lat. Szacuje się, że serial był numerem jeden w ponad 80 krajach, w ciągu 28 dni od premiery był oglądany przez miliard godzin przez widzów na całym świecie. Jedną z przyczyn jego sukcesu jest powrót do powszechnie kochanej franczyzy, jaką jest „Rodzina Addamsów". Druga sprawa to fakt, że za sterami produkcji staje Tim Burton, król filmowej makabreski i baśni o ludziach odmiennych, budzących w społeczeństwie lęk przed innością. I trzecia rzecz – reżyser postanowił trzymać się obecnych trendów, by przedstawić Addamsów nowemu pokoleniu. „Wednesday" wprowadza do historii upiornej rodzinki elementy z *young adult*, czyli serii kierowanych do nastolatek i nastolatków, wątki i postaci fantastyczne, a także kryminalną zagadkę rodem z książek Agathy Christie. Nie zabrakło miejsca na mocny komentarz społeczny. Niedopasowani do świata bohaterowie muszą w pewnym momencie stawić czoła niechęci, wrogości i systemowej dyskryminacji. Burton tworzy zaś paralelę między czasami inkwizycji, kolonializmu a współczesnymi lękami.

Mateusz Demski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 186b9f9578

CIA a niepokoje w Chinach, Iranie i Rosji

Gdyby rządy Iranu czy Rosji zostały obalone, nie ma gwarancji, że ich następcy wykazywaliby więcej skłonności demokratycznych lub mniej despotycznych

Douglas London

Douglas London jest wykładowcą w Szkole Służby Zagranicznej Uniwersytetu Georgetown oraz współpracownikiem waszyngtońskiego Instytutu Bliskiego Wschodu. Ma za sobą ponad 34 lata służby w CIA na eksponowanych stanowiskach, m.in. jako szef placówek na Bliskim Wschodzie, w Azji Środkowej (w republikach będących wówczas częścią ZSRR), w Azji Południowej i w Afryce. Był ekspertem CIA ds. Iranu, broni masowej zagłady i zwalczania terroryzmu. Jego analizy można przeczytać na łamach „New York Timesa" czy „The Hill". Mówi biegle po francusku i rosyjsku. W zeszłym roku opublikował książkę „The Recruiter. Spying and the Lost Art of American Intelligence" (Rekrutant. Szpiegostwo i utracona sztuka amerykańskiego wywiadu).

7 grudnia 2022 r. na stronie internetowej magazynu „Foreign Policy" ukazał się artykuł Londona, którego fragmenty prezentujemy. Autor rozważa w nim szanse i zagrożenia dla Ameryki płynące z niepokojów społecznych doświadczanych przez jej głównych adwersarzy, czyli Chiny, Rosję i Iran. Czy i do jakiego stopnia są one dziełem CIA?

•

W ostatnich tygodniach byliśmy świadkami poważnych protestów ulicznych w Chinach i Iranie, a więc w państwach będących dwoma głównymi przeciwnikami USA. W Rosji natomiast nastąpił masowy exodus mężczyzn w wieku poborowym z uwagi na problemy gospodarcze tego kraju i groźbę wcielenia do armii. Czy to szczęście? Zbieg okoliczności? Czy William Burns (dyrektor CIA – przyp. P.K.) jest geniuszem? A może to wynik żmudnych przygotowań, mających na celu wytworzenie okoliczności korzystnych dla amerykańskiej polityki? Odpowiedź jest skomplikowana, podobnie jak opcje dostępne amerykańskim urzędnikom w kontekście wykorzystania tychże okoliczności.

Prezydent Władimir Putin od lat rutynowo obwinia Zachód o podżeganie do protestów w Rosji. Spycha także odpowiedzialność za wojnę w Ukrainie na USA i Europę mieszające się w ukraińskie sprawy. Chiński rząd z kolei winą za protesty przeciwko rządzącej partii komunistycznej obarczył „siły o ukrytych motywach". W miarę jak demonstracje wywołane gniewem na kosztowną politykę „zero COVID" przetaczały się przez kraj, manifestujący zaczęli wysuwać żądania demokratyzacji życia, większej wolności, a niektórzy wzywali nawet do usunięcia chińskiego przywódcy Xi Jinpinga. Prezydent Iranu Ebrahim Raisi i najwyższy przywódca ajatollah Ali Chamenei przypisują zaś winę rządom Stanów Zjednoczonych i Izraela za trwające protesty po śmierci w policyjnym areszcie Mahsy Amini – 22-letniej irańskiej Kurdyjki (została aresztowana przez policję moralności za naruszenie przepisów wymagających od kobiet noszenia hidżabu lub chusty na głowie – przyp. P.K.). (…) Za winnych podżegania do zamieszek Iran uznał też dysydenckie ugrupowania kurdyjskie, na co odpowiedział działaniami Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej oraz przeprowadzeniem ataków rakietowych na kurdyjskie enklawy. Rzecz jasna, USA utrzymują stosunki z kurdyjskimi grupami w regionie. (…)

Chociaż uważam, że amerykański wywiad odnosi znaczące sukcesy, co znajduje potwierdzenie w ujawnionych raportach dotyczących planów Putina co do Ukrainy i chińskiej reakcji na ten konflikt, to zwolennicy teorii spiskowych, mówiący o tym, że Stany Zjednoczone bezpośrednio przyłożyły rękę do wywołania niepokojów w Chinach i Iranie, mogą się poczuć rozczarowani. Sianie niepokojów nie leży poza granicami możliwości USA, ale wejście na tę drogę bez narzędzi pozwalających kontrolować ich skutki nie jest, zasadniczo rzecz biorąc, strategią gwarantującą sukces. Niestabilność wiedzie do nieprzewidywalności i eskalacji napięć, co może spowodować, że zdesperowani despoci skierują uwagę na zagranicę w poszukiwaniu wysoce ryzykownych rozwiązań. Konsekwencje zasiania niepokojów mogą się okazać gorsze dla amerykańskich interesów w porównaniu z wcześniejszym stanem rzeczy. Gdyby rządy Iranu czy Rosji zostały obalone, nie ma gwarancji, że ich następcy wykazywaliby więcej skłonności demokratycznych lub mniej despotycznych. Mogą oni równie dobrze być bardziej brutalni. (…)

Amerykański wywiad odnosi znaczące sukcesy, co znajduje potwierdzenie w ujawnionych raportach dotyczących planów Putina co do Ukrainy.

Podsycanie niepokojów społecznych w celu zmiany rządu albo

eprasa.pl 186b9f9578

po prostu zwiększenia ciężaru problemów doświadczanych przez przeciwnika, może mieć i w rzeczy samej ma drugo- i trzecioplanowe skutki, których część da się przewidzieć, lecz pozostałych nie. Prawnicy, których w amerykańskim wywiadzie jest bardzo wielu, powiedzą, że przy wywoływaniu niepokojów trzeba się liczyć z tym, że doprowadzą one do wybuchu przemocy. Rezultatem będą zgony, a to oznacza, że konieczne będzie pisemne polecenie prezydenta oraz memorandum powiadamiające kierownictwo Kongresu i komitety nadzorujące wywiad.

Stany Zjednoczone dążyły do zmiany reżimu w Iraku i Afganistanie poprzez interwencję wojskową, a przeciwko Baszarowi al-Asadowi w Syrii działały poprzez problematyczną mieszankę jawnego i tajnego zaangażowania po stronie rebeliantów. Wyniki raczej nie były pomyślne. I chociaż zamach stanu z sierpnia 1953 r., który obalił irańskiego premiera Mohammada Mosaddegha, mógł – w oczach amerykańskich decydentów z czasów zimnej wojny – zapewnić krótkoterminowe korzyści, to, w jaki sposób Irańczycy postrzegają Stany Zjednoczone, nadal waży na amerykańskich interesach i bezpieczeństwie. Zgodnie z ujawnionymi przez CIA w 2013 r. dokumentami, w których potwierdzona została rola agencji w obaleniu Mosaddegha, brytyjskie MI6 oraz CIA miały tam o wiele bardziej sprzyjające środowisko operacyjne, aniżeli jest dzisiaj w Rosji, Chinach czy Iranie. Irańskie społeczeństwo w 1953 r. było relatywnie otwarte i demokratyczne. Działając na rzecz puczu, USA i Wielka Brytania zwerbowały sojuszników pośród islamskiego duchowieństwa i za pomocą łapówek zapewniły sobie współpracę irańskich parlamentarzystów, wyższych rangą oficerów wojska oraz protestującej ludności. Takie podejście jest dziś znacznie trudniejsze. (…)

Opcje oddziaływania na przebywające na uchodźstwie rosyjskie, chińskie czy irańskie grupy opozycyjne są ograniczone. W przypadku Iranu mamy MEK (utworzona w 1965 r. muzułmańska, lewicowa organizacja, krytyczna w stosunku do rządów szacha, zaangażowana w protesty, które doprowadziły do jego upadku w 1979 r. i utworzenia Islamskiej Republiki Iranu. Gdy przywódcy organizacji Massoudowi Rajaviemu odmówiono prawa startu w wyborach prezydenckich, przeszła do opozycji i krytyki ajatollaha Chomeiniego – przyp. P.K), lecz eksperci amerykańskiego wywiadu ds. Iranu od dawna ostrzegają kolejne administracje, aby trzymały się z dala od tej (…) skłaniającej się ku marksizmowi organizacji, pomimo odrzucenia przez nią stosowania przemocy (…). [W przypadku Rosji] David Marlowe, zastępca dyrektora operacyjnego CIA, nazwał inwazję na Ukrainę wielką porażką Putina i argumentował, że może to stworzyć możliwości rekrutacji zniechęconych Rosjan przez zachodnie agencje wywiadowcze. Marlowe mówił o Rosjanach zepchniętych na margines, którzy są teraz bardziej skłonni do współpracy z zagranicznymi służbami. Istnieje duży przekrój Rosjan, których motywacją do współpracy z Zachodem mogą być patriotyzm, rozczarowanie i chęć zapewnienia sobie polisy ubezpieczeniowej na wypadek jeszcze cięższych czasów.

Co jednak w sytuacji, kiedy potęgowanie trudności skłoni do konstruktywnych działań reżimy, które Stany Zjednoczone pragną osłabić? Czy tego typu ingerencje mogłyby w rzeczywistości wzmocnić rywali, którzy zgodziliby się na żądania swoich obywateli i stali w ten sposób silniejszymi i trudniejszymi przeciwnikami? Czy w Chinach złagodzenie covidowych ograniczeń przez Xi Jinpinga może być remedium na kłopoty gospodarki? Czy irańscy teologowie mogą ocenić, jaka byłaby reakcja na czasowe i powierzchowne złagodzenie restrykcji społecznych przy jednoczesnym odwołaniu się do sentymentów nacjonalistycznych? Czy Putin mógłby stworzyć pozory ustępstw na rzecz demokratyzacji życia, aby stworzyć iluzję popularności, która stanie się rzeczywistością? Za wyjątkiem Chin jest to mało prawdopodobne. Iran nie ma pola manewru. Obecne przywództwo potrzebuje swoich konserwatywnych, religijnych „listów uwierzytelniających", aby legitymizować represje i brutalność niezbędne do utrzymania władzy. Działania reżimu irańskiego w trakcie poprzednich rozruchów odzwierciedlają wnioski wyciągnięte z rewolucji 1979 r., mówiące, że częściowe kompromisy, takie jak te, z którymi eksperymentował szach przed swoim upadkiem, zachęcają tylko do śmielszego sprzeciwu. Podobnie Putin wierzy w konieczność podtrzymywania swojego wizerunku niezwyciężonego lidera. Podważyłaby go każda oznaka słabości, którą w jego oczach byłyby ustępstwa. Jedynie Xi Jinping mógłby pójść na koncesje (w sprawie polityki „zero COVID", co właśnie się dzieje – przyp. P.K.) bez podsycania oczekiwań protestujących, lecz nie ma on potrzeby luzowania obostrzeń politycznych. Najpilniejszym wyzwaniem jest dla niego wypełnienie umowy społecznej, zgodnie z którą 1,4 mld chińskich obywateli ma solidną gospodarkę w zamian za pozostawienie spraw polityki w rękach Komunistycznej Partii Chin. Przywrócenie stabilności gospodarczej może wymagać pewnego otwarcia po surowych lockdownach.

USA dążyły do zmiany reżimu w Iraku i Afganistanie poprzez interwencję wojskową. Wyniki raczej nie były pomyślne.

Stany Zjednoczone powinny ujawniać wyrządzane krzywdy i nieakceptowalne działania despotycznych reżimów. Powinny umożliwić dawanie ujścia organicznemu niezadowoleniu obywateli, tak jak robiły to w okresie zimnej wojny, z uciekaniem się do tajnych operacji tylko wyjątkowo, po ich gruntownym przemyśleniu. Amerykańskie wsparcie musi być dostarczane w sposób, który nie podkopywałby odważnych wysiłków podejmowanych w danym kraju. Powinno ono dotyczyć grup, które faktycznie reprezentują dany kraj. Amerykański wywiad nie może obarczać rządu większymi problemami aniżeli te, które miał nadzieję rozwiązać.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

eprasa.pl 186b9f9578

Nienawiść i pożądanie. Opowieść o imigrancie

W USA brak wykwalifikowanych pracowników mierzy się dziś już w milionach

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja
ze Stanów Zjednoczonych

Podczas gdy Amerykanie zdrowie swojej gospodarki wciąż oceniają po wskaźnikach inflacji oraz cenach benzyny, pod nosem wyrasta im inny problem. Brak wykwalifikowanych pracowników mierzy się dziś już nie w dziesiątkach tysięcy, ale w milionach. Pomogliby imigranci, lecz nie ma jak ich wpuszczać.

W czasach przed pandemią mieliśmy zwyczaj obchodzić Święto Dziękczynienia w dużym gronie znajomych. Byli wśród nas zwolennicy różnych opcji politycznych, ale trzymaliśmy się zasady, że tego wieczoru żadnej polityki przy stole nie ma. Pewnie dlatego doskonale zapamiętałam moment, gdy para znana z zauroczenia Donaldem Trumpem mimo wszystko wątek polityczny podjęła. Chodziło o budowę muru na granicy z Meksykiem, sztandarową obietnicę wyborczą Trumpa, która w tamtym momencie, pod koniec trzeciego roku jego prezydentury, nadal się nie zmaterializowała, co więcej, sprawa ta zaczynała śmierdzieć. Z obiecanych ponad 400 mil nowej konstrukcji Biały Dom mógł się pochwalić jedynie renowacją ok. 100 mil zapory, która już istniała (niecały rok później mieliśmy się dowiedzieć, że miliony dolarów z publicznych funduszy przeznaczonych na budowę zostały zdefraudowane przez grono najbliższych współpracowników Trumpa, a jego strateg Steve Bannon poszedł nawet za to za kratki). Znajomi z przyjęcia usiłowali nas przekonać, że mur i generalnie polityka ostrego ograniczenia imigracji są Ameryce potrzebne jak tlen, bo przecież wszyscy wiedzą, że bezrobocie, płacowa stagflacja i wysoka przestępczość to plagi, które wykreowała polityka imigracyjna poprzedników Trumpa.

Teoria wielkiego powrotu

Pandemia, turbulentne wybory prezydenckie, a zaraz po tym zmagania nowej ekipy w Białym Domu o stymulację postcovidowej gospodarki ambitnymi ustawami inwestycyjnymi, odwróciły na jakiś czas uwagę od kwestii imigracji. I tej nielegalnej, która wywołuje najwięcej emocji, i tej legalnej, o której od zawsze mówi się mało, choć powinno najwięcej.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 186b9f9578

Końcówka roku to jednak dobry moment na podsumowania i plany na przyszłość. Na przyjrzenie się rynkowi pracy, na którym imigranci zawsze odgrywali ważną rolę i który bardzo dużo, a może najwięcej, mówi o imigracyjnych trendach i potrzebach.

Kto śledził ekonomiczne ekspertyzy i opinie, na pewno słyszał o prognozach tzw. wielkiego powrotu. Miał być naturalnym następstwem zjawiska nazywanego wielką rezygnacją – odpływu pracowników na skutek covidowych zwolnień, masowego przechodzenia na emeryturę osób do niej upoważnionych, wreszcie przymusu opieki nad dziećmi czy członkami rodziny w realiach, gdy pomoc z zewnątrz stała się z różnych przyczyn znacznie trudniej osiągalna.

Optymizm ekspertów był tym większy, że w wielu sektorach w końcu nastąpiła widoczna poprawa płac i warunków pracy, efekt z jednej strony desperacji pracodawców, chcących w trybie natychmiastowym wrócić do gry, z drugiej asertywnej postawy pracowników, którzy wreszcie zaczynają mówić dość korporacyjnemu wyzyskowi (pisaliśmy o tym w artykule „Pracująca Ameryka mówi dość" w styczniu 2022 r.).

Realia wielkiego obsuwu

Najnowszy raport Biura Statystyki Zatrudnienia z pozoru powinien więc ekspertów spod znaku wiary w wielki powrót ucieszyć. W październiku amerykańska gospodarka pozyskała ponad 260 tys. nowych pracowników i mimo wciąż wysokiej inflacji bezrobocie nie rośnie, utrzymuje się na poziomie nieco ponad 3,5%. Raport zawiera też jednak dane o wakatach i tu już nie jest różowo. W październiku 2022 r. padł bowiem nowy rekord nadwyżki wolnych miejsc pracy nad liczbą osób, które tej pracy aktywnie poszukują. Mówimy o niebagatelnej liczbie 4,28 mln ofert. Dla porównania – w lutym 2020 r., u progu pandemii, było to 1,3 mln. To zaś oznacza, że o żadnym wielkim powrocie nie ma mowy, mamy do czynienia z przyśpieszaniem zupełnie innego trendu, do tego obecnego w gospodarce od lat.

– Gdybyśmy zignorowali covidowe turbulencje i wzięli pod uwagą wyłącznie trendy sprzed pandemii, liczba wakatów przewyższałaby w tym momencie liczbę bezrobotnych o 6,95 mln – wyjaśnia Joe Sullivan, konsultant w think tanku ekonomicznym The Lindsey Group w Waszyngtonie i były doradca ekonomiczny w Białym Domu. – Pomijając oczywistą naiwność takich pomiarów, nie można jednak nie zauważyć, że mówimy o potężnym obsuwie naszego rynku pracy, jeśli chodzi o braki wykwalifikowanej kadry. Podnoszenie stóp procentowych nie ma żadnego przełożenia na statystyki osób, które chcą i mogą pracować, antyinflacyjna polityka Fed także nic tu nie zmieni – dodaje.

Korzystając z pandemii, Biały Dom wywindował koszty zatrudniania wykwalifikowanych pracowników z zagranicy.

Gregory Fleming, szef grupy inwestycyjnej Rockefeller Capital Management w Nowym Jorku, uważa, że jest nawet gorzej i prawdziwa liczba wakatów to co najmniej 11 mln, po dwa na każdego, kto szuka pracy: – Po pandemii sytuacja zrobiła się absolutnie krytyczna. Z rynku odeszło co najmniej 4,5 mln Amerykanów, a kolejne 2 mln wakatów to pustki po imigrantach, którzy wyparowali w sposób najbardziej tajemniczy. Co jednak najważniejsze, połowa tej grupy to byli ludzie z wyższym wykształceniem.

Imigranci na wagę złota

Gdy na początku tego roku ośrodek Conference Board sondował nastroje wśród prawie tysiąca prezesów największych globalnych firm i korporacji, amerykańscy prezesi jako swój problem numer jeden wskazali jednogłośnie brak wykształconych pracowników. Byli w tym odosobnieni. Reszta świata za swoje główne bolączki uznała albo inflację, albo przeciągające się zaburzenia w funkcjonowaniu ekonomii w realiach postpandemicznych.

Co mogłoby pomóc Ameryce? Odpowiedź jest oczywista – imigranci z wyższym wykształceniem i potrzebnymi kwalifikacjami zawodowymi. Specjaliści już nie tylko w branżach technologicznej i informatycznej (tutaj o niedoborach mówi się od dekad), ale również naukowcy, menedżerowie, przedsiębiorcy, nie wspominając o szkolnictwie, które po pandemii boryka się z bezprecedensowymi brakami kadry nauczycielskiej na wszystkich szczeblach edukacji.

Najbardziej potrzeba lekarzy. Jak prognozuje Association of American Medical Colleges, przy niezmienionym systemie szkolenia i zatrudniania internistów za 10 lat niedobór może wynieść aż 124 tys. W czym problem? Amerykański system imigracyjny ustawia tego typu imigrantów niemal na samym końcu wizowej kolejki. Pierwszeństwo mają w niej bowiem po dziś dzień ubodzy krewni raczej też ubogich i niewykształconych członków familii już w Ameryce zakotwiczonych.

Szkolnictwo boryka się z bezprecedensowymi brakami kadry nauczycielskiej na wszystkich szczeblach edukacji.

Wszystkiemu winien system, który mimo fundamentalnych zmian w świecie, szczególnie w dziedzinie tzw. nowej ekonomii, operuje w Ameryce właściwie w niezmienionej formie od prawie 60 lat. Urząd Imigracyjny wciąż wydaje rocznie ok. 1 mln nowych zielonych kart, z czego 81% idzie na program łączenia rodzin, a niewielki odsetek także dla azylantów. Zielone karty dla pracowników o wysokich kwalifikacjach to ledwie 14%, a zaznaczmy, że co najmniej połowa tych kart to legalizacja pobytu ich rodzin. Dlaczego tylko

eprasa.pl 186b9f9578

tyle? Bo w 1990 r., ostatni raz, gdy Kongres zajął się sprawą otwierania drzwi przed globalnymi profesjonalistami, górny pułap dla wiz pracowniczych H-1B ustalono na 65 tys. rocznie i ani jednej więcej. W 2006 r. weszła jedynie w życie poprawka, że o dodatkowe 20 tys. zielonych kart mogą się ubiegać ci, którzy zdobyli na amerykańskiej uczelni dyplom magistra lub doktora.

Imigranci największym złem…

A to dopiero początek złych wieści. Zmiany w systemie i jego większe otwarcie blokuje społeczna percepcja imigracji. Stoją za nią dekady upolityczniania tematu i robienia z niego przede wszystkim narzędzia siania strachu, co utrwalało negatywny wizerunek imigrantów. Niestety, słowo imigrant u większości Amerykanów wywołuje podobne skojarzenia co u moich znajomych z przyjęcia – automatycznie stawia im przed oczami hordy Latynosów przypuszczające szturm na nieszczelny mur na granicy z Meksykiem. Co, przyznajmy, nie jest bez uzasadnienia.

Nielegalna imigracja pozostaje wielkim wyzwaniem. W 2021 r. południowa straż graniczna zatrzymała 2 mln osób usiłujących dostać się do USA. Kulminację antyimigracyjnego nastawienia widzieliśmy za prezydentury Trumpa. Ślepo realizując sławetną kampanię America First (jedną z jego najważniejszych obietnic wyborczych), Trump wypowiedział wojnę wszystkim imigrantom bez wyjątku. W latach 2015-2018 skala zawieszania procesu wizowego dla osób ubiegających się o wizę H-1B podskoczyła z 23% do 66%, liczba odmów wydania takiej wizy wzrosła zaś z 3% w 2015 r. do 24% w 2019 r. Krytykowany przez ekspertów i samych przedsiębiorców Trump tłumaczył tę politykę koniecznością walki z korupcją. Dziś wiemy, że owa korupcja była równie prawdziwa jak teoria o skradzionych wyborach – choć przeprowadzono całą serię audytów, żadnej korupcji nie wykryto.

W 2020 r. sprawy poszły jeszcze dalej. Korzystając z zasłony dymnej, jaką stała się pandemia, Biały Dom najpierw wywindował koszty zatrudniania wykwalifikowanych pracowników z zagranicy, następnie okroił termin ważności wizy H-1B z sześciu lat do roku, wreszcie dekretem prezydenckim usiłował całkowicie zlikwidować ten rodzaj imigracji, włączając w to ogromne restrykcje wizowe dla studentów zainteresowanych studiami w USA. Klimat zrobił się na tyle nieprzyjemny, że nawet gdy Ameryka zmieniła prezydenta, młodzież ze świata straciła do niej serce. W 2021 r. największym zainteresowaniem wśród międzynarodowych studentów cieszyła się Kanada, a po niej Wielka Brytania.

Wiza pracownicza H-1B wciąż wymaga, by pracownik wjeżdżał do USA już jako osoba zatrudniona.

…i zakładnikami wizerunku

Kolejną przeszkodą w modernizacji systemu imigracyjnego jest jego wymiar historyczny. Gościnność przede wszystkim wobec „waszych zmęczonych, waszych biedaków, wasze zgromadzone tłumy, tęskniące, by odetchnąć wolnością” – by wesprzeć się cytatem z wiersza wyrytego na Statule Wolności – to, przynajmniej w założeniu, znak rozpoznawczy Ameryki. Nieważne, jak z tą gościnnością bywa w praktyce. W roku 1986, gdy Ronald Reagan podpisywał ostatnią w historii ustawę o imigracji, „stara” ekonomia wciąż bardziej potrzebowała ilości, a nie jakości rąk i głów do pracy, reforma zatem ograniczyła się do amnestii dla 2,7 mln nielegalnych imigrantów oraz wprowadzenia kar za ich zatrudnianie i ukrywanie.

Od początku nowego milenium reforma imigracyjna wskakuje na radar każdego nowego prezydenta i Kongresu. Każde podejście do niej kończy się jednak fiaskiem, bo Kongres słucha woli ludu, a ten patrzy na imigrantów nie jak na sąsiadów i pracowników, ale jak na sprawców kryzysów humanitarnych, które plamią wizerunek Ameryki. Wspomnijmy choćby skandal z karawanami dzieci z lat 2013-2014, szokujące świat klatki, w których amerykańska straż graniczna przetrzymuje złapanych na granicy ludzi, politykę rozdzielania rodzin (122 tys. odebranych rodzicom dzieci w 2021 r.) czy widowiskowo zaaranżowane jesienią tego roku przez gubernatorów Florydy i Teksasu „dumpingi” imigrantów z ich stanów do Nowego Jorku oraz Massachusetts. W ostatnim sondażu, przeprowadzonym przez ośrodek badania opinii publicznej Pew Research Center we wrześniu tego roku, aż 73% Amerykanów uznało, że najważniejsze w reformie imigracyjnej jest uszczelnienie granic.

Nie pomaga i to, że słabnie moc prezydenta, by w obliczu indolencji Kongresu kwestie imigracyjne regulować przynajmniej za pomocą dekretów. Choć Joe Biden już pierwszego dnia prezydentury anulował antyimigracyjne rozporządzenia Trumpa, zawiadywane przez republikanów stany południowe natychmiast zaskarżyły ten ruch do sądu. Sprawa zawędrowała aż do Sądu Najwyższego, a że teraz strzeże on interesów prawicy, raczej nie rozstrzygnie jej po myśli Bidena. 29 listopada br., w dniu przesłuchań w SN, liberalna sędzia Elena Kagan tak opisała sytuację: – Polityka imigracyjna była onegdaj symbolem władzy federalnej i wykonawczej. Dzisiaj pozwalamy wykluwać się systemowi, w którym obstrukcjoniści ze szczebla stanowego

Po pandemii z rynku odeszło co najmniej 4,5 mln Amerykanów, a kolejne 2 mln wakatów to pustki po imigrantach.

eprasa.pl 186b9f9578

i sądowniczego potrafią całą polityką imigracyjną ubić.

Jeżeli za prezydentury Bidena dojdzie do przegłosowania czegokolwiek w kwestii imigracji, będzie to najpewniej tylko regulacja statusu prawnego tzw. dreamerów – grupy ok. 2 mln osób, które zostały przywiezione do USA nielegalnie jako dzieci i choć tutaj się wychowały i wykształciły, w oczach prawa nadal pozostają nielegalne. Przede wszystkim dlatego, że większość Amerykanów (62%) po prostu ten pomysł popiera.

Świat biegnie, Ameryka stoi

Jak wiele aspektów życia w Ameryce, wspomnijmy choćby opór przed wprowadzeniem powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego, podejście do imigracji też wygląda na kuriozum, które porównać można do leczenia chorego ze złamaną nogą poprzez złamanie mu drugiej. Kuriozum tym większe, że najzagorzalsi adwersarze reformy imigracyjnej, która mogłaby zaplombować coraz boleśniejsze dziury w zębach gospodarki, pozują na największych przyjaciół przedsiębiorców i wolnorynkowej rywalizacji ściśle związanej z możliwościami innowacji i rozwoju.

Do myślenia nie dało im nawet to, że w 2020 r. Chiny oficjalnie wyprzedziły USA, jeśli chodzi o liczbę międzynarodowych wniosków patentowych (Chiny – 68 720, USA – 59 230). Ani to, że podczas gdy Ameryka bije się sama ze sobą, reszta świata, z Kanadą i Australią na czele – krajami podobnie jak USA zbudowanymi przez imigrantów – zmienia na gwałt przepisy imigracyjne, preferując kryteria merytoryczne. By emigrować, wystarczy legitymować się preferowanymi przez dany kraj umiejętnościami i wykształceniem. Tymczasem amerykańska wiza pracownicza H-1B wciąż wymaga, by pracownik wjeżdżał do USA już jako osoba zatrudniona, co wiąże się z dodatkowymi kosztami i dla imigranta, i dla jego pracodawcy. I powstrzymuje wielu pracodawców przed zatrudnianiem imigrantów.

Przemawiający na zorganizowanej w ostatni weekend października konferencji CNBC Work Summit minister pracy Marty Walsh nie miał dla rodaków dobrych wieści. – Boimy się inflacji. Boimy się recesji, to zrozumiałe – powiedział. – Niestety, jeśli nie usprawnimy systemu imigracyjnego i nie pozyskamy więcej pracowników, będziemy mieli do czynienia z katastrofą o wiele, wiele większą.

Gregory Fleming mimo wszystko nie traci wiary, że tej katastrofy można uniknąć. – Wszystko, co musimy zrobić, to zmienić sposób mówienia o imigracji – twierdzi. – Znów zacząć o niej mówić tak jak nasi ojcowie założyciele. Podkreślać, że imigracja i narodowa prosperity to zjawiska nierozerwalnie sprzężone. Że otwarcie na imigrację jest tak samo amerykańskie jak *apple pie*.

Cuda podobno się zdarzają. Szczególnie jeden bardzo by się Stanom przydał. Ale czy Amerykanie w tej sprawie napisali do Mikołaja?

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 186b9f9578

Chrystian Ślusarczyk

Walencja marzeniem milionów

Podpowiedzi dla wyjeżdżających: w krajach hiszpańskojęzycznych mieszka się i pracuje najlepiej na świecie

Nie musimy żyć i pracować do końca naszych dni w miejscu, w którym się urodziliśmy i wychowaliśmy. W roku popandemicznym, z wojną w Ukrainie i dwucyfrową inflacją w wielu krajach świata, rośnie pragnienie zmiany. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma? Pozwala to sprawdzić kolejny już (pierwszy opublikowano w 2014 r.) raport InterNations Expat City Ranking pokazujący, w którym mieście na świecie żyje się i pracuje najlepiej.

Polskie miasta – tradycyjnie – na liście nie są uwzględniane. Jednak tylko niepoprawny optymista mógłby sądzić, że któreś załapałoby się do pierwszej dziesiątki czy nawet dwudziestki rankingu. Kraków czy Wrocław, które teoretycznie miałyby największe szanse, odpadną m.in. przez... zimę. I to nie zimową aurę i temperaturę, ale jakość powietrza, którą oba polskie miasta „szczycą się" od listopada do marca.

Jeszcze nie tak dawno określenie ekspatriant stosowano wobec osób opuszczających ojczyznę zarówno dobrowolnie, jak i przymusowo, co wiązało się z utratą (wbrew woli) obywatelstwa i wygnaniem, nierzadko na zawsze. Współczesna ekspatriacja, głównie ekonomiczna, wygląda zupełnie inaczej. Skrócona wersja ekspat jest używana na określenie wysokiej klasy specjalisty, który opuszcza ojczyznę, podążając za zatrudnieniem i z chęci zmiany. Powstał nawet nowy segment rynku pracy, bo pracownicy dużych firm coraz częściej są wysyłani do zagranicznych oddziałów bądź podległych spółek. Współcześni ekspatrianci, zwykle zatrudniani w międzynarodowych korporacjach, współtworzą nową, globalną klasę średnią, w której obserwuje się coraz większe wzajemne wpływy kulturowe.

Dziś największy odsetek ekspatów odnotowuje Zjednoczone Królestwo (3 mln Brytyjczyków wyjechało z kraju za pracą i aby zmienić otoczenie). Kolejne miejsca zajmują Niemcy i Włosi, którzy także chętnie wyjeżdżają z ojczyzny, by zamieszkać i pracować za granicą.

W InterNations Expat City Ranking wzięto pod uwagę kilka najważniejszych czynników bezpośrednio wpływających na jakość życia. Kryteria te dotyczą realnego wynagrodzenia, kosztów utrzymania, wysokości podatków, bezpieczeństwa, transportu publicznego, rozrywki (rozpatrywano tzw. wyjście na miasto), kwestii ekologicznych (m.in. jakości powietrza) czy możliwości uczenia się lokalnego języka.

Rzecz jasna, w XXI w. dużą rolę odgrywa szybkość internetu, jaką mogą nam zapewnić krajowi dostawcy. Wzięto też pod uwagę wymowny z pewnością czynnik o nieco tajemniczej nazwie *visitor return rate*, czyli odsetek osób, które, zadowolone z pierwszego pobytu w danym miejscu, decydują się przyjechać po raz kolejny.

W rankingu za rok 2022 na pierwszym miejscu znalazła się hiszpańska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 186b9f9578

Walencja, na drugim uplasował się Dubaj, na trzecim stolica Meksyku – Mexico City. Pierwszą dziesiątkę zamknął Singapur.

To nie pierwsze takie wyróżnienie dla Walencji w InterNations Expat City Ranking. W roku 2020 także została obwołana najlepszym na świecie miastem dla przyjezdnych. Co zadecydowało o jej sukcesie? Czynników jest sporo i z roku na rok ich przybywa. Leżąca nad Morzem Śródziemnym (już to jest niepodważalnym atutem) stolica prowincji i okręgu autonomicznego o tej samej nazwie ma prawie 800 tys. mieszkańców. To mniej więcej tyle, ile Kraków, i niewiele więcej niż plasujący się wysoko na polskich listach dobrobytu Wrocław. Dla wielu (choć wyniki aktualnego rankingu tego nie potwierdzają) metropolie ponadmilionowe są mniej atrakcyjne, bywają przeludnione, a to samo w sobie rodzi mniej lub bardziej przewidywalne problemy dnia codziennego.

W innych zestawieniach Walencja również była i jest wysoko. W rankingu Globalization and World Cities Research Network 2020 została oznaczona jako metropolia skutecznie łącząca mniejsze regiony naszego globu ze światem wielkiego biznesu. Od lat jest też wysoko notowana w rankingach najzdrowszych miejsc do życia.

Mieszkając i pracując w Walencji, wolne dni możemy spędzać, zwiedzając miasto. Kilka obiektów znajduje się na liście zabytków UNESCO. A wśród wydarzeń mamy Święto Ognia, podczas którego palone są misternie wykonane kukły, Święto Matki Bożej Dobrego Zdrowia, Tamboradę, czyli paradę bębniarzy, oraz Trybunał Wodny, rozstrzygający sprawy związane z wykorzystaniem zasobów wodnych w regionie. Sama katedra Najświętszej Maryi Panny, w której obraduje rzeczony trybunał, warta jest odwiedzin. Miasto szczyci się muzeami i parkami, z kolei na przedmieściach co roku organizowana jest słynna Tomatina, znana na świecie bitwa na pomidory.

Walencja od lat jest notowana wysoko w rankingach najzdrowszych miejsc do życia.

O miejscu w InterNations Expat City Ranking w dużej mierze decyduje klimat. Walencja ma tylko 40 dni deszczowych w ciągu roku, za to ok. 2,7 tys. godzin czystej słonecznej pogody rocznie i ok. 320 godzin (średnio 10 godzin czystego słońca na dobę, o jedną czwartą więcej niż w Polsce) w lipcu. Na jakość życia przez kilka miesięcy w roku wpływa oczywiście fakt, że w regionie znajduje się największa w Hiszpanii liczba plaż ze statusem Błękitnej Flagi. Łączna długość pięknych, piaszczystych plaż w samych granicach administracyjnych miasta wynosi 16 km.

Dubaj to raj dla zagranicznych przedsiębiorców. I to w niemal każdym sektorze.

Na liście InterNations Expat wysoko, bo na piątym miejscu, znalazło się inne hiszpańskie miasto – stołeczny Madryt. W podkategorii „Kultura i sztuka w mieście" ma on nawet czwartą lokatę. Dalej natomiast ulokował się w zupełnie innej, ważnej dla każdego podkategorii – „Bezpieczeństwo i stabilność miejsca pracy".

Drugie miejsce w 2022 r. zajął w rankingu Dubaj, stolica emiratu i największe miasto w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Warto zwrócić uwagę, że ta prężnie rozwijająca się metropolia w podkategorii „Stosunki z lokalnymi władzami" zdobyła pierwsze miejsce. Dubaj to raj dla zagranicznych przedsiębiorców. I to w niemal każdym sektorze, od budownictwa, poprzez transport, usługi, bankowość, po turystykę i rozrywkę.

W przedpandemicznym roku 2019 Dubaj odwiedziło 16,3 mln turystów, czyniąc go siódmym najczęściej odwiedzanym miastem świata. Co zadecydowało, że Dubaj nie znalazł się na szczycie podium? Z pewnością klimat (wszechobecna klimatyzacja, nadmiar słońca i susza nie wszystkim przypadają do gustu) oraz – co może trochę dziwić – wciąż nie najwyższa jakość oferowanych usług online. Z tym ostatnim na pewno sobie w Dubaju poradzą. A z pogodą? No cóż, taki mają klimat…

Na trzecim miejscu – i to może nieco zaskakiwać – znalazło się Mexico City, w którym według różnych źródeł mieszka ok. 10 mln ludzi, obszar metropolitalny zamieszkuje 19 mln, a całe megalopolis aż 22-25 mln! Region metropolii odznacza się również jednym z największych i najszybszych przyrostów liczby ludności na świecie. Stolica Meksyku została bardzo wysoko oceniona w podkategorii „Łatwość osiedlania się w nowym miejscu". Wysoko oceniane są także możliwości rozwoju zawodowego i adekwatny wzrost wynagrodzeń, jakie oferują tamtejsze instytucje i firmy.

Metropolia przyciąga ciekawą współczesną i kolonialną architekturą oraz parkami i muzeami.

eprasa.pl 186b9f9578

Historyczne centrum miasta i pływające ogrody Xochimilco w jego pobliżu zostały wpisane na listę UNESCO już w roku 1987. Do tej listy w XXI w. dodano dom i pracownię architekta Luisa Barragána oraz kampus Universidad Nacional Autónoma de México. Największym problemem jest bezpieczeństwo tych, którzy z Meksykiem postanowili związać się na dłużej, i zanieczyszczenie powietrza – na nie zaś mają wpływ m.in. gigantyczne korki, które wrosły w krajobraz miasta.

Spodziewano się, że na podium zamiast Meksyku znajdzie się Lizbona. Stolica Portugalii, na niewdzięcznym czwartym miejscu, przegrała z powodu zbyt niskich wynagrodzeń oferowanych specjalistom wielu branż oraz stosunkowo słabych możliwości rozwoju interpersonalnego. Pozostawiła natomiast w tyle meksykańską konkurencję, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, jakość powietrza i klimat.

Zamykający pierwszą dziesiątkę Singapur to miasto-państwo położone na wyspach, z ok. 5 mln mieszkańców. Kraj wymieniany w gronie azjatyckich tygrysów zawdzięcza sukces m.in. stabilizacji politycznej, częściowemu planowaniu gospodarczemu, zachęcaniu

Stolica Meksyku została bardzo wysoko oceniona w podkategorii „Łatwość osiedlania się w nowym miejscu".

zagranicznych firm do inwestowania (dzięki niskim podatkom dla firm w Singapurze działa ponad 3 tys. zagranicznych przedsiębiorstw), stałemu unowocześnianiu transportu i przemysłu oraz dogodnemu położeniu. Standard życia Singapurczyków jest niezwykle wysoki. Singapur to czwarte finansowe centrum świata po Londynie, Nowym Jorku i Tokio. Co zatem zdecydowało, że wylądował daleko od podium? Głównie zbyt wysokie koszty utrzymania, np. wynajmu mieszkań, i o dziwo zbyt słaba oferta w podkategorii „Kultura i rozrywka".

Z kolei ostatnie miejsca w rankingu, który oceniał 50 miast świata, zajęły: Paryż (48.), Frankfurt nad Menem (49.) i Johannesburg (50.). Widać, Francja i Niemcy niewiele dziś oferują odważnym i zdolnym, którzy nie obawiają się zdecydowanych zmian w życiu.

Tegoroczny ranking miast powstał przy udziale prawie 12 tys. respondentów należących do społeczności ekspatów. InterNations Expat stworzył też ranking krajów, które w kończącym się roku były (według podobnych kryteriów jak zastosowane do miast) najbardziej atrakcyjne do życia

O dalekim miejscu **Singapuru** zdecydowały zbyt wysokie koszty utrzymania i słaba oferta kulturalno-rozrywkowa.

i pracy. Dla wielu trochę zaskakująco na pierwszym miejscu znalazł się Meksyk, kolejne były Indonezja i Tajwan (mimo chińskich zagrożeń), Portugalia (znów jak Lizbona pechowo tuż za podium) oraz Hiszpania. Pierwszą dziesiątkę ponownie zamknął Singapur. Niespodzianką jest bardzo odległe, bo dopiero 51. miejsce Nowej Zelandii, która nie tylko w Polsce wydaje się krajem marzeniem i do życia, i do pracy. Dla wielu jednak okazuje się zbyt droga, spory odsetek respondentów uważa, że pracujący tam są niesprawiedliwie nisko wynagradzani, a wielu zatrudnionych… nie widzi sensu tego, co robi. Gdy dodamy do tego wysokie koszty transportu oraz skromną ofertę kulturalną i mizerię nocnego życia, Nowa Zelandia szybko przestaje się jawić jako ulubiony kierunek współczesnej emigracji, również finansowej.

Ci zatem, którzy chcieliby zmienić kraj zamieszkania i szukać atrakcyjniejszych możliwości zatrudnienia, powinni poważnie rozważyć oferty dwóch krajów hiszpańskojęzycznych, a także Portugalii, wciąż chętnie witających nowych przybyszów.

Chrystian Ślusarczyk

PAMIĘTAJ O BLISKICH

Kliknij opcję
KUP NA PREZENT

Roczna e-prenumerata PRZEGLĄDU w świątecznej cenie

Teraz tylko 100 zł za rok czytania

Przy zakupie e-book „Modzelewski Buntownik" GRATIS

Szybciej i taniej niż w wersji papierowej

Co sobota nowe e-wydanie dostępne na stronie

Promocja tylko do końca grudnia!
sklep.tygodnikprzeglad.pl

Nie Rudolf, ale Rudolfina

Niektóre renifery są w pełni udomowione i od pokoleń znajdują się w zagrodach przy człowieku

Konrad Malec

Były święta, to i były prezenty, przynajmniej dla grzecznych Czytelników. Przesyłkę dostarczył ekspres w składzie renifery i wyzyskiwacz z lejcami, który zmusił nieszczęsne zwierzęta do objechania kuli ziemskiej w ciągu zaledwie doby, choć w normalnych warunkach z zaprzęgiem pokonują najwyżej 25 km dziennie.

Skoki po grzybkach

Niektóre syberyjskie ludy używają reniferów jako zwierząt pociągowych. Ponoć osobniki zjadają muchomory, po czym wykonują nieziemskie skoki, od których wzięła się legenda o reniferowym zaprzęgu na nocnym niebie. Podobno też szamani niektórych ludów piją mocz reniferów po grzybkach, by osiągnąć stany równie nieziemskie. Zwierzęta te wykorzystywane są również jako wierzchowce, wówczas mają większy zasięg, niż gdy ciągną sanie. Ewenkowie i inne ludy Wschodu opanowali tę sztukę już 7 tys. lat temu. Mikołaj sięgnął zatem do wiedzy ludów pogańskich, przy czym podkręcił normy pracy dla czteronożnych podwładnych. Od pierwszych hodowców reniferów sztukę ujeżdżania, szkolenia do ciągnięcia sań i dojenia przejęły inne ludy. Stosunkowo najpóźniej dotarła ona do USA, dopiero w XIX w., za to w Wales na Alasce, najbardziej na zachód wysuniętym mieście na kontynencie północnoamerykańskim, działa dziś jedyna poczta obsługiwana przez renifery. Aczkolwiek miasto to określenie lekko na wyrost przy niespełna 150 mieszkańcach.

Podczas II wojny światowej w ZSRR renifery zaopatrywały front karelski. W tym celu zmobilizowano ok. 6 tys. zwierząt i tysiąca pasterzy, głównie Nieńców. Wcześniej Nieńcy byli koczownikami. Władze radzieckie zmusiły ich do osiedlenia się, upaństwowiły renifery, a samych tubylców zatrudniły w sowchozie do ich hodowli, co zapoczątkowało zanik tradycji tego narodu. Sytuacja nie zmieniła się do dzisiaj, z tym że obok dwóch państwowych (choć w teorii spółdzielczych) firm pojawili się prywatni właściciele zwierząt.

Niektóre renifery są w pełni udomowione i od pokoleń żyją w zagrodach przy człowieku. O wiele częściej jednak spotyka się stada, które mają właścicieli, ale wypasane są na rozległych terenach. W znacznej mierze wędrują one na południe zimą i na północ latem, jak dzicy przodkowie, co chroni je od krwiopijnych insektów. Dość powiedzieć, że przeciętny ren traci litr krwi tygodniowo w aparatach gębowych owadów. Dawniej zwierzęta stanowiły własność klanu lub rodziny, teraz to najczęściej własność indywidualna, choć w Fennoskandii, poza terenami w posiadaniu Rosji, gospodarka reniferami jest wypadkową rozwiązań plemiennych (saamskich), spółdzielczych i lokalnych uwarunkowań prawnych. W Norwegii i Szwecji prawo posiadania reniferów jest limitowane, obejmuje Saamów, dawniej zwanych Lapończykami, i to tych, których przodkowie zajmowali się wypasem. Poza tym są nieliczne miejsca, gdzie zwykli obywatele i Saamowie niebędący potomkami pasterzy mogą hodować zwierzęta. W Finlandii takich ograniczeń nie ma, tam hodowcą może zostać każdy obywatel UE, pod warunkiem zamieszkania w gminie, w której prowadzi hodowlę, i przynależności do zrzeszenia hodowców. W praktyce 60% hodowców to Saamowie. W tych krajach renifery są ważnym składnikiem diety mieszkańców, nie tylko ludzkich. Można tam kupić puszki z renów dla czworonogów.

Ubogie tereny dalekiej Północy nie są wydajnymi pastwiskami, nawet jeśli znaczna część pokarmu

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 186b9f9578

renów to porosty. To jedyne duże ssaki zdolne do żywienia się nimi, dzięki symbiozie z bakteriami i pierwotniakami. Niestety, porosty są przysmakiem ubogim w białko, które reny pozyskują z traw, turzyc, liści karłowatych drzew, a nawet z upolowanych lemingów, piskląt i jaj. Cwaniaki skrobią zębami zrzucone poroże, by odzyskać wapń, co nazywamy osteofagią (zjadaniem kości). Mimo tak genialnych przystosowań renifery jedzenia mają mało, więc 55% powierzchni Szwecji, 40% Norwegii i 33% Finlandii stanowią pastwiska reniferów.

Renifery hodowane są też w Chinach i Mongolii, głównie przez potomków ludów koczowniczych. Wycieczki na reniferach bywają tam lokalną atrakcją dla turystów. Ponadto w Chinach sproszkowane rogi są uznawane za afrodyzjak i lek. Choć nie ma żadnych przesłanek, by stosować poroże w medycynie konwencjonalnej, na azjatyckie rynki trafia towar z Europy. Kończąc wątek hodowlany – na świecie tą profesją para się ok. 100 tys. ludzi, a w UE hodowcy reniferów otrzymują dotacje rolnicze.

W żołądku rekina

Pozyskuje się także dzikie renifery. W Europie w niewielkim stopniu, ale u nas tych zwierząt jest już mało, a gospodarka łowiecka zrównoważona. Znacznie częściej poluje się na rozległych obszarach rosyjskiej Azji i w Ameryce Północnej. Co gorsza, w Azji zwykle bez ograniczeń. Argumentuje się to tym, że myśliwych jest niewielu, właściwie tylu, co w dawnych czasach. Pomija się fakt, że ta sama liczba ludzi ma znacznie skuteczniejsze narzędzia i zabija więcej zwierząt. W Ameryce wygląda to lepiej, choć wiele tamtejszych organizacji monitorujących stan przyrody zgłasza niemało uwag co do sposobu, miejsc i liczby pozyskiwanych zwierząt. Pierwsze ludy Ameryki Północnej nie uznawały hodowli za coś godnego człowieka, dlatego polowały, a dla wielu tubylców upolowana zwierzyna nadal jest podstawą wyżywienia. Amerykańskie reny nazywamy karibu, co wywodzi się z języków algonkińskich (ludów zamieszkujących znaczne obszary USA i Kanady). Obecnie hoduje się tam renifery, ale te zwierzęta mają euroazjatycki rodowód.

Polowania są jednym z powodów, dla których renifery znalazły się w opałach. Wprawdzie nadal są to bardzo liczne zwierzęta, ale w ciągu ostatnich trzech pokoleń (nieco ponad 20 lat) ich populacja zmalała o 40%. Ba! Żeby to było takie proste. Do niedawna uznawano, że to jeden gatunek, o wielu podgatunkach i typach ekologicznych. Typy oznaczały, że jedne renifery zamieszkiwały tundrę i były wędrowne – przemierzały nawet 5 tys. km, co czyni je rekordzistami migracji wśród ssaków lądowych, inne są osiadłe. Wędrowne pokonywały szerokie rzeki, jeziora, a nawet morskie zatoki (szczątki renów odnajdywano m.in. w żołądkach rekinów polarnych, dużych ryb, które wiek dojrzewania osiągają ok. 150. urodzin).

W czasie migracji reny poruszają się z prędkością ok. 50 km/godz., zagrożone pędzą ponad 70 km/godz. Jako pływacy również okazują się znakomite, poruszają się z prędkością 5,5 węzła, czyli ok. 10 km/godz. Sprawność pływacką zawdzięczają nie tylko silnym nogom, ale i kapokowi, jakim jest ich sierść. Włosie jest w środku puste, co zwiększa izolację termiczną. Nic dziwnego, że koczownicy Północy wysoko cenili odzież ze skór reniferów. Ponadto spotykamy ekotypy górskie, których migracje mają charakter pionowy – latem zwierzęta pasą się na halach, na zimę schodzą w górskie lasy.

Po byku

Osiadłe renifery leśne tworzą duże haremy. Szczególni przystojniacy mogą liczyć na 20 krów, mniej dorodne i młodsze samce nasycą jedynie oczy. Byki z tundry mogą zgromadzić najwyżej kilka fanek. Zwierzęta z lasu często wykorzystują poroże do potyczek, ich poroża są zatem szersze, u samców znacząco większe niż u samic. U tych z tundry pod względem rozmiaru poroża panuje większe równouprawnienie, a sama ozdoba głowy częściej służy do odgrzebywania pokarmu spod śniegu (stąd specyficzna łopatka nad oczami) niż do walki. Co ciekawe, leśne renifery wpłynęły na ewolucję wilków północnoamerykańskich. Widzieliście zdjęcia czarnych wilków z Ameryki Północnej? Takie wilki żyją jedynie w lasach, nie w tundrze, mimo że osiadłe wilki tajgowe spotykają się z wędrownymi pobratymcami z Północy. Badania genetyczne wykazały, że czarne umaszczenie pojawiło się u psów już u zarania ich udomowienia. W przeszłości doszło do skrzyżowania się psów z wilkami i przeniesienia mutacji dającej czarne futro. Ale dlaczego tylko w lesie spotykamy czarne wilki? Ponieważ, co wykazały te same badania, obie grupy wilków nie krzyżują się od ok. 12 tys. lat! Na otwartej przestrzeni czarny wilk jest doskonale widoczny. W lesie ta sama cecha sprawia, że trudniej go dostrzec, dlatego jeśli doszło do przeniesienia się czarnego umaszczenia na wilki z tundry, cecha ta nie miała szans się utrwalić.

Ale to nie wszystko, największe byki z Kolumbii Brytyjskiej osiągają 340 kg, ich pobratymcy ze Svalbardu góra 90 kg. Jednocześnie reny z archipelagu są o połowę niższe, znacznie krótsze, mają bardzo krótkie nogi i pękate ciała. Pamiętajmy bowiem o dwóch zasadach. Pierwsza: na wyspach duże ssaki stają się znacznie mniejsze niż ich kontynentalni krewniacy. Widać to po naszych renach, ale też wyspiarskich gatunkach nosorożców, dużych kotów czy wymarłych krewnych słoni. Długo uważano, że z jakiegoś powodu zasada ta nie dotyczy ludzi, aż na początku stulecia odkryto *Homo floresiensis,* czyli skarlały wyspiarski gatunek człowieka, wywodzący się od naszego przodka *Homo erectus*. Zasada

Renifery wykorzystywane są również jako wierzchowce, wówczas mają większy zasięg, niż gdy ciągną sanie.

eprasa.pl 186b9f9578

druga: zwierzęta z Północy mają krótsze kończyny i bardziej pękaty tułów, dzięki czemu tracą mniej ciepła. To widać po arktycznych lisach czy tubylczych ludziach, którzy są niżsi i bardziej krępi niż ludzie z ciepłych rejonów globu.

Mimo tych różnic wszystkie reny żyją w chłodnych rejonach, toteż ich nosy są pękate, bardziej pasowałyby do krowy niż do zwierzęcia takiej postury. Dzięki wielkim nosom renifery lepiej ogrzewają powietrze, nim trafi ono do płuc. Do zimna przystosowane są również ich kończyny, które mogą mieć temperaturę niewiele wyższą od 0 st. C. To możliwe dzięki temu, że główne naczynia krwionośne stykają się i krew tętnicza, płynąc w dół, przekazuje ciepło żylnej, wracającej do tułowia, chłodząc się przy tym. To pozwala zminimalizować straty ciepła.

Różnice spotęgowała genetyka. Wprawdzie badania jeszcze trwają, ale w mijającym roku ustalono, że renifery to nie jeden gatunek, lecz minimum pięć i 21 podgatunków, z których trzy wymarły w ostatnich nieco ponad 100 latach. Co więcej, badania wykazały, że poszczególne podgatunki i ekotypy nie mieszają się ze sobą albo zdarza się to rzadko. Dotyczy to też reniferów hodowlanych, co jest dobrą wiadomością dla dzikich (domieszka obcych genów mogłaby wprowadzić cechy obniżające szanse przeżycia w określonych warunkach), ale stanowi wyzwanie dla nas, by zachować pełną różnorodność genetyczną reniferów.

Nie ma żartów

Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) uznała w 2015 r. renifery za narażone na wyginięcie. Wówczas uważano je za jeden gatunek, choć klasyfikacja zagrożenia różnych podgatunków (a nawet ekotypów) była odmienna. Obecnie nie dla wszystkich podgatunków i ekotypów znamy stopień zagrożenia, ale potrafimy je zidentyfikować. Poza już wspomnianymi należy wymienić sieć dróg przecinającą szlaki migracyjne (z dawnych opisów wyłania się obraz kilkudniowej, nieprzerwanej migracji, zdarzało się, że statki na rzekach miały z tego powodu ponadtygodniowe postoje). Szlaki i pastwiska przecinane są także przez linie energetyczne. Zwykle dla ssaków lądowych to nie problem, ale renifery jako jedyne widzą ultrafiolet. Dzięki temu są w stanie wypatrzeć biało ubarwionego niedźwiedzia polarnego, ale linie przesyłowe w ich oczach świecą, a to wywołuje lęk. Na marginesie – kolor ich oczu ze złotawego latem zmienia się w niebieski zimą, dzięki czemu wzmacnia się widzenie po zmroku, choć kosztem ostrości. Tyle wystarczy, by dostrzec drapieżnika, a to może ocalić życie. Wracając zaś do zagrożeń, pastwiska często znajdują się na terenach wydobywczych, zwierzętom odbierane jest miejsce do życia, a rurociągi przecinają szlaki wędrówek. Problem ten zaostrzył się ostatnio w Ameryce, gdzie na wielkich połaciach wydobywa się gaz łupkowy i ropę.

Kolejną zmorą jest ocieplenie klimatu. W epoce lodowcowej renifery schodziły na niższe szerokości geograficzne. Utrwalili je nasi przodkowie na rysunkach w jaskiniach Hiszpanii i południowej Francji. Wraz z lodowcem podążyły w kierunku północnym, pomieszkując w międzyczasie w… Polsce. Jeżeli lodowce stopnieją, renifery nie będą miały dokąd pójść. Już teraz widać problemy wynikające ze zmian klimatu. W 2019 r. padło z głodu 200 reniferów ze Svalbardu. Niewiele? Liczbowo tak, ale to 10% całej populacji. Zwierzęta nie mogły dostać się do pokarmu pod lodem, który pokrył śnieg, gdy spadł marznący deszcz. Zwykle radzą sobie, rozgrzebując śnieg łopatkami poroża i brzegami kopyt, ale grubej warstwie lodu nie podołały.

Wraz z zanikiem kry niedźwiedzie polarne częściej polują na lądzie. Nadmorskie renifery często schodzą na brzeg, by pożywić się wodorostami. Tam czatują niedźwiedzie, które wcześniej na krze polowały na foki (to problem również dla misiów, dla których mięso renów jest za chude, by mogły w dobrej kondycji przetrwać zimę). Poza tym wraz ze wzrostem temperatury wcześniej rozwijają się rośliny i wcześniej przechodzą cykl życiowy, rozmijając się z terminem porodu u renów. To niedopasowanie skutkuje niższą przeżywalnością cieląt.

Nawet te populacje, które są w dobrej kondycji, jak ta licząca około miliona osobników w azjatyckiej części Rosji, mogą szybko zniknąć. A bez reniferów żaden święty nie dostarczy nam prezentów. Przy okazji warto wyjaśnić pewne nieporozumienie. Otóż w zaprzęgu nie ma żadnego Profesorka, Kometka czy Rudolfa. Jest co najwyżej Rudolfina. Wszystkie renifery Mikołaja to dziewczyny. Chłopaki pod koniec grudnia nie mają poroża, zrzucają je zaraz po jesiennych godach. Samice reniferów, które jako jedyne pośród wszystkich jeleniowatych dam szczycą się porożem, zrzucają je dopiero po wiosennym porodzie. W czasie ciąży odzyskują z ozdoby głowy wapń i wykorzystują do wytworzenia potomstwa.

Renifery jako jedyne ssaki widzą ultrafiolet.

Konrad Malec

eprasa.pl 186b9f9578

Messi – Mbappe – Marciniak

Spotkanie Polski z Meksykiem zostało uznane za najgorszy mecz na mundialu

Maciej Polkowski

Spełniło się największe marzenie jednego z najlepszych piłkarzy w historii – Leo Messiego. Jego Argentyna po 36 latach znów wywalczyła tytuł czempiona globu, a on swoją przebogatą kolekcję uzupełnił ostatnim brakującym trofeum. Finałowe spotkanie z Francją było potwierdzeniem maksymy: koniec wieńczy dzieło. Zapierające dech w piersiach widowisko zapisało się jako najznakomitszy finał w historii. Po dogrywce 3:3 – w rzutach karnych 4:2 dla Albicelestes. Tego nie da się opowiedzieć ani opisać, to trzeba było zobaczyć i przeżyć! Śmiem twierdzić, że przed rozpoczęciem katarskiego mundialu nie było nikogo, kto mógłby przewidzieć, że polski arbiter Szymon Marciniak poprowadzi finał Argentyna-Francja, sędzia Stéphanie Frappart z Francji będzie rozstrzygać w spotkaniu Niemcy-Kostaryka, reprezentacja Maroka jako pierwszy w historii przedstawiciel Afryki dotrze aż do półfinału, a najlepszym graczem ekipy biało-czerwonych okaże się nie Lewandowski, ale Wojciech Szczęsny.

To niewiarygodne i zawstydzające dla całego światka futbolu, że trzeba było czekać aż 92 lata, by panie pojawiły się w roli arbitrów na męskim finałowym turnieju. To Japonka Yoshimi Yamashita, Salima Mukansanga z Rwandy i Francuzka Stéphanie Frappart. Ta ostatnia była najpierw arbitrem technicznym podczas meczu Polski z Meksykiem, a następnie zobaczyliśmy ją w głównej roli w spotkaniu Niemcy-Kostaryka. To także historyczne wydarzenie.

Francuzka pracuje w tym zawodzie od 2011 r. i już trzy lata po rozpoczęciu kariery sędziowskiej prowadziła mecze na poziomie Ligue 2. Następnie musiała poczekać kilka lat na swoją szansę we francuskiej elicie, ale się doczekała. Rok 2019 okazał się dla niej przełomowy. Najpierw jako pierwsza kobieta w historii sędziowała mecz Ligue 1 (Amiens-Strasbourg), później dostąpiła podobnego zaszczytu w spotkaniu o Superpuchar UEFA, w którym Liverpool zwyciężył po serii jedenastek z Chelsea. W następnym roku Frappart jako pierwsza kobieta w historii prowadziła mecz Ligi Mistrzów (Juventus-Dynamo Kijów), a w 2022 r. sędziowała finał Pucharu Francji (OGC Nice-Nantes).

Trzeba było czekać aż 92 lata, by panie pojawiły się w roli arbitrów na męskim finałowym turnieju.

W Katarze poszło jej całkiem, całkiem…

Tuż po zakończeniu widowiska na Lusail Stadium zaczęto mówić o trzech głównych postaciach, których nazwiska zaczynają się na literę M. Przez 120 minut z okładem Leo Messi i zapewne jego następca na futbolowym tronie Kylian Mbappé rozgrywali fascynujący snajperski pojedynek. Wygrał francuski pretendent 3:2, strzelając gole w 80., 81. i 118. minucie, podczas gdy Messi trafił w 23. i 108. minucie. Bardzo ciekawe, jak wyglądał pomundialowy powrót do pracy w Paris Saint-Germain rozradowanego Messiego, zawiedzionego (bo tylko srebrny medal) Mbappé i szlochającego (po wyeliminowaniu przez Chorwację) Neymara. Mbappé został przynajmniej królem strzelców z ośmioma golami, ale jego brazylijski klubowy kolega opuszczał Katar z pustymi rękami.

Z dumą i satysfakcją żegnał zaś Katar trzeci z panów M., czyli nasz eksportowy arbiter, Szymon Marciniak. Wspierany przez swój zespół (asystenci Tomasz Listkiewicz i Paweł Sokolnicki oraz Tomasz Kwiatkowski – VAR) zaprezentował mistrzowską formę w finale finałów. Aż kusi, by skonstatować, że Marciniaka nic już nie czeka – dotarł na szczyt i w sędziowskiej karierze nie ma niczego więcej!

Wcześniej na mundialu 2022 sędziował spotkania obu finalistów – Francji z Danią oraz Argentyny z Australią. Tak oto 41-letni płocczanin dołączył do grona najwybitniejszych panów z gwizdkiem, takich jak Arnaldo Cézar Coelho (Brazylia, finał w Hiszpanii 1982), Edgardo Codesal (Meksyk, Włochy 1990), Sándor Puhl (Węgry, USA 1994), Pierluigi Collina (Włochy, Korea/Japonia 2002) czy Howard Webb (Anglia, RPA 2010).

Nasz najlepszy sędzia ukończył studia pedagogiczne w Wyższej Szkole Edukacji Zdrowotnej i Nauk Społecznych w Łodzi. Bardzo dba o swoją prywatność i nie afiszuje się w mediach społecznościowych. Wiadomo jedynie, że żona ma na imię Magdalena, a ich dzieci: Bartosz (19 lat) i Natalia (10).

W młodości uprawiał kolarstwo, w wieku 15 lat porzucił jednak ten sport na rzecz piłki nożnej. Kariery wielkiej nie zrobił, miał świadomość, że nie zostanie wybitnym piłkarzem, dlatego postanowił, że po boisku będzie biegał nie z piłką, ale z gwizdkiem. Jak kiedyś zdradził, na kurs sędziowski zapisał się wkrótce po tym, jak w meczu trzeciej ligi dostał... czerwoną kartkę. Kolarstwa nie porzucił, regularnie jeździ na rowerze,

eprasa.pl 186b9f9578

Dwóch panów M., którzy ten mundial mogą zapisać jako swój sukces. Szymon Marciniak i Leo Messi w czasie meczu finałowego. Na trawie Olivier Giroud. 18 grudnia 2022 r.

uprawia jeden ze sportów walki. To muay thai, czyli tajski boks. Używa się w nim nie tylko pięści, ale również łokci, nóg. Marciniak dba o formę pod okiem dwóch specjalistów od przygotowania fizycznego. To Grzegorz Krzosek, były lekkoatleta, specjalizujący się w biegach na 800 m, oraz prof. Werner Helsen, ekspert UEFA. Do tego dochodzi wsparcie ze strony fizjoterapeuty, a także zabiegi regeneracyjne, masaże i zimne kąpiele.

Jak można przeczytać w wydawanym przez PZPN czasopiśmie „Sędzia", podstawą przygotowań Marciniaka są nie tylko różnorodne treningi, ale i odpowiednie odżywianie. Opowiadał: „Moja dieta nie jest jakaś wyjątkowa – kasze, ryże, makarony, wiadomo, że nie ma mowy o ziemniakach, o frytkach nawet nie wspominam, jem więcej posiłków w ciągu dnia. Na spotkaniu z dietetyczką usłyszałem, że jeśli raz na jakiś czas mam ochotę zjeść ciastko, to powinienem je zjeść i tyle".

I pomyśleć, że doprawdy niewiele brakowało, by całkiem niedawno musiał przedwcześnie zakończyć karierę. Powodem był koronawirus i jego powikłania. Wiosną 2021 r. u Marciniaka stwierdzono tachykardię – zaburzenia rytmu pracy serca. W wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego" zdradził, że pierwsze diagnozy były dramatyczne.

W internecie krąży nagranie z 2017 r. Marciniak był wówczas gościem w programie Liga+ Extra w Canal+ Sport. Formuła wywiadu polegała na tym, że gość może odpowiadać tylko „tak" lub „nie".

Dziennikarz: – W przeciwieństwie do polskich piłkarzy ja [Szymon Marciniak] kiedyś wybiegnę na boisko w meczu finałowym o mistrzostwo świata...

Szymon Marciniak: – Tak.

To właśnie Marciniakowi przyszło bronić honoru Polaków, biorąc pod uwagę chociażby fakt, że nasze spotkanie z Meksykiem uznano za najgorsze ze wszystkich 64 mundialowych meczów. Występ naszych arbitrów został wysoko oceniony m.in. przez słynnego Pierluigiego Collinę. Światowe media w większości przyznały wysokie oceny. Pod wrażeniem są np. media niemieckie. Dziennikarze „Kickera" przyznali Marciniakowi „1", czyli najwyższą możliwą notę. W uzasadnieniu napisano: „Absolutnie doskonałe prowadzenie meczu, praktycznie bezbłędny, miał wszystko pod pełną kontrolą". Pracę Polaka skomplementował też Lutz Wagner, sędziowski ekspert „Kickera" i były arbiter prowadzący spotkania w Bundeslidze: „Sędzia Marciniak był na poziomie Messiego i Mbappé. Przyczynił się do tego, że mecz tak wyglądał. Znakomicie kierował zawodnikami. Promieniował autorytetem i nie sprawiał przy tym wrażenia autorytarnego. Występ klasa światowa".

W podsumowaniu twitterowy wpis doskonale nam znanego byłego angielskiego arbitra Howarda Webba: „To był najlepszy sędziowski występ w historii mistrzostw świata. Jestem taki dumny!".

Chapeau bas, panie Marciniak. ■

Zapierający dech w piersiach mecz Argentyna-Francja zapisał się jako najznakomitszy finał w historii.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 186b9f9578

1

2

KALENDARZE

5

6

eprasa.pl 186b9f9578

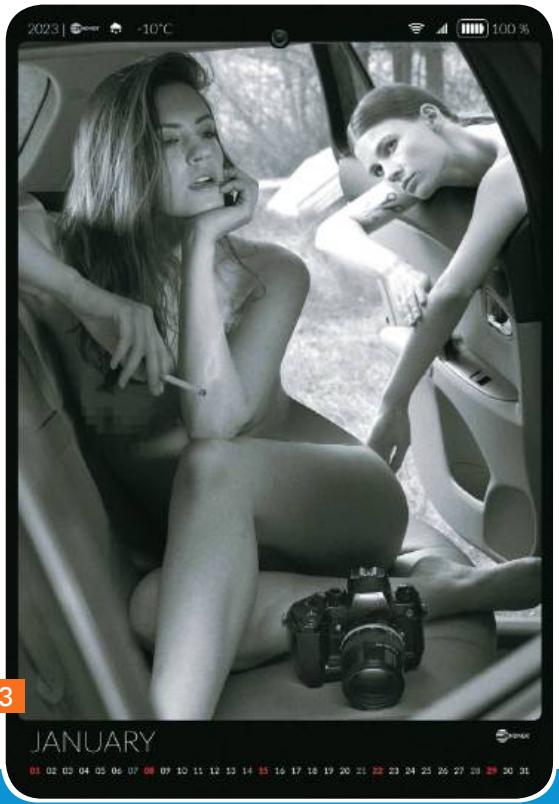

3

4

2023

1. Kalendarz Pirelli, Ashley Graham w obiektywie Emmy Summerton.
2. Kalendarz Pirelli, Precious Lee w obiektywie Emmy Summerton.
3. Kalendarz firmy Lindner, zakładu drzewnego i producenta trumien.
4. Kalendarz firmy Lindner, zakładu drzewnego i producenta trumien.
5. Charytatywny kalendarz studentów weterynarii Uniwersytetu w Sydney.
6. Kalendarz Pirelli, Lauren Wasser w obiektywie Emmy Summerton.
7. Kalendarz Pirelli, Bella Hadid w obiektywie Emmy Summerton.

7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 186b9f9578

Gdzie kończy się świat i zaczyna wszystko

W latach 70. XX w. Ushuaię zamieszkiwało zaledwie 10 tys. osób. Dzisiaj ushuajczyków jest ponad 69 tys.

Agnieszka Zakrzewicz

Ushuaia, miasto w południowej Argentynie, na Ziemi Ognistej, nad cieśniną Beagle. Najdalej na południe położone miasto na kuli ziemskiej (54°50′ szerokości geograficznej południowej). 3,5 tys. km od Buenos Aires i 4 tys. km od bieguna południowego. Stolica Terytorium Narodowego Tierra del Fuego.

Przystanek w drodze na Antarktydę

Samolot przedarł się przez gęste chmury i dostrzegam wreszcie Kanał Beagle. Szeroka, ciemnogranatowa wstążka wije się aż po horyzont. Na powierzchni wody, niczym placki, małe, brunatne wysepki. Wzdłuż brzegów piętrzą się ośnieżone szczyty – ogon pasma Andów Patagońskich spełzającego aż do Oceanu Atlantyckiego. Z wysokości można dojrzeć kręte ulice i kolorowe domki Ushuai – ostatniego miasta kuli ziemskiej. To jest koniec świata?

Schludne, nowoczesne miasteczko żyje głównie z turystyki. Długa, asfaltowa droga biegnie wzdłuż nadbrzeża od lotniska po port pasażerski i bazę wojskową Argentyńskiej Marynarki Wojennej. Stąd w 1982 r. wypłynął na podbój Falklandów krążownik General Belgrano, zatopiony przez Anglików. Serce miasta stanowi ulica San Martín, przy której znajdują się hotele, restauracje, bary i sklepy. Grudzień na południowej półkuli to pełnia lata, na końcu świata jednak kapryśna pogoda zmienia się co dwie godziny: pada deszcz, wieje porywisty wiatr wdzierający się przez Kanał Beagle od Atlantyku, a potem nagle świeci słońce.

Witryny sklepów ozdabiają manekiny w kostiumach kąpielowych i czerwonych czapeczkach oraz dmuchane pingwiny w mikołajowych przebraniach.

– Ludzie kąpią się o tej porze roku? – pytam zaskoczona w jednym ze sklepów z taką wystawą.

– Oczywiście! Przecież mamy lato! – z uśmiechem odpowiada opalony sprzedawca. – Poza tym słońce zachodzi o godz. 22. Dla nas to najlepsza pora roku.

Większość zabudowy Ushuai stanowią drewniane, kolorowe domki o nowoczesnej architekturze. Zachowało się kilka starych budowli, z rzeźbionymi ozdobami i strzelistymi dachami. Z małej osady wyrasta coraz większe miasto i pnie się w stronę okalających je gór. Niektóre ulice robią wrażenie, jakby można było z nich spaść, tak są strome. Trudno w to uwierzyć, ale w tym mało przyjaznym ze względów klimatycznych miejscu populacja zaskakująco się zwiększa. W latach 70. XX w. mieszkało tu zaledwie 10 tys. osób. Dzisiaj ushuajczyków jest już ponad 69 tys. i tworzą oni wieloetniczną, wielokulturową społeczność, żyjącą we względnym dobrobycie w porównaniu do reszty Argentyny. Tutejsze lotnisko jest jednym z najnowocześniejszych w kraju i przyjmuje samoloty niemal przy każdej pogodzie. Do portu turystycznego i handlowego zawijają statki z całego świata. Przy długim molo stoją nowoczesne, olbrzymie jednostki oceaniczne – popłyną na badania naukowe na Antarktydę. To obowiązkowy przystanek w ich podróży. Czasami czekają tu dłuższy czas, na pogodę i na turystów. Bilet na taką wycieczkę może kosztować ok. 20-30 tys. euro. Zabranie kilku turystów pozwala pokryć część wydatków ponoszonych na ekspedycję.

Bilet na wycieczkę na Antarktydę może kosztować ok. 20-30 tys. euro.

Argentyńska kolonia karna

Dziś w starym więzieniu znajduje się Muzeum Morskie. Tablica pamiątkowa przypomina, że w tym miejscu 12 października 1884 r. po raz pierwszy wciągnięto na maszt flagę argentyńską, a uroczystości patronował kmdr Augusto Lasserre – dowódca pierwszej argentyńskiej wyprawy na wody Atlantyku Południowego. Argentyna chciała ustanowić dominację terytorialną na skrawku archipelagu Ziemi Ognistej, zajętego niemal całkowicie przez Chile. Lasserre założył bazę wojskową nad Kanałem Beagle i ciężkie więzienie na Wyspie Stanów, gdzie zsyłano morderców i przestępców politycznych. Tam też wybudował latarnię morską San Juan de Salvamento (św. Jana Zbawiciela), zwaną Latarnią Końca Świata. W styczniu 1896 r. na Wyspę Stanów przypłynął z Buenos Aires parowiec 1 Maja, przywożąc 11 zbrodniarzy. Towarzyszyło im dobrowolnie dziewięć kobiet. Dla zesłańców nie było powrotu.

Kolonia karna miała się przysłużyć opanowaniu tych odległych i wrogich człowiekowi krańców globu. Eksperyment nie powiódł się jednak, bo skazańcy umierali, w 1902 r. zatem rozpoczęto budowę więzienia w Ushuai.

eprasa.pl 186b9f9578

Większość zabudowy Ushuaii stanowią drewniane, kolorowe domki o nowoczesnej architekturze.

Ushuaia, czyli koniec świata.

Więźniowie pracowali przy budowie dróg, domów, mostów oraz otwartej w 1910 r. kolejki wąskotorowej. Więzienie na końcu świata miało tak złą opinię, że skazani próbowali uciekać ze statku, który ich przewoził. Jeden z zesłanych odciął sobie nogi, by uwolnić się z kajdan, i wyskoczył do morza. Władze argentyńskie zlikwidowały ośrodek karny dopiero w 1950 r. i oddały go marynarce.

Wrota piekieł

W Muzeum Morskim oglądam model karaki Trinidad – okrętu flagowego Ferdynanda Magellana, doświadczonego żeglarza portugalskiego, który przeszedł na służbę króla Hiszpanii i odkrył Ziemię Ognistą. Tierra del Fuego – tak Hiszpanie nazwali ten wysunięty najdalej na południe skrawek Ameryki Łacińskiej, kiedy w październiku 1520 r. udało im się wreszcie dotrzeć do cieśniny, która mogła łączyć Ocean Atlantycki z Oceanem Spokojnym. Nazwano ją pierwotnie Cieśniną Wszystkich Świętych, gdyż flota wpłynęła w nią 1 listopada, a później Cieśniną Magellana. Marynarze dostrzegli niezliczone ogniska palące się na horyzoncie. Choć kulistość Ziemi i domniemany kształt lądów przewidywały już dwie pierwsze mapy geograficzne Nowej Ery, ta narysowana przez Johanna Schönera w 1515 r. i ta z roku 1519, której autorem był Lopo Homem, nikt przed Magellanem nie udowodnił, że Ziemia jest naprawdę okrągła. Nic więc dziwnego, że hiszpańscy marynarze dowodzeni przez Portugalczyka, zmęczeni wieloma miesiącami wyprawy w nieznane, miejsce to uznali za wrota piekieł.

We flotylli doszło do buntu i jeden z pięciu okrętów zawrócił do ojczyzny, drugi rozbił się już w Patagonii. Pozostały tylko trzy statki: Trinidad, Victoria i Concepción. Magellan popłynął jednak dalej, na poszukiwanie Moluków, lecz ich nie znalazł. Zginął na odkrytych przez siebie Filipinach, w potyczce z tubylcami, 27 kwietnia 1521 r., dokładnie rok po wyruszeniu z hiszpańskiego portu Sanlúcar. Do Hiszpanii wrócił tylko okręt Victoria, udowadniając, że kulę ziemską można opłynąć dookoła.

Archipelag Ziemi Ognistej pozostawał zagadką jeszcze przez długi czas. Pierwszy opłynął ją żaglowiec Eendracht, odkrywając 29 stycznia 1616 r. przylądek Horn i nadając mu nazwę na cześć drugiego statku biorącego udział w tej wyprawie, który utracono na skutek pożaru u wybrzeży Patagonii. Po powrocie członkowie załogi zostali uznani za szaleńców i osadzeni w więzieniu, gdyż nikt nie wierzył w ich czyny. Wreszcie w 1624 r.

eprasa.pl 186b9f9578

słynna ekspedycja Jacques'a L'Hermite'a z Holandii dokonała eksploracji wrót piekieł. Jego ludzie po raz pierwszy spotkali się z tubylcami. Okazało się, że byli to niezwykle wojowniczy Indianie, odziani w focze skóry i władający sprawnie harpunami. Pływali na łodziach z wydrążonych pni drzew i palili na nich ogniska. Właśnie łuny tych ognisk żeglarze Magellana wzięli za diabelskie płomienie.

Jednak dopiero Anglicy przyczynili się do naukowego poznania wrót piekieł, wysyłając w ten rejon dwie wyprawy – w 1829 i 1831 r. Tą ostatnią dowodził Robert FitzRoy, a na jego statku podróżował Charles Darwin. Opływając brzegi półwyspu Mitre, odkryli nową cieśninę, poprzez którą udało się wyjść na Pacyfik. FitzRoy nazwał ją Kanałem Beagle, od nazwy swojego żaglowca. Był już najwyższy czas, aby znaleźć nową drogę, umożliwiającą omijanie zdradzieckiego przylądka Horn, bo w Cieśninie Magellana zrobiło się zbyt ciasno dla wszystkich potentatów morskich. Anglicy spróbowali również dokonać ewangelizacji miejscowych Indian, Jaganów.

Latarnia morska Les Eclaireurs oznajmia statkom, że wpływają do Zatoki Ushuajskiej.

Skutki ewangelizacji

Ostatnia Jaganka czystej krwi, Cristina Calderón, zmarła 16 lutego 2022 r., w wieku 93 lat, lecz spacerując uliczkami Ushuai, potomków Indian można spotkać na każdym kroku. Rdzenni mieszkańcy tych stron są niskiego wzrostu, mają oliwkową karnację, kruczoczarne włosy i okrągłe twarze ze spłaszczonymi nosami, szerokimi ustami i lekko skośnymi oczyma.

W jednej z kafejek wiszą gigantyczne plakaty ze zdjęciami Indian. Większość zrobił Jean-Louis Doze – pierwszy fotograf wysłany na wyprawę naukową na Cap Horn w 1883 r. Kiedy kelner przynosi rachunek, patrzę z uwagą na jego twarz. Choć Indian Ziemi Ognistej już nie ma, w żyłach tutejszych mieszkańców płynie ich krew, która wymieszała się z krwią Europejczyków.

W Muzeum Indian Jaganów nie ma znaczących eksponatów, tylko plansze i makiety. Ziemia Ognista była zamieszkiwana już 8 tys. lat przed naszą erą. Najprawdopodobniej ludy koczownicze przeszły przez zamarzniętą Cieśninę Magellana. Cztery grupy etniczne – Selk'nam, Haush, Alakalufowie i Jaganowie – koegzystowały pomimo wyraźnych różnic kulturowych i fizycznych.

Najliczniejsi Indianie Selk'nam, zwani także Ona, zamieszkiwali ląd Ziemi Ognistej. Posługiwali się łukami, polując na andyjskie gwanaki, jedli ich mięso i odziewali się w ich skóry. Półwysep Mitre zamieszkiwali natomiast Haush, znani również jako Manek'enk i uznawani za rdzenne plemię paleoamerykańskie. Polowali na małe gryzonie i ptaki wodne, używając z niezwykłą sprawnością lassa i dzid. Zbierali też małże. Był to lud nadzwyczaj pacyfistyczny, żyjący w malutkich wspólnotach złożonych z trzech rodzin.

Zupełnie inni byli Jaganowie, uznający za swoje terytorium Kanał Beagle i wszystkie wyspy aż po przylądek Horn. Prowadzili życie koczowników i łowców, pływając na swoich kanu z pni drzew i polując na foki, pingwiny, lwy morskie oraz wieloryby. Posługiwali się długimi harpunami i procami – bronią tak niebezpieczną w ich rękach, że mogła ona zabijać ludzi i olbrzymie ryby. Ze względu na to, że pływali bez ustanku po lodowatym morzu, ich barki stały się potężne, a ramiona silne, nogi natomiast krótkie i o malutkich stopach. Wiosłowała zazwyczaj kobieta, a mężczyzna polował. Aby wytrzymać kontakt z lodowatą wodą, smarowali ciało foczym tłuszczem i odziewali się w focze skóry. Na łodziach palili ogniska. Schodzili na ląd na noc i spali w prowizorycznych szałasach, które bez żalu opuszczali następnego dnia, by mógł w nich zamieszkać kto inny. Podobny tryb życia prowadzili Alakalufowie, zajmujący fiordy Ziemi Ognistej po stronie Chile.

Wszystkie cztery plemiona żyły w pokoju do chwili, gdy pojawił się biały człowiek. Kanał Beagle stanowił zbyt cenny łup dla Europejczyków, aby mogli pozostawić go miejscowym. Najlepszym narzędziem walki była ewangelizacja.

Choć pierwsze próby nawracania nie powiodły się, angielscy misjonarze byli nieugięci. Spółka ewangelizacyjna Stirling & Thomas Bridges przybyła na Ziemię Ognistą w 1869 r. i założyła tu pierwszą misję. South American Missionary Society wysłała aż trzy statki z pastorami ewangelickimi i ich licznymi rodzinami. Wśród Indian zamieszkał bp Waite Hockin Stirling. Podczas pierwszego spisu Jaganów w 1870 r. Bridges doliczył się ponad tysiąca osób. Po niespełna 20 latach ewangelizacji z plemienia,

eprasa.pl 186b9f9578

Wzdłuż brzegów piętrzą się wysokie, ośnieżone szczyty Andów Patagońskich, spełzających aż do Oceanu Atlantyckiego.

które na tych lodowatych wodach przeżyło tysiąclecia, pozostało zaledwie sto osób. Jaganowie wymierali masowo na katar i inne choroby przywleczone przez białych. Kiedy nie było już kogo nawracać, Thomas Bridges oddał Kanał Beagle rządowi Argentyny, otrzymując w zamian tereny, na których założył pierwszą farmę Harberton i zaczął hodować owce. Kmdr Lasserre wciągnął na maszt flagę argentyńską i na miejsce misjonarzy przywiózł przestępców.

Parada pingwinów

Kiedy katamaran odbija od brzegu, czytam namalowany na molo napis po hiszpańsku, który wita żeglarzy w ushuaiskim porcie: TU KOŃCZY SIĘ ŚWIAT I ZACZYNA WSZYSTKO... Kolorowe domki Ushuai przeglądają się w wodach zatoki jak w lustrze. W tle piętrzą się wysokie, zawsze ośnieżone szczyty. Port oddala się szybko, a wraz z nim liczne olbrzymie, nowoczesne okręty.

Gdy pojawiają się wyspy, które widziałam z samolotu, będące jedynym punktem odniesienia wyznaczającym niewidoczną granicę państwową pomiędzy Argentyną i Chile – mogę dostrzec zatokę Lapataia, przez którą wiedzie droga na Pacyfik. Do Atlantyku jest jednak jeszcze daleko, choć porywisty wiatr smagający twarz gwarantuje, że mamy go przed sobą. Pod nami ciemna, lodowata woda Kanału Beagle, długiego na 370 km. Cieśnina w niektórych miejscach ma ponad 200 m głębokości i 3 km szerokości.

Ostatnia Indianka czystej krwi, Cristina Calderón, zmarła 16 lutego 2022 r., w wieku 93 lat.

W niecałą godzinę dopływamy do latarni morskiej na wysepce Les Eclaireurs (wysepka zwiadowców), która oznajmia statkom, że wpływają do Zatoki Ushuaiskiej. Została zbudowana w 1920 r. Błyska co 10 sekund dzięki energii słonecznej. Dla turystów to „latarnia na końcu świata", choć ta prawdziwa znajduje się dalej, na Wyspie Stanów.

Po dwóch godzinach rejsu dostrzegamy dużą grupę zabudowań po chilijskiej stronie. To Puerto Williams – baza wojskowa z 3 tys. mieszkańców, najdalej na południe wysunięta osada ludzka. Wstęp mają tam jednak tylko chilijscy wojskowi i ich rodziny. Raz w tygodniu przylatuje samolot transportowy – jedynie on łączy rezydentów z resztą świata.

Dotarcie do wyspy Martillo, zwanej Pingwinową, zajmuje kolejne trzy kwadranse. Po piaszczystej, osłonecznionej plaży przechadzają się setki czarno-białych ptaków, jakby to była parada wytwornych panów we frakach. Katamaran dobija do brzegu, możemy obserwować je z bliska, chociaż nie wychodząc na ląd. Zwierzęta nic sobie nie robią z ludzkiego towarzystwa. Na szczęście są pod ochroną i nie można już na nie polować.

Robimy szeroki łuk, przepływając obok farmy Harberton, gdzie misjonarz Bridges hodował owce, po tym jak przyczynił się do zagłady Jaganów. Trzeba wracać do Ushuai... Zostawiamy z tyłu długie gardło Kanału Beagle. Teraz Ryczące Czterdziestki wieją nam w plecy, a ja zakładam kaptur. Chciałoby się popłynąć dalej, do latarni morskiej San Juan de Salvamento, która zainspirowała Juliusza Verne'a do napisania „Latarni na krańcu świata", a potem jeszcze dalej, do przylądka Horn i na Antarktydę... Mogę jednak powiedzieć, że spełniłam moje marzenie i dotarłam na koniec świata.

Agnieszka Zakrzewicz

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 186b9f9578

Ewa Zwierzyńska

RAJ

Kiedyś Ozierany można było nazwać miastem, tak wielkie były. Domów ponad 60, młodzieży mnóstwo. I śmiechu, i płaczu, i ślubów, i krzyków dzieci

Wysiadł z samochodu i nagle zaczął krzyczeć: „Raj! Raj!". Zbiegli się mieszkańcy wioski, żeby zobaczyć, co się dzieje. Czy ktoś rozum postradał, zaczadzony nadmiarem świeżego powietrza, czy ktoś kogoś morduje, że tamten świat pozagrobowy zobaczył? Okazało się, że krzyczał turysta z Warszawy, który, przejeżdżając przez wioskę, nie zdołał opanować ogarniających go emocji. Warszawiak wyjaśniał, że on tu pierwszy raz, ale widzi, że oni tu w raju mieszkają. Cisza, spokój, życie sielskie, anielskie.

Wieś Ozierany, gmina Krynki, powiat sokólski, województwo podlaskie. Niełatwo tu dotrzeć, odnaleźć właściwą drogę wśród tych polnych, prowadzących donikąd. Raj mogą obejrzeć tylko wybrańcy, którzy wykazali się determinacją i wytrwałością. Nagle zza pagórka dane im będzie zobaczyć słomianą strzechę starej stodoły, kilka drewnianych domów, płot chylący się ku upadkowi. Za płotem stoją słupki graniczne, za słupkami – Białoruś. Na Białorusi oprócz chaszczy i lasów – już nic. A we wsi, pośród kwitnących sadów i bzów pachnących tak, że aż kręci się w głowie, dojrzą człowieka. Żywego.

Raj obwoźny

Znienacka ciszę niebiańską przerywa gwałtowny dźwięk samochodowego klaksonu. Na brukowaną ulicę wtacza się dostawczy busik. Kierowca z rozmachem otwiera blaszane drzwi, ukazując wnętrze wypchane od podłogi do sufitu. Na niezliczonych półeczkach ciastka, kisiele, sery, kiełbasa, mąka, cukier i przyprawy. Czego tylko chcesz! Chociaż wioska maleńka, bus zawsze zatrzymuje się na obu końcach, aby starsi ludzie nie musieli iść za daleko. Z domków wysypuje się na ulicę kilka postaci z koszyczkami.

Kierowca i sprzedawca w jednej osobie ładuje do nich chleb (kromkowany), mleko (półtłuste), ogórki (szklarniowe), bułki (wrocławskie), pomidory (import z Włoch). Wszystkich zna po imieniu i oni go znają. Czekają na niego przez wszystkie te dni, w które nie przyjeżdża. Młody chłopak, a taki sympatyczny. Pogada, pożartuje i odjedzie. Wtedy znów nastaje cisza. Znów wyczekiwanie klaksonu.

– Pani kochana, tu wszystko jest! Po co krowy trzymać? Paść, karmić, doić, siano na zimę kosić? W blaszanej przyczepie jest mleko z nakrętką czerwoną i z nakrętką żółtą. Raj. Prawda – i krowy miały swoje zalety. Gdy rano się wypędzało na pastwisko, to nogi przynajmniej w rosie się umyły. Tych krów tyle tu było, że pastwisk nie starczało. Gnać je musieli czasem 3 km, aż pod Kruszyniany, a czasem jeszcze dalej. Teraz we wsi żadnej krowy nie ma. Świnia jedna – u sołtysa. I tyle. Emerytury mają. Wystarcza.

Kiedyś Ozierany można było nazwać miastem, tak wielkie były. Domów ponad 60, młodzieży mnóstwo. I śmiechu, i płaczu, i ślubów, i krzyków dzieci. W dzień świąteczny wszyscy wylegali na ulicę, taki tłum! Zabawa, plotki, śpiewy. I krowy ryczały, i owce beczały, i koguty piały. Teraz tylko klakson.

Jak umiera Raj

Sołtys liczy na palcach: trzy, cztery, pięć, siedem, dwanaście i jeszcze sześć – w sumie osiemnaście osób zamieszkuje wieś. – Domów zostało ze dwadzieścia, w tym ponad połowa stoi pusta. Ludzie umierają jak muchy. Spod jedynki Luba już rok będzie, jak umarła. Była baba jeszcze aktywna, wszystko robiła, przyjeżdżały do niej dzieci, szum na podwórku był, a potem nagle choroba ją złożyła i koniec. Cisza. W marcu sąsiadka przez płot zmarła i syn jej też zmarł. Chaty tylko pozostawały. Kułakowej chata pusta, Zagrzywcowej tak samo, Klimowa, Citkowa, Kaczyrysina, Jankowa… wszystkie puste.

Znów wyliczanka na palcach:

– W Ozieranach Małych jeszcze gorzej. Sześć osób tam mieszka, ale część z nich wyjeżdża zimować do miasta. Przez okrągły rok siedzą tylko trzy.

Młodzi uciekają z Raju

– Jedna rodzina rozwojowa we wsi pozostała. Na końcu wsi mieszkają, troje dzieci jest, najmłodsze ma roczek. Gospodarują na tych kilku hektarach, żyją z rolnictwa. Dzieci do Krynek do szkoły wożą. Reszta młodych wyjechała. Dlaczego?

eprasa.pl 186b9f9578

Bo tu trzeba było całe życie pastuchem być, harować, a młodzież lżejszego chleba szuka. W Ozieranach ślepa uliczka: dojechał dotąd i koniec, granica białoruska stoi, dalej ani drogi nie ma, ani warunków do życia, ani przyszłości żadnej – mówi sołtys. – Jeszcze za komuny to przynajmniej można było sprzedać, co się wyhodowało. W Krynkach dwa dni w tygodniu skup świń był. Podjeżdżały ciężarówki i po sto świń każdorazowo brali. Jeszcze trzeci dzień dawali dodatkowo, jak nie wystarczało. A dzisiaj co? Wieziesz tą swoją świnię aż pod Sokółkę, a tam przyjeżdża facet z zakładu gdzieś aż spod Turośni Kościelnej i z łaski weźmie lub nie. Zboże swoje aż do Gródka powiózł, a tam nikt go nie chce kupić, wracasz, wątrobę tylko w traktorze wytrzęsiesz, a za ropę musisz zapłacić. Taki to interes.

Raj zdradzony

– Pracy dla młodych tu nie ma. To jest tragedia. Wszystko przez Solidarność. Przyszła i Polskę wyprzedała. Co było, rozwaliła – ciągnie sołtys. – Dwie huty w Białymstoku oddali w obce ręce. Fabryka Przyrządów i Uchwytów padła. Cukrownia w Łapach, największa w kraju, zlikwidowana. Białostockie Fasty przestały istnieć, a nawet garbarnia w Krynkach… Cóż to była za garbarnia! Woda tu doskonała do płukania skór, garbarnia na całą okolicę słynna, 300 osób zatrudniała… nie ma. PGR kryński pod względem wielkości drugi w kraju, 7,5 tys. ha ziemi. To był kombinat! 40 kombajnów w pole wyjeżdżało. Jak wyjdziesz za stodołę, żeby popatrzeć na te kombajny, to chodziły po polach całymi stadami jak, nie przymierzając, gęsi jakieś. Dzisiaj cicho i głucho, na hektarach las wyrasta. Zostało tych kilku emerytów we wsi. I na nas niedługo czas przyjdzie.

Czas wieczności, czas nieważkości. Dzisiaj święto cerkiewne – Mikoły.

– Zna pani Mikołaja jakiegoś? Chętnie by za jego zdrowie wypili. Bo co tu robić?

Na podłodze stoi plastikowa butelka po napoju gazowanym. Do połowy już opróżniona. Tutejszy wyrób, superekologiczny. Na zakąskę kromka chleba, ale niekoniecznie. Rozmowy niedokończone, myśli zawieszone w próżni. Zawiedzione nadzieje, plany, które wzięły w łeb.

Kotka się okociła, po domu wędruje dziewięć małych kociąt. Po łóżkach, stole, piecu kaflowym. Cała radość.

Raj według cara i Unii Europejskiej

A prawda – jeden wrócił. Z Białegostoku. Bezrobotny tam był, więc przyjechał. Wiejskie jutro zawsze pewniejsze niż miejskie. Plan mieli, car Aleksander II ich natchnął i Unia Europejska. W 1905 car nadał wsi serwituty – wspólne pastwisko do wypasu koni, krów, owiec. Unia Europejska za ekologię płaci, po dwa i pół tysiąca od hektara za ochronę derkacza. A tu za płotem derkają one jak najęte przez całe lato. Chodzi o to, żeby do sierpnia łąki wspólnotowej nie kosić, kiedy małe się wykluwają. Skrzyknęli się miejscowi ekolodzy, połączyli siły i grunta. W nowych czasach, sprzyjających prywatnej inicjatywie, złapali wiatr w żagle, nowa nadzieja w nich wstąpiła. A jednak da się, na przekór całemu światu! Piętnastu udziałowców, jak w prawdziwej demokracji, po jednym głosie dostało, niezależnie od wielkości udziału. „Jest to przykład demokracji idealnej na najniższym poziomie lokalnym" – napisali. I jeszcze: „Uzyskiwane z dopłat pieniądze przeznaczane będą na rozwój wsi, tj. budowę tablic informacyjnych i krzyży, wiaty, festyny, izbę pamięci, stronę internetową. Pragniemy utrwalić pamięć wsi i ludzi, zwłaszcza że ta wieś liczy ponad 500 lat!".

Wystarczył rok, by świetlane plany wzięły w łeb. Jak to w spółkach bywa, poszło o podział pieniędzy z unijnych dopłat. I o podatek, który trzeba zapłacić Agencji Nieruchomości Rolnych. Dzisiaj wszyscy są pokłóceni. Nikt nie chce na ten temat rozmawiać. Łąki nikt kosić w tym roku nie będzie. Działalność gospodarcza jest w likwidacji.

Samotność w Raju

– Ot, dobrze, że pani przyjechała, choć było do kogo gębę otworzyć, pośmiać się.

Moi rozmówcy wstają z ławki i podnoszą koszyczki pełne zakupów z dostawczego busa.

– I co z tymi Ozieranami będzie? – pytam na odchodne.

– Pani kochana, zarosną zupełnie, tylko ta droga może jeszcze ostanie się. Za 10 lat spychacz przyjedzie i wszystkie te chałupy z ziemią zrówna. Zaorzą nas.

– E tam, głupoty pleciesz! – sąsiadka aż wstała z ławeczki. – Tu w Ozieranach niedługo miasto będzie! Przyjadą miastowe i powykupują domy na dacze. Już trzy wykupili. W środku wsi altankę budują, kutym ogrodzeniem otoczyli, tabliczkę na wjeździe z nazwą „Ojcowizna" przybili. Przyjeżdżają na dzień, dwa. Odpoczywają, grillują, ryby łowią i wracają do siebie, do Białegostoku. Daczowisko tutaj będzie, jak nie przymierzając w Kruszynianach.

– W Kruszynianach meczet jest i tatarskie jadło, nawet książę Karol tam przyjechał! A u nas co? Piach tylko ten i kamienie. – Sołtys swoje wie. – Pani, tu za Ozieranami kilometr wieś Jamasze kiedyś była. 17 rodzin w niej mieszkało. Dzisiaj żadnego domu tam nie ma. Ani studni, ani ławeczki nawet. Teraz krzaki tam rosną. Tak i tutaj będzie. Ozieran nie będzie. Ani Wielkich, ani Małych. Nazwa tylko zostanie.

Gmina Krynki, powiat sokólski, województwo podlaskie. Niełatwo tu dotrzeć, odnaleźć właściwą drogę wśród tych polnych, prowadzących donikąd.

Fragmenty książki Ewy Zwierzyńskiej *Podlaska mozaika. Reportaże z raju – krainy błota i mgły*, Wydawnictwo Paśny Buriat, Kielce 2022

FOT. MAKSYMILIAN RIGAMONTI/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

eprasa.pl 186b9f9578

JOLKA

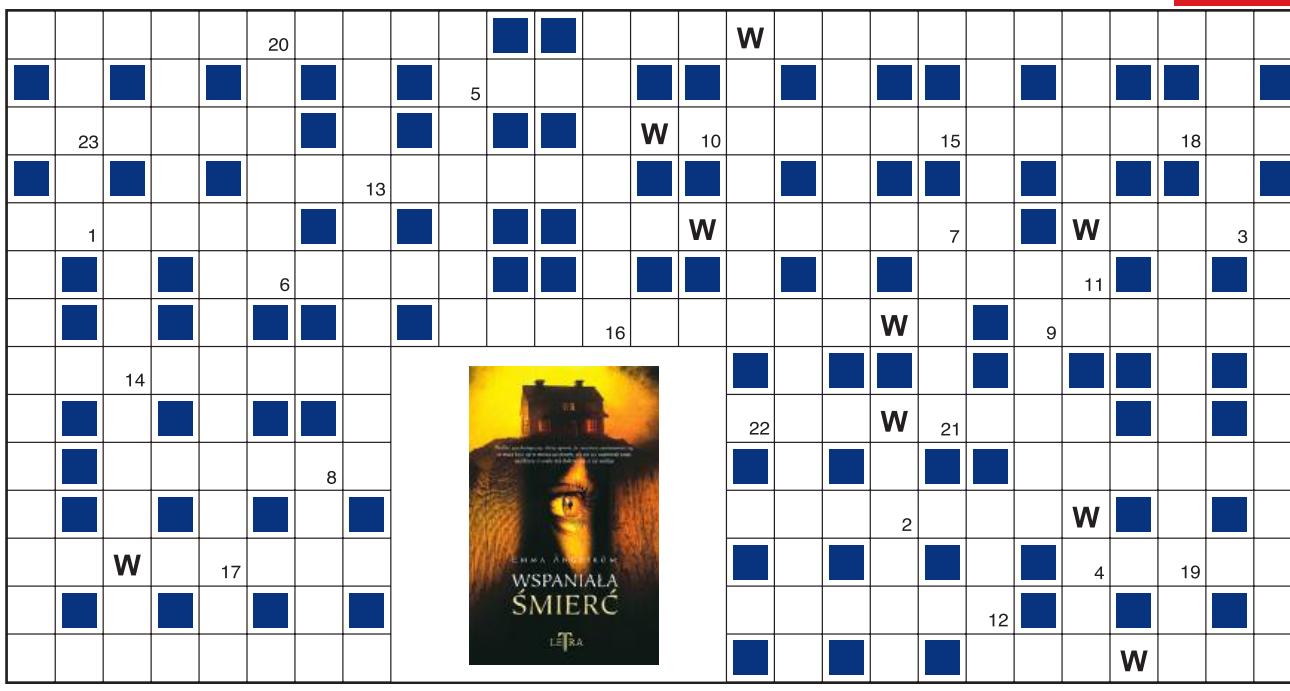

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- sportowe buty z trzema paskami
- i uwydatnienie, i zespół disco polo
- gdy albo-albo
- roślina doniczkowa z konwaliowatych
- zwykle najmłodsze, ulubione dziecko
- jeszcze trochę zupy
- międzywojenne lub w 2019 r. nasze
- …motyla – doniosłe skutki błahostki
- kurze gadanie
- akustyczna, elektryczna lub hawajska
- ostateczna postać owada
- zwinka lub gekon
- na głowie hokeisty, motocyklisty
- zespół związany wspólnym celem, pracą
- zadanie wyłapywania byków
- …prawa – dosłowne brzmienie przepisu
- piękna lub faktu
- dawny dostawca, zwłaszcza wojskowy
- wykonuje axle i lutze
- panicz, kawaler, dziś żartobliwie
- autor „Maleńkiego lata”
- imienia, tytułu lub paczki
- członek załogi wyznaczający kurs
- nierzetelność, nieprawdopodobność
- łotr, podlec
- złote algi wybiły w niej ryby
- kongijski krewniak żyrafy
- obniżka ceny, rabat
- dbałość o dobro własne, nie kraju
- skórzana torba na ramieniu wojskowego
- dziecięce lub tobogan goprowców
- boruje i plombuje
- prezentowane w żurnalach
- krótkie spodenki
- za igłą – w hafcie i szyciu
- mata na podłodze w japońskim domu
- schodki ze statku na nabrzeże
- …husycka Sapkowskiego
- odgłos łamanej gałęzi
- szynka, baleron lub kiełbasa
- tam urodził się Arnold Schönberg
- żółto-czarny ptak i dopływ Wisły
- złożony z harcerzy lub strażaków
- mecz, mityng albo regaty
- zimnego się nie kuje
- najlepszego na Nowy Rok!

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1097”. Do rozlosowania książki „Wspaniała śmierć” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 stycznia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1094” z nr. 50: *Targ to jeszcze nie kupno.* Nagrody otrzymują: Dorota Kędzior z Biecza, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego, Andrzej Sokolnicki z Głogowa.

eprasa.pl 186b9f9578

KRZYŻÓWKA Z SZAMPANEM

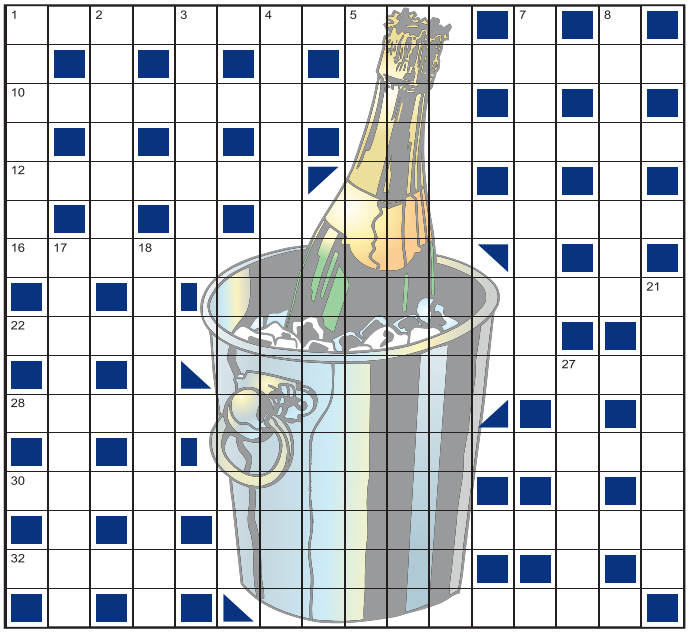

Rozmieszczenie części numerów i zaciemnionych pól w diagramie należy ustalić samemu.

Poziomo:

1) parafia, plebania, np. Steventon Austenów
9) drewniana okładzina ścian wewnętrznych
10) …w nieszczęściu lub zezowate
11) odbicie się kuli, piłki
12) niepamięć po urazie głowy
13) ochraniacz dla klęczącego ogrodnika
16) papla jak nic go wyjawi
20) zachwalanie swojej firmy, siebie
22) dla niego krowa jest święta
23) przynoszenie patyka przez psa
28) zagonik, np. doświadczalny
29) kierowca tramwaju
30) „Nijoła" lub „Milda" Moniuszki
31) potocznie – kablowanie
32) w jego kształcie świnoujska Stawa Młyny
33) dwustronna, jedwabna tkanina żakardowa

Pionowo:

1) Piramida lub Pająk z kart
2) część serialu
3) …noworoczne prezydenta
4) malarz i odcień rudości
5) taniec z obrazu Józefa Chełmońskiego
6) jednostka ciśnienia
7) dane osobowe
8) tysiąclecie
14) cztery kółka dla brzdąca
15) spraw – dobrze, gdy pomyślny
17) sygnału, znaczków, zanieczyszczeń
18) różdżkarz
19) siekierka kucharza
21) gaz do spawania
24) i szminka, i cukierek
25) budowla na planie koła
26) i tarapaty, i ucisk
27) podśpiewywanie

FUBUKI

Należy uzupełnić diagram, tak aby w polach znalazły się wszystkie liczby od 1 do 9 i aby uzyskać sumy wskazane na końcu każdego rzędu i każdej kolumny.

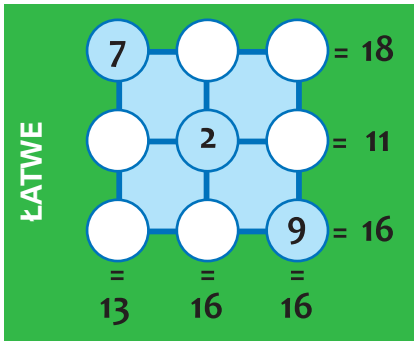

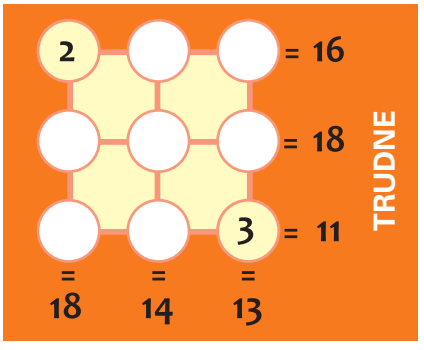

Rozwiązania na s. 64

SUDOKU

Należy uzupełnić diagram, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

3		7	2	9			8	5
2		5	8	1	7		6	
1				3				
							3	8
					8	4	7	1
	7		4	5				9
4		9	1		6	2		7
				4				
		8	7					

ŚREDNIE

9				7				
		4		9	6	5	7	
	1	2			8		9	
	9		4	1		3	5	
3	6						2	
1				2			8	
6	2					4		9
5			1				3	
	7					8		

TRUDNE

			8					
		1		2		9		
9						2	3	
	5		9	7	8			1
			4					
4					2	5	8	9
	1				7			2
	6							4
	7	2	6		9			

PIEKIELNIE TRUDNE

8		3						
		7				5		
	4		7					3
		5			4			1
4	1				6			
			2					
				1	2		6	
6	8			5			9	
7	9			3			1	

eprasa.pl 186b9f9578

Pozdrowienia z Wietnamu

Niedawno pisaliśmy o Macieju Langu. Jako jedyny w kierownictwie MSZ miał on doświadczenie w pracy na placówkach zagranicznych i w dyplomacji. Pozostali wiceministrowie i minister na Szucha przyszli od razu na najwyższe stanowiska. Jednak Lang wyjechał na placówkę i wakat po nim trzeba było uzupełnić. Uzupełniono, i to w sposób, który pokazuje, że grono dyletantów kierujących MSZ w kosmos nie odleciało – nowym wiceministrem został Wojciech Gerwel, pracujący w MSZ od 15 lat.

Jego nominacja jest bardzo ciekawa, zwłaszcza że i wykształcenie, i droga życiowa pozwalają przypuszczać, że mamy do czynienia z dyplomatą świetnie wykształconym (wreszcie), trzymającym się ziemi, realiów, a nie opowiadającym głodne kawałki.

Zacznijmy od ciekawostki – Gerwel był uczniem renomowanego III LO im. Marynarki Wojennej w Gdyni, kiedy zdobył stypendium w konkursie na naukę w Szkole Zjednoczonego Świata w Victorii w Kanadzie. Potem kształcił się już za oceanem – na Uniwersytecie Simona Frasera pod Vancouver (ekonomia i politologia), a tytuł master of arts zdobył w Szkole Służby Zagranicznej Uniwersytetu Georgetown. Kształcił się też w Centrum Spraw Międzynarodowych na Uniwersytecie Harvarda oraz w Instytucie Studiów Politycznych w Paryżu. Następne lata spędził w Waszyngtonie, pracował tam jako analityk m.in. w Center for European Policy Analysis (CEPA) w Waszyngtonie oraz w Center for Strategic and International Studies.

Można więc rzec, że jest to jeden z kilku polskich wiceministrów, którzy trafili na najwyższe stanowiska wprost z zachodnich instytucji. Tak było np. z Radosławem Sikorskim, który w wieku 29 lat (!) został wiceministrem obrony w rządzie Jana Olszewskiego, albo z zastępcą Witolda Waszczykowskiego Robertem Greyem.

Ale, w przeciwieństwie do nich, Gerwel przepracował szmat czasu w MSZ. W roku 2007 został wysłany na stanowisko radcy ekonomicznego do ambasady RP w Hanoi. Potem, w latach 2014-2018, pracował w centrali MSZ, odpowiadając w Departamencie Współpracy Ekonomicznej za rynki pozaeuropejskie, następnie był w Departamencie Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej. W roku 2018 został ambasadorem w Wietnamie.

Zna więc i centralę, i świat. A na tle innych wyróżnia go dyscyplina intelektualna i poczucie realizmu. To, że ma wszystko w głowie poukładane.

Swego czasu spore poruszenie wywołała jego prezentacja przed wyjazdem na placówkę ambasadorską w Hanoi. Jako przyszły ambasador nie opowiadał, że będzie wyświetlał film „Smoleńsk", prezentował punkt widzenia rządu w sporze z Brukselą ani innych podobnych głupot. Mówił za to o biznesie, o tym, że Wietnam to piąty tygrys ekonomiczny Azji Południowo-Wschodniej i trzeba tę szansę łapać. I że Polska jest tam dobrze widziana, bo tysiące Wietnamczyków studiowało w naszym kraju. Zwłaszcza w latach 60. i 70. XX w. Nawet się nie zająknął, że to były czasy Polski Ludowej, wojny w Wietnamie itd., ale że trzeba ten dawny, z czasów PRL, kapitał chronić, chuchać nań i dmuchać – o tym już mówił śmiało.

Polska Ludowa też miała takie momenty, że stawiano na tzw. technokratów. No to teraz w ten etap wchodzi PiS.

Attaché

Z okazji 86. urodzin papież Franciszek dostał podczas audiencji dla najmłodszych tort. 18 grudnia 2022 r.

FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/EAST NEWS

eprasa.pl 186b9f9578

PENETRACJE

ELŻBIETA DZIKOWSKA,
PODRÓŻNICZKA

Ja swojego wieku nie czuję. Niedawno odebrałam telefon z propozycją, żebym została patronką jakiegoś festiwalu seniorów. Odpowiedziałam, że nie mogę. Dlaczego? Bo nie jestem seniorem. Owszem, mam 85 lat. I co z tego? Prowadzę dom otwarty, mam wielu przyjaciół. Cztery, pięć razy w tygodniu przyjmuję gości na obiedzie albo na kolacji. Choroba oczu zabrała mi część wolności, bo musiałam pozbyć się samochodu, ale dzięki przyjaciołom nie odczuwam tego dotkliwie.

PROF. IBRAHIM WARDE,
TUFTS UNIVERSITY (USA)

Na wniosek premiera Borisa Johnsona bogaty Jewgienij Lebiediew wszedł do Izby Lordów. Jego ojciec, bankier, to były agent KGB Aleksander Lebiediew. Komitet ds. Nominacji dostojnej brytyjskiej instytucji uznał jego syna Jewgienija za „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego". Ale ten właściciel grupy prasowej, do której należą „Independent" i bardzo konserwatywny „Evening Standard", ma na swoim koncie długoletnie poparcie Johnsona, który wobec ostrzeżeń przed „zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego" pozostał niewzruszony. 19 listopada 2020 r. Jewgienij wszedł do Izby Lordów. Jego nowy tytuł to Lord Baron Lebedev of Hampton and Siberia.

PIOTR JACOŃ,
DZIENNIKARZ TVN 24,
AUTOR KSIĄŻKI „MY, TRANS"

Z tego „My, trans" już się musiałem tłumaczyć na premierze książki. Prowadziła ją Maja Heban, transpłciowa aktywistka. Powiedziała mi, że przez chwilę miała problem z tym tytułem. Bo dlaczego ja, Piotr Jacoń, tytułem wpisuję się w ich środowisko? Odpowiedziałem, że „My, trans" opisuje większą społeczność, która jest wokół osób trans. Bo gdy sprowadzimy tę mniejszość do jednej osoby transpłciowej, to rzeczywiście jest bardzo samotna. Ale gdy pokażemy całą naszą rodzinę i społeczność wokół, to ta mniejszość, nawet statystycznie, zaczyna rosnąć, inaczej wyglądać i mieć silniejszy głos.

Okręt marynarki wojennej Tajlandii HTMS Sukhothai zatonął podczas sztormu. Na pokładzie znajdowało się 105 osób. Poszukiwanych jest 23 marynarzy.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O ZBROJENIACH
Świat przeznacza na zbrojenia i finansowanie wojen ok. 2,2 bln dol., a na pomoc dla krajów ubogich niecałe 180 mld dol.

JAN ENGLERT O LUDZKIEJ NATURZE
Świat jest bardziej paskudny, niż myślałem, mówi Münchhausen. Ja też z biegiem lat, z biegiem dni tak myślę.

XAWERY ŻUŁAWSKI O GENACH
Ojciec (Andrzej) był młody duchem, mama (Małgorzata Braunek) nigdy nie zdziadziała.

KATARZYNA FIGURA O STRESIE
Myślę wtedy: nie jestem lekarzem, nic się nie stanie, jeśli się pomylę.

WOJCIECH MANN O SYNU MARCINIE
Jestem zadowolony, że nie próbuje mnie kopiować. Czasem naraża się na moje uwagi, ale pyskuje, i to dobrze.

WŁODZIMIERZ KORCZ O ARTURZE ANDRUSIE
To człowiek żelaznych zasad. Jak mówi, że tekst będzie gotowy pod koniec tygodnia, to nie znaczy, że w kolejnym tygodniu będzie mówił coś innego. Też powie, że pod koniec przyszłego tygodnia.

ZIEMOWIT SZCZEREK O PISANIU
Pisanie jest moją jedyną robotą, nie zajmuję się niczym innym.

OLGA BOŁĄDŹ O MARZENIACH
Nasze wyobrażenia kształtują rzeczywistość. Dlatego nie wolno bać się dużych marzeń.

NATALIA KUKULSKA O MICHALE DĄBRÓWCE
Przejęliśmy swoje cechy. Ja stałam się skrupulatna i systematyczna, a mąż bywa niezorganizowany, a nawet zdarza mu się spóźniać.

MAGDALENA BOCZARSKA O EROTYCE
Nigdy nie przekraczam pewnej granicy, erotyka dla erotyki mnie w ogóle nie interesuje.

eprasa.pl 186b9f9578

Aaaambitnego deratyzatora zatrudnię

Biuro burmistrza Nowego Jorku szuka dyrektora ds. zwalczania gryzoni w całej metropolii. „Idealny kandydat musi być zmotywowany i nieco krwiożerczy, a także zdeterminowany, by znaleźć wszelkie możliwe rozwiązania z uwzględnieniem różnych punktów widzenia. Będzie się od niego oczekiwać poprawy efektywności operacyjnej, gromadzenia danych, wprowadzania innowacji technologicznych, umiejętności zarządzania śmietniskami i gotowości na rzeź na wielką skalę”, napisano w ogłoszeniu. Osoba, która spełni oczekiwania, może liczyć na 120-170 tys. dol. rocznie. Potomkowie Popiela, jest szansa i na zemstę, i na zarobek!

Niewidka jak się patrzy

Doktoranci z chińskiego Uniwersytetu Wuhańskiego zaprojektowali pelerynę zapewniającą użytkownikom nieuchwytność dla kamer pracujących na bazie sztucznej inteligencji. Za dnia niewidoczność osobom ubranym w InvisDefense zapewniają specjalne nadruki, w nocy zaś, kiedy systemy monitoringu namierzają ludzi za pomocą obrazowania w podczerwieni, wbudowane w płaszcz urządzenia generują wzór ciepła, który myli algorytmy. Młodzi badacze planują opracować metodę, która pozwoli ukrywać przed inwigilatorami również przedmioty, np. samochody. O ileż nowocześniej będzie można parkować w miejscach niedozwolonych!

ROZWIĄZANIA

P	R	O	B	O	S	T	W	O	■	P	■	P	■	M	■
A	■	D	■	R	■	Y	■	B	O	A	Z	E	R	I	A
S	Z	C	Z	Ę	Ś	C	I	E	■	S	■	R	■	L	■
J	■	I	■	D	■	J	■	R	Y	K	O	S	Z	E	T
A	M	N	E	Z	J	A	■	E	■	A	■	O	■	N	■
N	■	E	■	I	■	N	A	K	O	L	A	N	N	I	K
S	E	K	R	E	T	■	U	■	B	■	■	A	■	U	■
■	M	■	A	■	A	U	T	O	R	E	K	L	A	M	A
H	I	N	D	U	S	■	K	■	Ó	■	■	I	■	■	C
■	T	■	I	■	A	P	O	R	T	O	W	A	N	I	E
P	O	L	E	T	K	O	■	O	■	P	■	■	U	■	T
■	W	■	S	■	■	M	O	T	O	R	N	I	C	Z	Y
K	A	N	T	A	T	A	■	U	■	E	■	■	E	■	L
■	N	■	E	■	■	D	O	N	O	S	Z	E	N	I	E
W	I	A	T	R	A	K	■	D	■	J	■	■	I	■	N
■	E	■	A	■	■	A	D	A	M	A	S	Z	E	K	■

7	8	3	18	2	8	6	16
5	2	4	11	9	5	4	18
1	6	9	16	7	1	3	11
13	16	16		18	14	13	

Sobieradek przyskrzyniony

W poważne tarapaty wpadł 38-latek z powiatu starachowickiego, który przez ponad rok kradł akumulatory ze skrzynek elektrycznych w powiecie kraśnickim i wykorzystał je, wraz z instalacją fotowoltaiczną i turbiną wiatrową, do skonstruowania minielektrowni zasilającej domek letniskowy. Policjanci nie docenili pomysłowości mężczyzny, który usłyszał pięć zarzutów kradzieży i kradzieży z włamaniem, za co grozi mu 10 lat pozbawienia wolności. Innowatorom zawsze słońce i wiatr w oczy.

ŁATWE

3	6	7	2	9	4	1	8	5
2	9	5	8	1	7	3	6	4
1	8	4	6	3	5	7	9	2
6	4	1	9	7	2	5	3	8
9	5	2	3	6	8	4	7	1
8	7	3	4	5	1	6	2	9
4	3	9	1	8	6	2	5	7
7	2	6	5	4	9	8	1	3
5	1	8	7	2	3	9	4	6

ŚREDNIE

9	5	6	3	7	1	2	4	8
8	3	4	2	9	6	5	7	1
7	1	2	5	4	8	6	9	3
2	9	8	4	1	7	3	5	6
3	6	7	8	5	9	1	2	4
1	4	5	6	2	3	9	8	7
6	2	3	7	8	5	4	1	9
5	8	9	1	6	4	7	3	2
4	7	1	9	3	2	8	6	5

TRUDNE

6	2	3	8	9	5	4	1	7
7	8	1	3	2	4	9	6	5
9	4	5	7	1	6	2	3	8
2	5	6	9	7	8	3	4	1
1	9	8	4	5	3	7	2	6
4	3	7	1	6	2	5	8	9
3	1	4	5	8	7	6	9	2
5	6	9	2	3	1	8	7	4
8	7	2	6	4	9	1	5	3

PIEKIELNIE TRUDNE

8	5	3	1	4	9	7	2	6
1	2	7	8	6	3	5	4	9
9	4	6	7	2	5	1	8	3
2	6	5	3	8	4	9	7	1
4	1	9	5	7	6	2	3	8
3	7	8	2	9	1	6	5	4
5	3	4	9	1	2	8	6	7
6	8	1	4	5	7	3	9	2
7	9	2	6	3	8	4	1	5

eprasa.pl 186b9f9578

DANIA Z GÓR

Kiedy ruszymy na narty w słowackie Tatry, warto wiedzieć, czym i gdzie można się posilić.

Placek ziemniaczany z bryndzą

Często występuje w menu jako przystawka, ponieważ jest to jeden nieduży placek ziemniaczany, okraszony pokruszoną bryndzą, kwaśną śmietaną oraz cebulką dymką (*zemnakové placky s bryndzou*). Jest to propozycja dla fanów placków i bryndzy, którzy nie chcą zapchać się do syta haluszkami i mieć jeszcze miejsce na kolejne danie.

Gdzie najlepsze? Zuberec.

Smażony ser

Klasyk klasyków, u naszych sąsiadów Czechów znany jako *smažený sýr*. Z kolei na Słowacji spotkamy go pod nazwą *vypražaný syr*. Co tu dużo mówić, danie to jest faworytem praktycznie w każdej restauracji. Panierowany kawałek żółtego sera, usmażony, podany z frytkami i sosem tatarskim (*tatarská omáčka*). Dawka tłuszczu i cholesterolu jest potężna, ale nie oszukujmy się, raz kiedyś podczas wizyty w górach można sobie na ten smakołyk pozwolić. Dobrze smakuje ze schłodzonym słowackim piwem.

Gdzie najlepsze?

Schronisko nad Popradzkim Stawem.

„Na Szczycie. Magazyn Ludzi Gór", nr 6 (26), listopad 2022

na szczycie

LEKTURA, OD KTÓREJ
NIE MOŻNA SIĘ ODERWAĆ
TYGODNIK ANGORA
ZMYSŁOWA ROZKOSZ CZYTANIA

FOT. SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 186b9f9578

Idę w świat i trwam

Obrazy Jacka Malczewskiego z Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki

Bachantka. Portret kobiety, 1907

Pytia, 1917

Wystawa jest gestem pomocy i solidarności w ochronie dziedzictwa. Twórczość Jacka Malczewskiego, będąca świadectwem i krytyczną analizą burzliwej i dramatycznej historii Polski, współcześnie staje się świadkiem barbarzyństwa wojny. Symbolicznie podróż tych obrazów jest jak tułaczka ukraińskich uchodźców w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Autorefleksyjna, nierzadko podszyta ironią, dystansem, humorem sztuka malarza z przełomu XIX i XX w. opowiada nie tylko o historii, ale też o roli i powinności artysty uwikłanego w splot odniesień wobec tego, co było, co jest i co będzie.

Muzeum Narodowe w Poznaniu
Aleje Marcinkowskiego 9
do 31 marca

Autoportret z Mieczysławem Gąseckim, 1921

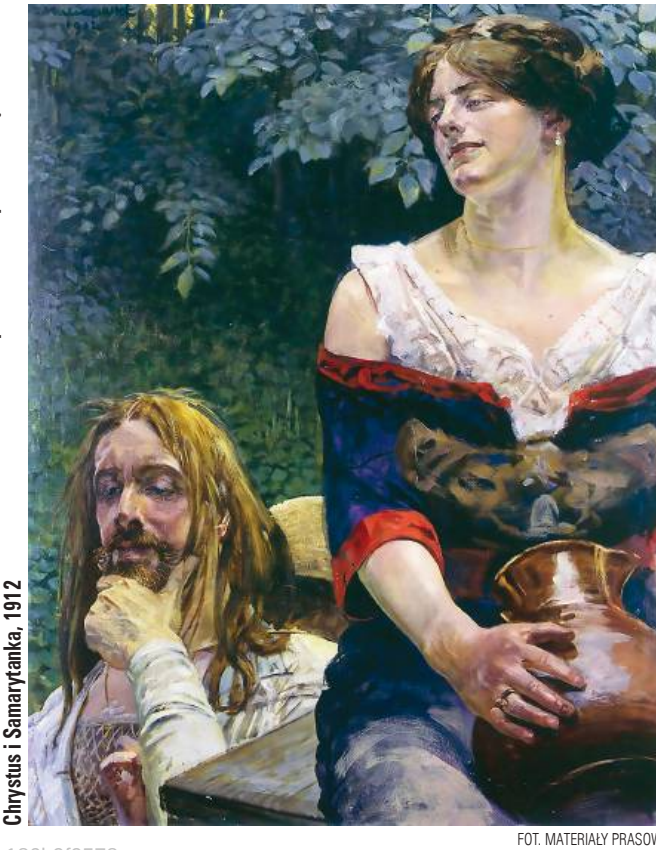

Chrystus i Samarytanka, 1912

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 186b9f9578

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

fot. Magda Hueckel

Klątwa

reż. Oliver Frljić
obsada: Karolina Adamczyk, Klara Bielawka, Jacek Beler / Grzegorz Artman, Arkadiusz Brykalski, Michał Czachor, Maria Robaszkiewicz, Barbara Wysocka, Julia Wyszyńska

Spektakl łączy bezpretensjonalność pieprznego kabaretu z precyzją baletowej choreografii – „Klątwa" to także wielka zbiorowa rola gospodarzy sceny im. Hübnera, popis aktorskiego zaangażowania i samoświadomości. (...) to przedstawienie wybitne, błyskotliwe oraz w najwłaściwszym sensie tego słowa – rewolucyjne.

Witold Mrozek, „Gazeta Wyborcza"

27, 28, 29, 30 grudnia / 19.00
31 grudnia / 16.00 / spektakl sylwestrowy

Patroni medialni wyborcza.pl Przegląd

Spektakl przeznaczony wyłącznie dla widzów od 18. roku życia. Zawiera sceny odnoszące się do zachowań seksualnych i przemocy, a także tematyki religijnej, które pomimo ich satyrycznego charakteru mogą być uznane za kontrowersyjne. Wszelkie sceny przedstawione w spektaklu są odzwierciedleniem wyłącznie wizji artystycznej.

TEATR CAPITOL

OLŚNIEWAJĄCY SYLWESTER 2022/2023

Przywitaj Nowy Rok z Gwiazdami!

IMPRO ATAK

Po wieczornych spektaklach zaczarowana impreza do białego rana!

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni: RMF MAXX, Telegraf, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl, Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, Cheesecake Corner, mzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 186b9i9578